



Rafał Dębski

Krzyże na rozstajach

Mafia, polityka i kontrwywiad.
Prywatna wojna Michała Wronskiego



Wydawnictwo Dolnośląskie

Cykl: Komisarz Wroński

1 - Labirynt von Brauna

2 - Żelazne kamienie

3 - Krzyże na rozstajach

Rafał Dębski

Krzyże na rozstajach

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE.

Prolog

Ledwie zdążył zasnąć, kiedy obudził go delikatny szmer. Czujność, wyostrzona przez lata pracy, nie pozwoliła zlekceważyć podobnego sygnału. Zapalił więc światło i odetchnął z ulgą. Nikogo, nie zauważył żadnych podejrzanych zmian w pomieszczeniu. Położył się z powrotem, zamknął oczy i wtedy na równe nogi poderwał go kobiecy głos.

- Pozdrowienia, skurwielu.

Błysnęło światło - zapaliła się lampa obok fotela. Natychmiast sięgnął tam, gdzie położył pistolet - tuż obok zagłówek, na starannie rozłożonej lnianej ściereczce. Zawsze bawiło go, kiedy obserwował na filmach sensacyjnych, jak bohater wyciąga broń spod poduszki. Po pierwsze trudno sobie wyobrazić, żeby się w nocy nie poruszać. Przecież człowiek poprawia przez sen poduszkę, zmienia pozycję, a wtedy każdy ukryty przedmiot gdzieś się przesunie, po drugie plamy smaru na pościeli byłyby praktycznie niemożliwe do usunięcia. No i kwestia wygody, szczególnie w wypadku pękatego rewolweru. Kiedyś próbował tego filmowego sposobu, ale kilka razy wstał z bolącą głową, bo twardy przedmiot miał przykry zwyczaj wędrować właśnie tam, gdzie poduszka okazywała się najcieńsza albo wcale jej nie było. Dlatego zmienił sposób postępowania. Położenie broni na szmatce obok zagłówek okazało się najlepszym pomysłem.

- Odradzam - powiedziała kobieta. - Mam cię na muszce. Pozdrowienia, skurwielu - powtórzyła.

- Od kogo?

- Nie domyślasz się?

- To jakaś pomyłka - odparł drżącym głosem.

- Co ty powiesz! - zadrwiła. - A teraz spokojnie i bez numerów. Najpierw delikatnie podniesiesz spluwę i rzucisz ją na podłogę. Dwoma paluszkami. Zaraz, zaraz, nie tak! Kciukiem i małym za lufę, nie za kolbę. A pozostałe trzy mają być ładnie rozczapierzone i doskonale widoczne. Myślisz, że nie znam takich sztuczek?

Zaklął w myślach. Suka! Najwyraźniej specjalistka od mokrej roboty! Doskonale wiedziała, że jeśli podnosi się broń kciukiem i palcem wskazującym, dość łatwo zwinąć ją, przerzucić do dłoni.

Prawdziwi mistrzowie czynią to w ułamku sekundy, a potem oddają błyskawiczny, celny strzał. On też nie był najgorszy, jeśli chodziło o podobne umiejętności.

Umieszczenie zaś lufy broni między pierwszym i ostatnim palcem uniemożliwiało podjęcie jakiegokolwiek akcji. Posłusznie wykonał więc polecenie. Zaraz potem jakiś błyszczący przedmiot pofrunął w jego stronę, brzęknął, spadając na koldrę.

- Załóż to.

Wyciągnął rękę, wymacał kajdanki. Nie miał wyjścia, zatrzasnął bransoletkę na prawym nadgarstku.

- Nie, znowu nie tak - zaprotestowała nieznajoma, kiedy chciał to samo uczynić z drugą ręką. - Nie próbuj być za cwany. Teraz lewa kostka. No już! Chyba że wolisz mieć przestrelone biodro albo kolanko!

Manipulując przy stopie, próbował przyjrzeć się kobiecie. Nie był w stanie dostrzec jej twarzy - skrywała się w półmroku, w dodatku z kapelusza zwieszała się woalka - delikatna i zwiewna, ale w tych warunkach doskonale maskująca rysy.

- Kto cię przysłał, suko? - warknął.

- Grzeczniej proszę. Domyśl się, komu tak bardzo załazłeś za skórę.

- On? - zdumiał się. - Przecież to niemożliwe. Jemu nie wolno...

- Wszystko jest możliwe. - W jej głosie usłyszał śmiech. - Trzeba było nie wracać do kraju. Myślałeś, że jeśli się ukryjesz na jakimś zadupiu, nikt z dawnych przyjaciół nie zacznie cię szukać?

- Myślałem, że jesteś od Łazarza...

- Myśleć możesz, co chcesz. Jest paru ludzi, którzy chętnie by cię dopadli. Namieszałeś, utrudniłeś nam pracę. A potem doszedłeś do wniosku, że trochę tego za dużo. Nie zaprzeczaj, bo to nie ma sensu! Kto zabił niemiecką agentkę? Komu palił się grunt pod nogami, kiedy zaczęło go szukać całe europejskie FSB do spółki z BND oraz MI6? Masz wielu wielbicieli.

- Podobnie jak Łazarz. Jego też zamierzasz zlikwidować?

- Nie twój interes. Gadaj teraz, gdzie to ukryłeś?

- Co?

- Nie udawaj! Potrafimy wydobyć z ciebie prawdę. Noc jest długa, a jeśli jej nie starczy, zostaniemy tu, ile będzie trzeba.

- Zostaniecie? O kim mówisz?

- O tych, którzy przyjdą tutaj, jeśli nie dogadasz się teraz ze mną. Oni też zapytają, gdzie to jest. Wroński nie zabił cię wtedy w kościele, choć miał znakomitą okazję, nie szukał po akcji w Budapeszcie. Przekonałeś go, że po wpadce jesteś niczym, przestałeś się liczyć. Inni zlekceważyli cię, bo uznali, że jedyne, czego pragniesz, to zaszyć się gdzieś i żyć z pieniędzy, które zdołałeś wyrwać. Nie docenili twojej chciwości. Ale właśnie przyszedł czas zwrócić długi. Gdzie to masz? A jeśli nie ty, gdzie i u kogo mam tego szukać?

Splunął w jej kierunku, rzucił mocne słowo.

- Sam tego chciałeś, kochasiu.

*

Minister spraw wewnętrznych zamknął teczkę z aktami. Pracował w resorcie od lat, przedtem był prokuratorem, widział więc różne rzeczy. Jednak zdjęcia z miejsca zbrodni, które obejrzał przed chwilą, mogły przyprawić o mdłości nawet najbardziej doświadczonego i najtwardszego stróża prawa. Spojrzał na oficera, który dostarczył materiał.

- Czego pan ode mnie oczekuje, generale?

- Decyzji. Denat tuż przed śmiercią własną krwią na ścianie napisał nazwisko...

- Widziałem - wpadł mu w słowo minister, wskazując zdjęcia niecierpliwym gestem. - Co z tego? Poza tym skąd wiecie, że pisał to jakiś tam denat, skoro na miejscu nie znaleziono ciała?

- Krew, panie ministrze. Mnóstwo krwi, w dodatku jednej grupy. Grupy właśnie tego człowieka...

- Więc jesteście pewni, że to wasz były agent?

- Nasz. Był kiedyś podwładnym oficera, którego nazwisko wypisał na ścianie. Ale sprawa dotyczy nie tylko jednego biura czy wydziału. To rzecz interesu narodowego.

- Bezpieczeństwem narodowym zajmuje się...

- Nie chodzi tylko o samo bezpieczeństwo, ale także o interes państwa. Facet mógł mieć powiązania z naszym pracownikiem, który ułatwił mu ucieczkę za granicę przy okazji sprawy Łazarza. Właśnie

tym, którego nazwisko nam wskazał. Akurat byliśmy w trakcie ustalania pewnych faktów i wpadliśmy na dobry trop. Jak widać, ktoś był od nas szybszy. To zabójstwo miało miejsce dwa tygodnie temu. A wczoraj część poszukiwanych przez nas papierów nabył pewien amerykański milioner. Podejrzewamy, że kupił je na prośbę kogoś innego, nie mamy pojęcia, kto to był. Może człowiek podstawiony przez FSB, a może przez Niemców. Tak czy inaczej wszystkie ślady prowadzą do jednej osoby. Dlatego przyszedłem z tym do pana.

Minister znów otworzył teczkę, rzucił okiem na krwawe fotografie i raporty.

- Co pan proponuje? - spytał.

- To zaszło już za daleko. Proponuję przerwać obserwację obiektu i podjąć działania bezpośrednie.

- Zatrzymać go? Jest pan pewien, że to najlepsze wyjście?

- Jestem pewien.

- Zgoda. Żądam jednak maksymalnej dyskrecji. W obecnej sytuacji politycznej jakikolwiek przeciek w podobnej sprawie może się okazać zgubny nie tylko ze względu na moje stanowisko, ale także dalszą karierę wielu ludzi.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Ale jedno jest pewne: musimy to wszystko wyjaśnić. Przecież nie wolno pozostawić czegoś podobnego w sferze nieokreślonych zarzutów i domysłów.

Minister z niesmakiem spojrział na akta. Nie cierpiał takich sytuacji. W resortach siłowych zawsze należy się liczyć z podobnymi trudnościami, ze śmierdzącymi sprawami, których rozwiązanie może się okazać równie ryzykowne jak zaniechanie. Ale dlaczego musiało to spotkać właśnie jego?

- Ma pan wolną rękę, choć podczas podejmowania działań i decyzji proszę się liczyć z polityczną rzeczywistością.

Oficer skrzywił się. Dla takich ministrów jak ten karierowicz jedyną rzeczywistością jest polityka. Reszta stanowi jedynie dodatek do sytuacji w sejmie, senacie i rządzie oraz utarczek w resortach.

- Oczywiście - powiedział wbrew sobie. - Będę o tym pamiętał.

Wojskowa ciężarówka skręciła na leśną drogę, zatrzymała się. Do granicy pozostało jeszcze około dwóch kilometrów. Kierowca skinął na towarzysza, wysiedli i stanęli w blasku samochodowych reflektorów.

Mieli na sobie polowe mundury w maskujących barwach, charakterystycznych dla oddziałów górskich.

- Powinni już być - zauważył kierowca. - Stiepan, na pewno wszystko wytłumaczyłeś, jak należy?

- A jak myślisz? Wyobrażasz sobie, że ciągnąłbym nas przez pół nocy, żeby sobie zrobić wycieczkę? Spokojnie, mogli złapać opóźnienie.

Kierowca splunął.

- Opóźnienie - powtórzył ponuro. - A mnie aż parzy pod dupskiem to, co przewozimy.

- Co ty, Łoma, masz pietra? - spytał drwiąco Stiepan.

- Daj spokój - zachnął się żołnierz. - Co innego przewozić normalną partię prochów, a co innego to gówno.

- Ale za to jaki zarobek! Przez pół roku tyle się nie nachapiesz przy herze i opium. Konkurencja za duża. My, wywiad, Gruzini, Czeczeńcy, Osetyńcy, Afgańczycy, gnojki z Pakistanu. Cholernie ciasno się zrobiło. A na handel koką trzeba mieć lepsze dojścia niż nasze.

Łoma pociągnął nosem, znów splunął.

- Sram na to. Więcej mnie nie namówisz. Ostatni raz zgodziłem się na coś takiego. Już wolę lewą forszę, prochy czy inną kontrabandę. Ale to? Nie dość, że ryzyko jak jasna cholera, bo mogą nas wysledzić z satelity, to jeszcze później ci, do których trafi to gówno, podłożą bombę pod tyłek być może właśnie nam. To już przesada.

- Strach cię dopadł czy sumienie? - spytał drwiąco Stiepan. - Zdecyduj się.

- Może jedno i drugie - mruknął kierowca.

Jego kolega chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w tej chwili rozległ się warkot silnika.

Z drogi zjechała limuzyna. Łoma natychmiast ocenił wysoką klasę wozu. Takimi jeżdżą albo dyplomaci, albo Nowi Ruscy. W tym rejonie Federacji obie możliwości były równie prawdopodobne.

- Otwieraj klapę - mruknął Stiepan.

Kierowca natychmiast pobiegł na tył wozu, załomotał metal. Kłapa bagażnika eleganckiego samochodu także odskoczyła. Wysiadło z niego dwóch potężnych mężczyzn.

Podążyli za Łomą. Stiepan dołączył do nich. Stękając z wysiłku, wysunęli ciężką skrzynkę, po czym zanieśli ją do limuzyny. Tył auta osiadł pod ciężarem.

- Zrobione, szefie. - Jeden z goryli otworzył drzwi samochodu.

Łoma rzucił okiem do środka, ciekaw wnętrza. Zobaczył eleganckie skórzane fotele, otwarty barek i kieliszki, a także starszego siwego mężczyznę w towarzystwie ładnej kobiety.

Oczy żołnierza i pasażera spotkały się.

- Kretynie! - warknął stary. Przez chwilę nie było wiadomo, do kogo właściwie mówi.

Dopiero wściekle machnięcie ręką uświadomiło obecnym, że epitet dotyczy ochroniarza.

Mężczyzna wysiadł z auta, stanął twarzą w twarz z Łomą i przywołał Stiepana.

- Premia specjalna - powiedział. - Za dobrą robotę.

Sięgnął do kieszeni marynarki. Żołnierze uśmiechnęli się do siebie, oczyma duszy widząc już wypchany portfel. Jednak ręka mężczyzny powędrowała dalej. Zanim któryś z wojskowych zdążył zareagować, padły dwa szybkie strzały. W jednej chwili obaj osunęli się na ziemię.

- Ciebie też powinienem rozwalić - powiedział spokojnie siwy, patrząc na goryla, który otworzył drzwi. - Żaden z nich nie miał prawa zobaczyć mojej twarzy!

Skarcony człowiek skulił się odruchowo, niczym pies oczekujący na uderzenie.

- Daruję ci pierwszy i ostatni raz. A teraz dokończ ich. Ten niższy chyba się poruszył.

Ochroniarz podszedł do leżących i każdemu wypalił w głowę, przykładając lufę do skroni. Jego szef patrzył na to z kamienną twarzą.

- Pochlapałeś się krwią - zauważył. - Jak tylko wrócimy, umyjesz się, a ciuchy spalisz. Zrozumiałeś?

- Tak jest. - Goryl wyprężył się odruchowo.

- Wyluzuj trochę - mruknął siwy. - Nie jesteś już w armii.

1.

Życie bywa ciężkie. Taki już człowieczy los. Może to kara za grzechy przodków, a może po prostu nieuchronność zdarzeń - tajemniczych i zaplątanych w niewidzialne łańcuchy przyczyn i skutków. Gorzej, że trudy życia komplikuje jeszcze ogromna dawka nieprzewidywalności. O ile może to się okazać miłe w chwilach, kiedy mężczyzna spotyka atrakcyjną kobietę, o tyle w większości przypadków są to sytuacje, w których owa nieprzewidywalność staje się czymś w rodzaju kamienia młyńskiego u szyi. Najgorsze zaś, że nie zawsze człowiek jest w stanie dostrzec pierwszy impuls, pierwszy powiew wiatru, który kończy się burzą. Najgorsze? Czy aby na pewno i zawsze? No cóż, czasem lepiej chyba nie wiedzieć wszystkiego. Same skutki zdarzeń bywają zbyt uciążliwe, żeby jeszcze męczyć umysł dochodzeniem przyczyny. Niestety, w pracy kontrwywiadowcy najważniejsze okazuje się z reguły właśnie dochodzenie, co leży u podstaw obserwowanych zjawisk.

Takie myśli dopadły Michała Wrońskiego, kiedy siedział na korytarzu pod gabinetem szefa. Nigdy do tej pory nie musiał tutaj tak pokornie czekać. Sporo się zmieniło w firmie przez ostatni miesiąc. Porucznik, po zasłużonym odpoczynku, wracał do pracy spokojniejszy, gotowy na nowe wyzwania. Nawet jeśli nie naładowany entuzjazmem, zawsze jednak wypoczęty. Tymczasem okazało się, że...

Drzwi otworzyły się, przerywając jego rozważania.

- Wejść - rzucił wysoki, tęgi mężczyzna po pięćdziesiątce.

Michał podniósł się ciężko. W tej chwili poczuł się tak, jakby nigdy nie był na urlopie.

Za chwilę usłyszysz zapewne połajankę. Wszyscy z biura byli już na dywaniku, a dzisiaj nadeszła jego kolej.

- Porucznik Michał Wroński. - Mężczyzna zasiadł za biurkiem, otworzył teczkę osobową. - Nie powinien pan już awansować?

Michał nie odpowiedział. Przecież facet ma przed sobą jego pełne dossier. Tam napisano czarno na białym, a czasem czarno na pomarańczowym, żółtym i tak dalej, w zależności od tajności informacji, dlaczego nie otrzymał kapitańskich gwiazdek.

- Żeby nie było niejasności - ciągnął mężczyzna - muszę naświetlić to i owo. Spotykamy się pierwszy raz. Na pewno już pan wie, kim jestem, ale zasady dobrego wychowania wymagają, abym się przedstawił. Pułkownik Ryszard Manke, bardzo mi miło.

Michał w duchu wzruszył ramionami. Po co i do kogo ta mowa? Nowy szef biura, sądząc z opowieści kolegów, lubił grać jednocześnie rolę dobrego i złego gliniarza.

- A pan - ciągnął oficer łagodnym tonem - powinien się chyba zameldować regulaminowo. Prawda?! - Wypowiadając ostatnie słowo, podniósł nagle głos, czyniąc go ostrym i nieprzyjemnym.

- Przecież ma pan przed sobą moje papiery. Ale jeśli tak bardzo panu zależy... Porucznik Michał Wroński, wydział do spraw...

- Wystarczy - warknął Manke. - Można poprzestać na stopniu i nazwisku. A meldować się trzeba. To kwestia dyscypliny. Zdaje się, że w waszym biurze jest ona towarem mocno deficytowym.

Wroński milczał, zresztą pułkownik nie oczekiwał odpowiedzi. Wyjął z teczki dwie kartki i ułożył je jedna obok drugiej.

- To pańska opinia - oznajmił, wkładając na nos okulary. - A właściwie dwie opinie. Pierwsza sporządzona przez pana dotychczasowego przełożonego, drugą otrzymałem z wydziału kontroli wewnętrznej. Czy zaskoczy pana, jeśli powiem, że te dokumenty różnią się diametralnie?

- Nie, panie pułkowniku. - Michał uśmiechnął się lekko. - Wydział wewnętrzny nie jest w stanie niczym mnie zaskoczyć. Nie musi pan nawet dodawać, że to, co naskrobał oficer kontrolerów, jest wykazem moich wykroczeń i zachowań niegodnych funkcjonariusza kontrwywiadu w ogóle, a polskiego w szczególności.

- Cieszę się, że ma pan tego świadomość. Przeczytam, co obie strony zaznaczyły w kwestionariuszu oceniającym. Major Jacek Bzowski zaznaczył następujące punkty: „wykonuje rozkazy, nie ma problemów z subordynacją, spokojny, sumienny, dokumentację wypełnia na czas, karny, okazuje szacunek przełożonym” i tym podobnie. A teraz opinia człowieka z wewnętrznego: „niesubordynowany, potrafi nie wykonać polecenia przełożonego, skłonny do zachowań gwałtownych, bardzo często ma problemy z

terminowym dostarczeniem raportów, nie okazuje należytego szacunku wyższym rangą”. I co pan na to? - Manke spojrzał znad okularów.

- A jakiej odpowiedzi pan oczekuje? - Teraz Michał wzruszył ramionami już nie w duchu, ale dość demonstracyjnie. - Jak widać, punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

A na szacunek trzeba sobie zapracować, dodał w duchu, bo same gwiazdki i wężyki nie stanowią o wartości nikogo. Złośliwość i wyniosłość przełożonego wobec podwładnych to kiepskie argumenty.

- Taaa - rzekł przeciągle wyższy oficer. - Mówiono mi, że potrafi pan obrazić rozmówcę samym spojrzeniem. Zastanawiałem się, czy to możliwe, a teraz widzę, że jak najbardziej. Ale do rzeczy. Jest kilka punktów w kwestionariuszu, bardzo niewiele, w których opinie są zbieżne. Należą do nich: inteligencja, spryt, spostrzegawczość, determinacja w działaniu, odwaga, poczucie honoru i takie tam bzdurki. Musimy ustalić kilka kwestii, żeby nie było potem nieporozumień. Jest pan oficerem kontrwywiadu, zgadza się?

Michał wymownie popatrzył w okno nad głową pułkownika. Chyba nie spodziewa się odpowiedzi na takie pytanie? A jednak spodziewał się, czemu dał wyraz, uderzając ręką w stół i warcząc:

- Zapytałem o coś! Pan zdaje się zapominać, że między nami jest relacja dupy i kija. I wyjaśniam, na wszelki wypadek, bo - sądząc z dokumentacji - może mieć pan pewne problemy w odczytywaniu sensu podobnych uwag: kijem tutaj nie jest pan!

Michał z trudem zdusił chęć pogardliwego prychnięcia. Znalazł się wielki wódz, cytujący słowa Napoleona.

- Jest pan pracownikiem kontrwywiadu, zgadza się? - powtórzył z naciskiem pułkownik.

- Na razie się zgadza.

- Dlaczego na razie?

- Bo wcale nie jest powiedziane, że za pięć minut nadal nim będę.

- Celną uwagę. Jeśli będzie się pan zachowywał tak prowokująco, jak do tej pory, to się może szybko zmienić. Zależy panu na tej pracy?

- Wybacz pan, ale co to w ogóle za pytanie? Skoro przyszedłem na to przesłuchanie...

- Rozmowę - poprawił Manke.

- Rozmowę - powtórzył ironicznie Michał. - Skoro tu jestem, musi mi chyba zależeć, prawda?

Pułkownik długo przypatrywał się siedzącemu po drugiej stronie biurka porucznikowi. Miał nieprzyjemne wrażenie, że ten człowiek wcale się go nie boi. Był przyzwyczajony do lęku, jaki wywoływał wśród pracowników, do objawów nabożnego wręcz szacunku. A ten tutaj zachowywał się raczej jak inspektor Calahan z serii o Brudnym Harrym. Tyle że w swej nieco beztroskiej bezczelności był o wiele bardziej wiarygodny niż tamta postać. Nic dziwnego - Clint Eastwood jedynie grał niepokornego policjanta, a Wroński po prostu taki jest.

- Nie potrafi pan inaczej? - spytał, autentycznie zaciekawiony. - To jest silniejsze od pana?

- O czym w tej chwili rozmawiamy, panie pułkowniku?

- O pełnym braku respektu dla przełożonych.

- Bardziej jest panu potrzebny respekt czy dobry pracownik? - odpowiedział pytaniem Michał.

- Rozumiem - skrzywił się Manke. - Czyli jednak nie potrafi pan inaczej. Dobrze, przejdźmy do konkretów. Już mówiłem, musimy sobie wyjaśnić kilka spraw. Zostałem powołany na stanowisko dyrektora tego biura na miejsce majora Bzowskiego. Jak pan doskonale wie, pański dotychczasowy szef i przyjaciel został aresztowany. Przebywa na Rakowieckiej, skąd raczej prędko nie wyjdzie.

Michał oczywiście wiedział. To była pierwsza informacja, jaką usłyszał, wróciwszy z urlopu. Na razie jednak nie orientował się zupełnie, jakie właściwie zarzuty postawiono Jackowi. Nikt tego nie wiedział. Za to nowy przełożony dał już popalić chłopakom, przeprowadził gruntowną kontrolę, zażądał z wewnętrznego opinii o wszystkich pracownikach, zanim w ogóle z kimkolwiek porozmawiał. Słowem - zachował się niczym stary, wychowany na stalinowskich metodach kacyk. Wszyscy w jego otoczeniu powinni się czuć nieustannie inwigilowani, odczuwać lęk przed popełnieniem najdrobniejszej omyłki. Po prostu cudowna atmosfera dla pracy wywiadowczej. Nie ma to jak mieć przeciwnika zarówno na zewnątrz tych murów, jak i w środku.

- Pan był bardzo blisko z majorem, prawda?

Wroński spojrział na znaczący półśmiech rozmówcy.

- Nie wiem, czy można tak to określić, zależy, co pan ma na myśli, mówiąc „blisko”. Nie potrafiłbym, na przykład, odpowiedzieć wiążąco na pytanie, czy wolał nosić pod garniturem slipy, bokserki czy choćby damskie stringi. Albo czy miał zamię na lewym lub prawym pośladku...

- Ostrzegam - głos pułkownika wzniósł się na wyższe tony. - W ten sposób pogarsza pan tylko swoją sytuację!

- A z jakiego powodu jest ona zła?

- Jako bliski współpracownik majora Jacka Bzowskiego automatycznie pozostaje pan w kręgu podejrzanych. To chyba oczywiste.

- Ach, już rozumiem! - Michał wydał wargi. - A ja zastanawiałem się, dlaczego w Londynie pętał się za mną jakiś typ. Pod koniec pobytu nie mogłem nawet spokojnie wyjść z synem do kina albo lunaparku, bo ten kretyn wszędzie rzucał mi się w oczy. Nawet się zastanawiałem, który wywiad zatrudnia takich idiotów. A to nasz kochany wydział wewnętrzny.

- Pan, zdaje się, nie docenia ich pracy.

Michał usłyszał w głosie pułkownika głęboką urazę. W tej chwili dotarło do niego coś, co sprawiło, że poczuł dreszcz na plecach.

- Pana przysłano właśnie stamtąd, tak? Dlatego tak szybko przekazali komplet opinii? Normalnie grzebią się z tym tygodniami. A ten typ w Londynie właśnie miał się rzucać w oczy. Powinienem wrócić do kraju zaniepokojony, może nawet wystraszony?

Manke obrzucił rozmówcę uważnym spojrzeniem.

- Co do jednego muszę się zgodzić z tymi papierami - powiedział i stuknął palcem w biurko. - Jest pan sprytny, inteligentny i spostrzegawczy. Ale to dla mnie trochę za mało. W pracy, jaką pan wykonuje, podstawą powinny być sumienność i posłuszeństwo. To służba dla kraju, a nie prywatne ranczo. Myśli pan, że nie wiem o samowolnym rajdzie do Budapesztu, gdzie wywołał pan burdę i zwąchał się z czeczeńską mafią? Bzowski próbował to zatuszować, zacierać wszelkie ślady po pańskiej wyprawie. Jednak wydział kontroli ma własne źródła informacji.

Własne źródła informacji, powtórzył w myślach Michał. To znaczy uszy w każdym wydziale i w każdym biurze. Kto mógł opowiedzieć o

wyprawie na Węgry? Praktycznie nikt o tym nie wiedział poza głównymi zainteresowanymi, z których jeden nie żył, a drugi właśnie siedział przed rozsierdzonym szefem. Selim, Czeczen, z którym Wroński miał kontakt w Budapeszcie, byłby chyba ostatnią osobą skłoną do zwierzeń. No cóż, z drugiej strony trudno utrzymać informacje w hermetycznym pojemniku. Zawsze znajdzie się jakaś wesz, która doniesie, komu trzeba.

- Zaskoczony moją wiedzą? - Pułkownik skrzywił się nieprzyjemnie.

- Nie bardzo, szczerze mówiąc. Kapusiów nigdzie nie brakuje.

- Na pana miejscu rozważniej dobierałbym słowa.

- Będę o tym pamiętał. Jeśli mi pan powie, którego z kolegów mógłbym urazić, wypowiadając się cierpko o informatorach, będę się starał postępować przy nim bardzo taktownie.

- Dobrze radzę. Proszę powściągnąć swój sławetny temperament. Od tej chwili nie wolno panu robić nic na własną rękę. Żadnych pomysłów, olśnień i nagłych decyzji. Każdy pana krok ma być uzgodniony ze mną. Każdy etap powierzonego zadania opatrzone szczegółowym raportem.

- Na razie nie powierzono mi jeszcze żadnej sprawy.

- I właśnie o to chodzi! - huknął radośnie Manke. Wydawał się bardzo z siebie zadowolony. Wroński wiedział już, w czym rzecz. Cała ta rozmowa odbyła się tylko po to, żeby oficer mógł pokazać, ile wie o podwładnym. A pułkownik kontynuował: - Na razie będzie pan pomagał kolegom w pracy koncepcyjnej. Inteligencja i spostrzegawczość są analitykowi bardzo przydatne.

Michał nie dał poznać po sobie zawodu. Cios był celny. Człowiek czynu zostanie przykuty do fotela przed komputerem, zaprzęgnięty do przewalania stosów meldunków, raportów i akt. Robota w sam raz dla jakiegoś wybitnie inteligentnego flegmatyka.

- To wszystko - powiedział pułkownik. - Jest pan wolny.

- Czy mogę wiedzieć - spytał Michał, wstając - za co został zatrzymany Jacek... to znaczy major Bzowski?

- Nie może pan, oczywiście. - W głosie Mankego brzmiała nieklamana radość. - To informacja ściśle tajna. Zresztą nie oszukujmy się, jest pan ostatnią osobą, której bym ją przekazał.

*

Rozkosz rozlewała się po całym ciele mężczyzny. Jego twarz ukryta była w mroku, światło małej lampki wydobywało jedynie niewielkie fragmenty łóżka, pościeli i spoconego ciała. Obok leżała młoda dziewczyna. Płakała. Jej partner poruszył się niecierpliwie, klepnął ją w obnażony pośladek.

- Czego ryczysz, głupia. Piczka nie z papieru, nie podrze się od byle czego.

W dziewczynie wspomnienie doznanego przed chwilą upokorzenia i bólu wywołało nową falę spazmów. Mężczyzna zaklął grubo pod nosem.

- Znalazła się dziewica orleańska. Ubyło cię, czy co? Dawłaś dupy chyba wszystkim tutaj. Cuda mi opowiadali, co potrafisz. I faktycznie, niezła jesteś. Może nie najlepsza suka, jaką rznąłem, ale umiesz ruszać, czym trzeba i jak trzeba.

Jej płacz doprowadzał go do pasji. Szarpnął się gwałtownie. Z mroku wyłoniła się sękata dłoń, mignęła nad płamą światła. Głuchy odgłos uderzenia złał się w jedno z rozpaczliwym krzykiem.

- Ciesz się, zdziro - wychrypiał mężczyzna. - Ciesz się, że w ogóle żyjesz. Bo ja, widzisz, lubię się zabawić na całego. Może kiedyś twój guru pozwoli mi pokazać ci pełną gamę doznań. Na razie sam ma życzenie jeszcze skorzystać z ciebie parę razy i tylko dlatego wyjdiesz stąd w jednym kawałku.

Przez chwilę słuchał szlochu.

- Zamknij się, kurwo, bo zechcę zrobić to zaraz!

Z trudem stłumiła łkanie, łykała spazmatycznie łzy, starała się uciszyć oddech.

- Dobra, wystarczy. Wypierdalaj teraz, bo mam dość twojego mokrego towarzystwa.

Posłusznie zaczęła się zbierać. Obolałe członki ledwie jej słuchały, w dole brzucha czuła okropne rwanie i nieustanne pieczenie. Co on jej zrobił? Przywiązana do łóżka, leżąc na brzuchu, nie mogła dokładnie go obserwować. Ból się nasilał, wiedziała, że dzieje się jej straszna krzywda. A teraz ten sadysta nie miał ochoty czekać, aż zmaltretowana dziewczyna zdoła wstać, i zepchnął ją bezceremonialnie z łóżka.

Potoczyła się po podłodze. Znów mozolnie próbowała się podnieść, choć ciało odmawiało posłuszeństwa.

- Nie radzę się nikomu skarżyć - warknął mężczyzna. - Jeśli piśniesz słówko, dopadnę cię, a wtedy...

Nie dokończył. Nie musiał. Widziała już, na co go stać. Wreszcie zdołała unieść się na kolana. Dopełzła do stojącego na środku pokoju krzesła, wsparła się o nie i wstała.

- No już! - krzyknął. - Wynocha, suko!

Za drzwiami oparła się o ścianę. Nogi jej drżały. Korytarz, oszczędnie oświetlony przyćmionym światłem paru żarówek, wydał się w tej chwili długi niczym sztolnia w starej kopalni. Musiała dotrzeć do swojego pokoju. To znaczy przebyć jeszcze kilkadziesiąt metrów podwórza i niezbyt wysokie schody, które w tej chwili wydawały się nieosiągalne jak szczyt wielkiej góry. Poczowała na udach gorąco. Sięgnęła w dół, między nogi. Coś śliskiego i mokrego. Podniosła palce do oczu. Krew... Patrzyła przerażona, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Krwawiła obficie, posoka kapała na miękki chodnik. Korytarz zawirował, dziewczyna poczuła uderzenie w plecy. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że przed oczami nie ma już ściany, ale sufit, na którym jakiś domorosły artysta przedstawił scenę zwiastowania.

- Matko moja - wyszeptła, patrząc na postać przestraszonej Marii, stojącej twarzą w twarz z koszmarnie namalowanym archaniołem. - Mateczko wszystkich ludzi, uratuj mnie.

Za drzwiami, zza których wyszła, rozległa się głośnie muzyka i głuchy odgłos, jaki wydają rozkręcone głośniki. Jej prześladowca włączył telewizor. Dziewczyna zamglonym spojrzeniem ogarnęła scenę na suficie. Czowała, że traci przytomność. Była jednocześnie przerażona i wdzięczna za to doznanie, bo ból powoli ustępował.

- Co ci jest? - Ktoś się nad nią pochylał.

Poznała Marcina, ochroniarza. Pewnie robił obchód.

- Zuzka, odezwij się!

Uniósł jej głowę, zerknął na nagie ciało. Wstrząsnął nim widok kałuży krwi, która wsiąkała powoli w jasny chodnik.

- Kto to zrobił?!

Skierowała oczy na drzwi, zza których dochodziły dźwięki telewizora. A potem źrenice uciekły jej w tył głowy, zaczęła oddychać

szybko, spazmatycznie. Po chwili zeszywniała, a na ustach ukazała się krew.

- Ty skurwysynu! - wrzasnął Marcin.

Wpadł do pokoju. W blasku rozświetlonego ekranu zobaczył rozwalonego na łóżku człowieka.

- Ty gnoju! - rzucił się w tamtą stronę.

Zawahał się jednak na mgnienie oka. Przecież dyspozycje dowódcy straży były jasne - to gość specjalny, któremu należy okazywać najgłębszy szacunek. Zaraz jednak odrzucił tę myśl. Ale ta chwila niepewności dała napadniętemu czas na reakcję. Cicho pyknął strzał.

Marcin w ostatnim błysku świadomości zobaczył skierowany ku sobie pistolet z tłumikiem.

Mężczyzna wyłączył telewizor. Niechętnie wstał z łóżka, przeszedł nad ciałem ochroniarza. Wyszedł na korytarz, stanął nad dziewczyną. Pochylił się, zbadał jej na szyi puls.

Wzruszył ramionami i wrócił do pokoju. Starannie zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Po chwili położył się, wyciągnął leniwie rękę, żeby zgasić światło.

- Dobranoc - powiedział, a w jego głosie brzmiała kpina. - Kolorowych snów, narwany młokosie.

Michał tkwił nad stosem papierów. Było tam wszystko - kopie starych dokumentów, poszarzałe i pożółkłe teczki z archiwum, zdjęcia lotnicze i satelitarne terenu wokół Kostrzyna, a nawet wyniki badań geofizycznych. Miał to jakoś posklejać do kupy, wyciągnąć wnioski.

Gdzieś w okolicy - podobno - powinien się znajdować supertajny, do tej pory nieodkryty bunkier Hitlera. Według ostatnich ustaleń istniało spore prawdopodobieństwo, że to właśnie tam zbrodniarza wszech czasów zastał koniec wojny. W Berlinie miał przebywać w tym czasie sobowtór wodza Trzeciej Rzeszy. O czymś tak idiotycznym Wroński nie słyszał od początku pracy w Departamencie Spraw Archiwalnych kontrwywiadu. Wszystko, co dotyczyło tajemniczego bunkra, było oczywiście ściśle tajne, spec-znaczenia, a logiki w tym znalazł jak na lekarstwo. Poza Wilczym Szańcem w Kętrzynie nie można było stwierdzić obecności żadnych innych pasujących do tej historii bunkrów, zabudowań czy chociażby śladów prac inżynierskich. To była czysta złośliwość ze strony pułkownika. Można oczywiście nakazać człowiekowi rozwiązywanie spraw nie do rozwiązania, ale - na Boga Ojca - niech mają one chociaż cechy prawdopodobieństwa. W tę historię nie uwierzyłyby nawet bezkrytyczny wyznawca wielkich odkryć Ericha von Dänikena czy zagorzały widz telewizyjnych programów o zjawiskach paranormalnych. Hitlera na początku maja czterdziestego piątego roku mogło - rzecz jasna - nie być w Berlinie. Można nawet przypuszczać, iż został ewakuowany, otrzymał watykański paszport i wyfrunął, aby w końcu umrzeć w Ameryce Południowej. Ale przyjąć, jakoby siedział na terenie dawno zajętym przez Armię Czerwoną i krył się tam na podobieństwo borsuka w jakiejś wcześniej przygotowanej norze - po prostu czyste szaleństwo i ostatnia głupota.

- To bardzo istotna sprawa - oznajmił ze śmiertelną powagą Manke.
- Jeśli zdołamy odnaleźć tajny schron, nagłośnimy ją. To będzie karta przetargowa w naszych stosunkach z Niemcami i Rosją. Sprawa kryjówki Hitlera kompromituje służby wywiadowcze obu tych krajów, od zakończenia drugiej wojny począwszy aż do dzisiaj.

Kolejna bzdura, ocenił natychmiast Michał. Jaka karta przetargowa? Co najwyżej ciekawostka historyczna, pozbawiona innych walorów niż poznawcze. Tak czy inaczej, przywódca faszystowskich Niemiec nigdy po wojnie już nie zaistniał. Ani w Berlinie, ani gdzieś w Argentynie czy Brazylii. Zresztą nic nie wskazywało, by karkołomna hipoteza o bunkrze miała się potwierdzić. Dlatego porucznik jakoś nie mógł zabrać się do wytężonej pracy. Poza tym, naprawdę miał już dość rozpracowywania tajemnic związanych z ulubionym zajęciem hitlerowców - ryciem pod ziemią.

- Kurde mol - powiedział na głos. - Ale syf. Nie mogliby chociaż raz schować czegoś gdzieś wyżej? W kościelnej wieży czy chociaż na poziomie gruntu?

Spojrzał z nienawiścią na biurko, odsunął stos papierów. Pod pleksiglasową płytą, zabezpieczającą blat przed porysowaniem, tkwiła kartka z wykaligrafowaną sentencją: „Aby poznać cokolwiek, trzeba najpierw poznać tego przyczynę”. Myśl Awicenny. Dostał ten wydruk od Jacka na samym początku pracy. Właściwie zapomniał już o nim. Nie tyle nawet zapomniał, co przestał go zauważać, podobnie jak człowiek nie dostrzega na co dzień wielu przedmiotów w swoim otoczeniu. Oko może rejestruje ich obecność, ale mózg nie przyjmuje informacji, bo nie jest ona do niczego potrzebna. Dzisiaj jednak dostrzegł na nowo cytat z wielkiego filozofa. Bzowski siedział teraz w celi i pewnie zastanawiał się, co go czeka w niedalekiej przyszłości. Musiał się czuć osaczony. Wroński doskonale wiedział, jakie to uczucie. „Aby poznać cokolwiek, trzeba najpierw poznać tego przyczynę”. To jest sentencja, którą każdy porządny pracownik kontrwywiadu powinien mieć wrytą w sercu i rozumie.

Czy major dokładnie zna przyczynę aresztowania? Czy rzeczywiście ma na sumieniu aż takie brudy, że trzeba było go zatrzymać? W to Michał nie był jakoś w stanie uwierzyć. Cuchnąca sprawa. Każda zresztą afera z udziałem funkcjonariuszy resortów siłowych śmierdzi na kilometr. Cóż takiego musiał przeskrobać, że został odizolowany, a na jego miejsce przysłano starego wyjadacza z wydziału kontroli?

Telefon na biurku nagle zadzwonił. Porucznik za każdym razem postanawiał, że trzeba zmienić denerwujący sygnał, i wciąż tego nie robił. Są takie czynności, które odkłada się w nieskończoność, a potem

się o nich zapomina. Za rządów Bzowskiego linia wewnętrzna była wykorzystywana rzadko, bo major miał zwyczaj chodzić do pracowników, a nie wzywać ich przed swoje oblicze, aby rozliczać z postępów w pracy. Z kolei w telefonie zewnętrznym ustawiony został o wiele przyjemniejszy sygnał.

- Słucham. - Wroński skrzywił się, podnosząc słuchawkę.

- Dlaczego znowu nie melduje się pan, jak należy?

- A skąd mam wiedzieć, kto dzwoni?

- Nie czytał pan zarządzenia numer siedemdziesiąt dwa? - spytał surowo pułkownik.

- Nie czytałem.

- A powinien pan. Pracownicy biura nie mogą wykorzystywać telefonów wewnętrznych. Ta linia zarezerwowana jest jedynie dla łączności z kierownictwem. Wy macie po prostu do siebie chodzić i rozmawiać osobiście. Tak ze względów bezpieczeństwa, jak i w celu integracji zespołu.

Co za idiotyzm. Absurd tej decyzji wywołał na twarzy Michała mimowolny uśmiech.

- Ma pan coś do powiedzenia w tej kwestii, poruczniku?

- Ależ skąd, panie pułkowniku.

- Za niedostateczne wypełnianie obowiązków zostanie pan pozbawiony najbliższej premii. Czy to jasne?

Michał nie odpowiedział. Manke czekał przez chwilę, po czym zapytał:

- Jak postępy w pracy nad materiałami? Jak tam pana sławne zdolności koncepcyjne?

Michał westchnął. Jego zdolności analityczne zwykły się ujawniać nie przy grzebaniu w papierach, ale podczas prawdziwej dochodzeniowej roboty, kiedy miał dostęp nie tylko do suchych danych, ale także do ludzi, mógł się swobodnie poruszać, prowadzić rozmowy, zadawać pytania. Bzowski nieraz śmiał się, że jego podkomendny nie jest geniuszem permanentnym, ale dorywczym, to znaczy miewa napady, podczas których potrafi połączyć w logiczny ciąg pozornie sprzeczne informacje. Podkreślał też, że trzeba mieć do porucznika mnóstwo cierpliwości i zachować zimną krew. Efekt pojawia się zawsze, ale różnie bywa z czasem. Pułkownik na pewno

doskonale o tym wiedział. Tym większą przyjemność musiało mu sprawiać znęcanie się nad podwładnym.

- Na razie zapoznają się dogłębnie z dokumentacją.

- Na pewno już wyrobił pan sobie jakieś zdanie.

- Tak, wyrobiłem sobie - wypalił Michał. - To wszystko się kupy nie trzyma. Dał mi pan kawałek sprawy, z której można wykroić powieść fantastyczną, a nie przeprowadzać dochodzenie! To beznadziejne.

- I o to chodzi - zahuczał radośnie Manke. - Nasze biuro zajmuje się w końcu głównie takimi fantastycznymi, beznadziejnymi sprawami, które przerosły możliwości innych! Za dwa dni chcę widzieć na biurku raport z pierwszymi sensownymi analizami. Albo nie. Ma pan dwadzieścia cztery godziny! Do usłyszenia.

- Chwileczkę! - zawołał Michał.

- Tak? Uprzedzam, że nie chcę w tej kwestii słyszeć żadnych wymówek.

- Ależ skąd - odparł zjadliwym tonem Wroński. - Chciałem się tylko odmeldować i poprosić o pozwolenie odłożenia słuchawki.

Po drugiej stronie zapadła martwa cisza. Wreszcie, po dłuższej chwili odezwał się zduszony głos:

- Stąpa pan po bardzo kruchym lodzie, poruczniku. Radzę się dobrze zastanowić nad swoją postawą.

W Michała, jak zwykle w podobnych sytuacjach, wstąpił diabeł.

- Moja postawa nie pozostawia nic do życzenia. Siedzę prosto, odbywam regularne treningi, nie mam problemów z kręgosłupem.

- Pewnego dnia - teraz Manke mówił bardzo spokojnie, wręcz flegmatycznie - podetnie pan sobie żyły swoim ostrym jęzorem. śęgnam.

Michał przez chwilę siedział nieruchomo, ze słuchawką w ręce. Odłożył ją powolnym ruchem. „Podetnie pan sobie żyły swoim ostrym jęzorem”. Kilka lat temu, kiedy był jeszcze zwyczajnym komisarzem podrzędnej komendy w Oleśnicy, usłyszał dokładnie to samo.

Pułkownik powiedział to przypadkiem, od siebie, czy celowo? Czyżby chciał przypomnieć pyskatemu oficerowi, że kontrwywiad nigdy nie zapomina? Chciał dać do zrozumienia więcej, niż zawierały rzucone lekko słowa?

- Kurde mol, ale syf. - Michał zdawał sobie sprawę, że się powtarza, ale w tej chwili nic więcej nie przychodziło mu do głowy.

*

- O, Panie nasz! - Człowiek w białych szatach, lamowanych purpurowym wzorem, szeroko rozłożył ręce i wznosił w górę oczy. - Ześlij na nas swoją siłę, napełnij mocą i obdarz zaufaniem swoje niegodne sługi. Błagamy cię!

- Błagamy cię - odpowiedzieli zgromadzeni.

Niewielka kaplica wypełniona była wiernymi. Wszyscy z uwielbieniem wpatrywali się w prowadzącego modły.

- Dziś we śnie przyszedł do mnie Pan - oświadczył kapłan. - Stał przede mną w świetlistej postaci, a jednocześnie widziałem jego istotę w niebie, otoczoną przez naszych braci i nasze siostry. Widziałem Pana!

Wśród zgromadzonych rozległ się szmer podziwu.

- Tak! Ukazał mi swoje zagniewane oblicze. Czas sądu jest już bliski.

Tym razem do szmeru dołączyły się przestraszone okrzyki.

- „Módlcie się, pracujcie i pokutujcie w dwójnasób”. - Ubrany na biało mężczyzna obrzucił wiernych groźnym spojrzeniem. - Tak mi powiedział. Musicie odkupić winy świata, przyjąć na siebie cierpienie niepoprawnych grzeszników. Możecie uratować miliony dusz, ale tylko wtedy, kiedy sami będziecie zupełnie czysti. „Bo Syn mój przyniósł wam tę prawdę, abyście się nie tylko wzajem miłowali, ale także uczył miłować nieprzyjacioły swoje. Kto porzuci ojca, matkę i pójdzie za Nim, zostanie zbawiony. Kto pozbędzie się majątku swego, aby obrócić go na dobro innych, dostąpi szczęścia w raju”. Tak rzekł Pan.

Zamilkł, czekając, aż ludzie ucichną.

- Możemy zbawić świat, czy to rozumiecie?

- Rozumiemy - padła chóralna odpowiedź.

- Możemy uczynić Ziemię szczęśliwą, czy to rozumiecie?

- Rozumiemy.

- Możemy pomóc Bogu w jego dziele, czy i to rozumiecie?

- Rozumiemy.

Kapłan uśmiechnął się promiennie. Jego twarz przypominała w tej chwili oblicze anioła, jakie można zobaczyć na sztychach dawnych mistrzów. Był natchniony, a duchowa siła zdawała się wypełniać przestrzeń, udzielała się wpatrzonym weń wyznawcom.

- Dzisiejszego wieczoru będziemy się umartwiać. Przygotujcie ciała i dusze na pokutę. Czy jest coś godniejszego, niż złożyć w ofierze za ludzkość samego siebie? Czy można postąpić lepiej, niż naśladować Pana naszego Jezusa Chrystusa w dziele odkupienia?

W zupełnej ciszy słychać było dochodzące zza okna odgłosy pracy tych, którzy mieli przydzielone na ten ranek zadania.

- A teraz uklękniście. Zgromadzeni runęli na kolana.

- Przyjmujemy dzisiaj do naszej wspólnoty nowego członka. Brat Robert przybył tu miesiąc temu. Odbywał kwarantannę w skrzydle dla nowicjuszy. Wykazał się wielkim hartem ducha podczas prób. Stał się przez to miły Panu, a zatem i nam wszystkim. Witamy cię, bracie Robercie.

- Witamy cię - odpowiedzieli.

Z umiejscowionego przy ołtarzu bocznego wejścia wyszła wysoka postać odziana w szary habit z kapturem.

- Podejdz, bracie, stań przy mnie.

Zgromadzeni zastygli, nasłuchując w ciszy. To było coś wyjątkowego. Ich duchowy przewodnik nakazywał nowo przyjętym leżeć krzyżem co najmniej pół dnia, a czasem nawet całą noc. Tymczasem tego członka zgromadzenia traktował jak równego sobie.

- Nie dziwcie się - zawołał kapłan. - Ten człowiek jest wyjątkowo miły Bogu, a zatem powinien być miły także nam wszystkim. To nie jest zwyczajny przybysz z zewnątrz, który musi poznać dogłębnie zasady, ale w pełni ukształtowany, doskonały świadek potęgi Pańskiej. Wie, co znaczy bojaźń Boża, i wie, co znaczy poświęcenie w imię Jezusa Chrystusa!

W tej chwili człowiek w habitcie zatrzęsł się, potem skulił i przycisnął ręce do twarzy, chowając je w czeluści kaptura.

- Spójrzcie - wskazał dłonią kapłan - na sam dźwięk imienia naszego Pana zaczyna przez niego płynąć Boża energia. Wystarczy już, bracie, uspokój się. Ukaż oblicze swoim braciom i siostram.

Przybyły posłusznie zdjął kaptur. Oczom wiernych ukazała się twarz gładka, pozbawiona zmarszczek, przywodząca na myśl zarazem oblicze młodzieńca, jak i starca. Sprawiała wrażenie nieco opuchniętej, jakby pod skórą goiły się jakieś rany. Trudno by było określić, ile mężczyzna ma lat. Prawdopodobnie był już doświadczony życiowo, o czym świadczyły żylaste dłonie i przenikliwe, twarde spojrzenie brązowych oczu, które zdawało się wdzierać w głąb duszy.

- Witaj, bracie Robercie. - Kapłan obrócił się ku niemu i objął przyjacielskim uściskiem. - Bądź nam rad, jak i my tobie jesteśmy.

Na znak prowadzącego modlitwę ludzie wstali.

- Dzisiejszej nocy siostry Weronika, Magdalena i Zofia zostały wyznaczone do czuwania w małej kaplicy przy wiecznym ogniu - oznajmił kapłan. - Jak zawsze przyjdzie po was siostra Marietta, która przeprowadzi ablucje, przygotowanie do posługi i zaprowadzi was do głównej świątyni.

*

Siedzieli w Ogrodzie Saskim. Michał lubił to miejsce. Wolał je nawet od bardziej zacisznych, intymnych zakątków Łazienek. Może dlatego, że tutaj po wyjściu z oazy zieleni można było od razu wskoczyć w rytm wielkomiejskiego życia. Blisko stąd było i do placu Bankowego, i do centrum. Wprawdzie odgłosy samochodów, klaksonów, łoskot tramwajów docierały bez większego trudu do samego serca parku, ale przefiltrowane przez liście, przytłumione kępami krzewów nie były dokuczliwe, nie zakłócały myśli.

- Patrz, jaka babeczka. - Michał poczuł lekkie szturchnięcie.

Paweł wskazał brodą idącą alejką kobietę. Była dość wysoka, solidnie zbudowana, ale przy tym bardzo zgrabna. Może nie w typie Wrońskiego, jednak miała sporo uroku.

- Takiej bym z łóżka nie wyrzucił - mruknął Paweł. A po chwili dodał: - Powiem więcej: takiej bym z łóżka nie wypuścił. Po Warszawie kręci się tyle szprych, że czasem się zastanawiam, kto je wszystkie obrabia.

- Możesz się skupić na temacie? - spytał niecierpliwie Michał.

- Daj spokój, życie to coś więcej niż praca.

- Ta sprawa to też coś więcej! Nie mam czasu do stracenia.

Paweł machnął ręką.

- Czas to pojęcie względne - powiedział leniwie. - Ja znajduję go zawsze dosyć.

- Gratuluję - warknął Wroński. - Też bym tak chciał. Jak na razie, niestety, nie mogę się wyluzować, idąc za twoim przykładem. Jesteś w stanie się czegoś dowiedzieć czy nie?

- Ja zawsze jestem w stanie zdobyć informacje - burknął Paweł z urazą. - To powinienes wiedzieć.

- Tak mówił mi Jacek, dając twój namiar. Ale nie mogę mieć pewności, czy się nie mylił. Chcesz gadać, proszę bardzo, ale jeśli masz zamiar opowiadać o warszawskich laseczkach, podeślę ci tu jakiegoś niewyżytego emeryta, z nim łatwiej się dogadasz.

- Ostry jesteś - uśmiechnął się Paweł. - Bzowski miał rację. Właśnie tak sobie ciebie wyobrażałem, kiedy mi o tobie opowiadał.

- Gówno tam ci o mnie opowiadał - szarpnął się niecierpliwie Michał. - To nie jest plotkarz, tylko rzetelny oficer. Nawet jeśli go spijesz do nieprzytomności, nie wypuści pół słowa o poufnych sprawach. Nie próbuj ze mną tak durnowato pogrywać. Po prostu przed spotkaniem zebrałeś o mnie informacje.

Paweł uśmiechnął się, kiwnął z uznaniem głową.

- Nerwowo jesteś, ale bystry.

Kiedyś Jacek podał Michałowi numer telefonu tego człowieka. „Ten gość wie o naszej pracy wszystko”, powiedział, „a jeśli czegoś nie wie od razu, jest w stanie uzyskać każdą informację”. Wroński, rzecz jasna, zapytał od razu, dlaczego w takim razie nie pracuje w firmie. „Bo jego wiedza jest swoistego rodzaju. Nie odpowie na pytanie o typowe szpiegowskie sprawy. To ktoś, kto zbiera informacje w ściśle określonym wycinku wywiadowczej rzeczywistości”. Wtedy porucznik wziął numer i schował go głęboko. Nie zastanawiał się nad uwagami przyjaciela, bo nie miał ku temu najmniejszego powodu. Po prostu wyrzucił rozmowę z pamięci. Dopiero wczorajszego wieczoru, tuż przed zaśnięciem, kiedy umysł wyciszył się i uspokoił, pojawiła się scena z tamtego dnia. Zerwał się natychmiast z łóżka i przewrócił szuflady do góry nogami. Jak zwykle w takich przypadkach bywa, pożądaną karteluszek znalazł dopiero, kiedy przejrzał już prawie

wszystko. Nie bacząc też na późną porę, wybrał numer. Paweł nie wydawał się zdziwiony telefonem. Sprawiał wrażenie, jakby już dawno przywykł do takich rozmów. Natychmiast podał czas i miejsce spotkania, po czym rozłączył się. Michał domyślał się, dlaczego był taki lakoniczny. Na pewno dysponował kodowanym łączem. Im dłużej prowadziłby rozmowę, tym łatwiej byłoby go namierzyć komuś z zewnątrz.

- Możesz mi pomóc czy nie?

- Mogę się postarać. Ale chyba nie oczekujesz, że zrobię to za bezdurno?

Michał wzruszył ramionami.

- Jeśli tylko mnie stać, zapłacę.

- Daj spokój - odparł pogodnie Paweł z beztróskim uśmiechem. - Forsy mam dość. Ale jest inny towar: przysługa za przysługę.

- Jeśli tylko będę mógł. Gadaj.

- Nie teraz. Kiedyś mogę mieć do ciebie sprawę. Tak się kręci ten interes. Biorę pieniądze tylko od tych, od których nie spodziewam się niczego poza gołą wdzięcznością. Takim jak ty załatwiam sprawy za piękne oczy. Ale pewnego dnia mogę się zgłosić i zażądać spłaty długu. Albo i nie, to zależy od okoliczności. Nie obawiaj się - zamachał rękami - nie będziesz musiał łamać prawa. A nawet jeśli, to tylko trochę. To jak, zgoda?

Michał kiwnął głową, zamyślił się. Czym ten gość się właściwie zajmuje? Dostęp do informacji tak poufnych, że nie mogą wyjść poza wydział kontroli, to nie w kij dmuchał, to wymaga naprawdę szerokich kontaktów i znajomości niedostępnych dla zwykłego pracownika kontrwywiadu.

- Dla kogo pracujesz naprawdę? - spytał. - Jakaś utajniona agenda MSW albo MON? A może dla kancelarii prezydenta? Nie - odpowiedział natychmiast sam sobie. - W resortach siłowych i Pałacu Prezydenckim zmiany są zbyt szybkie i niespodziewane. To coś innego. - Zmrużył oczy, uważnie obserwując twarz rozmówcy. - To musi być coś innego, może organizacja międzynarodowa? Europol, Interpol?

- Dosyć - uciał sucho Paweł. - Jesteś bystry, ale nie kombinuj za dużo. Chcesz wiadomości, dobrze, ale bez zbytecznego obwąchiwania źródeł.

- Dobra. Tak tylko głośno myślałem.

- W takim razie w przyszłości myśl cicho. Nie obchodzi mnie, co sądzisz. Jednak to, dla kogo pracuję, powinno być dla ciebie bez znaczenia. Rozumiemy się?

Tym razem to Michał uśmiechnął się beztrosko. Był zadowolony, że udało mu się rozdrażnić tego ostentacyjnie wyluzowanego, pewnego siebie osobnika.

- Pewnie, że się rozumiemy. Przynajmniej w tej sprawie.

Paweł spojrział w niebo, potem znów skierował wzrok na porucznika.

- Dobry jesteś - mruknął. - Może kiedyś zaproponuję ci zajęcie ciekawsze niż uganianie się za szpiegami i grzebanie w pokręconych, nierozwiązywalnych dochodzeniach.

Dzień zaczął się koszmarnie. Budzik nie zadzwonił. Oczywiście była to wina samego Michała, który zapomniał go wieczorem włączyć. Był tak zamyślony, że przeoczył nawet ulubiony serial kryminalny Morderstwa w Midsomer. W zasadzie był to jedyny film ukazujący pracę policji, który oglądał z zainteresowaniem i bez obrzydzenia. Może dlatego, że niespiesznie prowadzona akcja dziejąca się na angielskiej prowincji nie wymagała gonitwy myśli, urzekła prostotą, a zarazem zaskakującymi rozwiązaniami. No i te widoki - urocze domki, stare kościoły i pałacyki, wszechobecna zieleń. Patrząc na zmagania inspektora Barnaby'ego, starał się wczuć w psychikę prowincjonalnego gliniarza, który dochodzi do rozwiązania spraw nie błyskiem geniuszu, ale za pomocą mozolnych metod śledczych i długotrwałych przemyśleń. Nawet chwile olśnienia, kiedy łamigłówka zaczynała się układać w spójną całość, poprzedzone były ciężką pracą.

Klął, goliąc się w pośpiechu. Spóźnienie mogło skończyć się kolejnym dywanikiem u pułkownika. Wroński miał już tego powoli dosyć. Manke nikogo nie czepiał się tak jak jego.

Codziennie żądał raportów, kontrolował każdy krok porucznika. Michał zauważył nawet kilka razy podejrzone indywidua, podążające jego śladem. Potrafił się uwolnić od niechcianego towarzystwa, ale świadomość bycia obserwowanym była przykra i niepokojąca. Tylko dlatego, że przyjaźnił się z zatrzymanym majorem, trzeba było dawać mu do zrozumienia, że i on jest podejrzany?

Jechał samochodem jak wariat, łamiąc wszystkie możliwe przepisy. Oczywiście miał pecha - natknął się na patrol. Zanim wytłumaczył co i jak, błyskając legitymacją, zanim zniechęcił sierżanta do wypisywania mandatu, minęło kolejnych kilka minut. W efekcie wpadł do wydziału dobry kwadrans po czasie. To wystarczyło.

- Pan najwyraźniej lekceważy obowiązki - powiedział Manke zamiast „dzień dobry”. - O której przychodzi się do biura? To nie sowiecki kołchoz, ale poważna państwowa instytucja.

Michał słuchał tej gadki z zaciśniętymi szczękami. Przecież już po jego wejściu przyszło do pracy spóźnionych jeszcze dwóch innych kolegów, a jednak pułkownik się nimi nie zainteresował. Najwyraźniej

gnojenie przyjaciela byłego dyrektora sprawiało mu niewysłowioną radość.

- Mam tego dość - oznajmił Wroński. W palarni poza nim byli jeszcze Maciek i Szczepan, zajmujący pokój naprzeciwko. - Pierdole, jeszcze raz urządzi mi taki pokaz, a rzucam legitymację.

- Daj spokój - mruknął Szczepan. - Przecież nie będzie cię męczył wiecznie. Wszyscy mamy przesrane, nie tylko ty.

- Ale ja w szczególności.

- Nie da się ukryć - rzucił Maciek. - Tak to jest, kiedy zmienia się władza. Ci, co byli najbliżej koryta, dostają największe cięgi. - Ostatnim słowem towarzyszył złośliwy uśmiezek.

Michał spojrział na kolegę jak pies na muchę. Maciek zmieszał się trochę, ale wytrzymał wzrok porucznika. Tak, Wroński zdawał sobie sprawę, że jego zażyłość z Bzowskim wywoływała u niektórych zazdrość. Nikt jednak nie chciał przyjąć do wiadomości, że Jacek wcale nie oszczędza przyjaciela. Wręcz przeciwnie, jeśli trzeba było wykonać jakieś wyjątkowo niewdzięczne zadanie, zlecał je właśnie jemu. Niewątpliwie także po to, żeby uniknąć podejrzeń o kumoterstwo. Premii Michał też nie dostawał wyższych niż inni, zawsze w miarę zasług, ale także i możliwości firmy, z tymi bywało zaś różnie. Departament Spraw Archiwalnych był gorzej finansowany niż agendy zajmujące się typową działalnością wywiadowczą i kontrwywiadowczą. Niestety, jak do tej pory żaden rząd należycie nie docenił pracy tych, którzy mieli za zadanie grzebać się w prawie zapomnianych sprawach, choć nader często właśnie te dochodzenia wiązały się z nowymi zadaniami, odsłaniały kulisy aktualnych dochodzeń. Przywoływanie przeszłości nie było zwyczajnym wycieraniem kurzu z poźółkłych teczek.

- Co chciałeś przez to powiedzieć? - spytał groźnie Wroński.

- Tylko tyle, że trzeba zbierać, co się zasiało. - Maciek znów uśmiechnął się złośliwie.

- Jak się człowiek zadaje z przestępcą, musi się liczyć z tym, że sam się stanie podejrzany.

Michał patrzył na wykrzywioną szyderstwem twarz współpracownika. Stała się podobna do oblicza paskudnego gнома z książeczki dla dzieci. Porucznik powstrzymał się ostatkiem sił, żeby nie

trzasną pięścią w tę zadowoloną, rozpromienioną gębę. Maciej jednak nie zamierzał przestać.

- W dodatku istnieje duże prawdopodobieństwo, że kumpel kryminalisty sam jest nieźle umoczony.

- Wyłazi z ciebie mały, płytki, zazdrosny gnojek - wycodził Wroński. - Taki kurdupelkowaty Maciuś, który grzebie łopatką w piaskownicy i zazdrości koledze, bo tamten ma odwagę huścić się bardzo wysoko, pod samą belkę. Mógłby też spróbować, ale boi się ryzyka. Bo co będzie, jak się okaże, że nie umie? Albo zaczniesz płakać ze strachu? Siedź ty lepiej i rób babeczki, bo poza piaskownicą może być niebezpiecznie. O tym już chyba zdążyłeś się przekonać?

Maciek zagryzł wargi. Wiedział, do czego Michał pije. Każdy w firmie by się zresztą domyślił. Kiedyś zgłosił się na akcję. Był niedoświadczonym, świeżym pracownikiem, a rzecz dotyczyła schwytania wielokrotnego mordercy, który działał na terenie Niemiec, Francji i Polski. To też była dawna sprawa, którą odgrzał zresztą sam Jaj cek Bzowski. Podczas akcji Maciek załamał się. Nie było żadnego większego niebezpieczeństwa, bo facet nie spodziewał się zupełnie, że ktoś jeszcze może grzebać w dawno zamkniętym śledztwie. Ale sama świadomość stanięcia oko w oko z bezwzględny typem okazała się zbyt wielkim wyzwaniem dla młodego, wrażliwego człowieka. Potem Maciek spędził ponad rok, przekładając papiery, zanim dano mu następną szansę. Michał wiedział, że przy następnej podobnej okazji chłopak wykazał się odwagą, ale czuł, że wspomnienie upokorzenia tkwi głęboko w jego duszy. Przez chwilę zdawało się, że rzuci się na Wrońskiego. Zamiast tego wypalił:

- Ja przynajmniej umiem chronić moich bliskich. Nie wystawiam ich na strzał.

To było celne uderzenie - wspomnienie śmierci ukochanej. Przed oczami Michała przeleciał ciąg wspomnień. Huk wybuchu, szalony bieg po schodach, widok szczątków samochodu i leżące kilkanaście metrów dalej ciało Doroty... I rozpacz, a także straszliwa pustka w sercu. Pustka, której przez ostatnie miesiące nie zdołał niczym zapełnić.

Zanim pomyślał, co robi, zobaczył Maćka uderzającego plecami w ścianę i osuwającego się na podłogę. Dopiero po chwili do świadomości Wrońskiego dotarły odgłos uderzenia i ból w knykciach

lewej dłoni. Usta współpracownika rozchyliły się, popłynęła z nich krew. Z opóźnieniem Michał poczuł, że ktoś go powstrzymuje przed zadaniem następnego ciosu. Szczepan złapał go od tyłu pod łokcie, unieruchomił ramiona.

- Daj spokój - mówił. - To bez sensu.

- Zostaw - zachrypiał Wroński. - Już skończyłem z tym gnojkiem.

Szczepan puścił go powoli, z wahaniem. Michał, nie oglądając się, wyszedł z palarni, trzaskając z całej siły drzwiami.

*

Wczesna jesień zabarwiła rzekę na charakterystyczny bury kolor. Wędkarz stał na brzegu, wpatrzony w splot. Nie miał nadziei złowić nawet jednej małej sztuki, jednak cisza i widok przelewającej się leniwie wody uspokajały go. Oderwał się od codziennej bieganiny, natłoku obowiązków, chaosu spraw. Kiedyś, jeszcze pięć, dziesięć lat temu nigdy by się nie zdecydował na takie spędzanie czasu. Moczenie kija, jak pogardliwie określał łowienie, zdawało się zajęciem dobrym dla ludzi, którzy nie mają nic ciekawego do roboty. Potem zmienił zdanie. Pozwolił się wyciągnąć przyjacielowi na ryby raz i drugi. Z początku krzywił się i wzdragał przed nabiciem robaka na haczyk, przed wejściem do wody po szamoczącą się zdobycz. Co być może w tym fascynującego? Ale potem zaczął się wciągać. Dotarło do niego, że łowienie może być tylko pretekstem, a samo złapanie ryby jest jedynie czymś, co dzieje się przy okazji, a chodzi jedynie o tę odrobinę spokoju. Dlatego zdarzało się, że nie jechał na tereny popularne wśród wędkarzy, ale stawał w miejscu takim jak to, w zakolu Odry, wiedząc, iż prędzej upoluje się tu zajaca niż leszcza czy okonia.

Gdzieś daleko pozostały sprawy biura i notowań giełdowych. Skryty się za horyzontem, wypchnięte przez doznanie leniwego spokoju. Wędkarz zakręcił kołowrotkiem, wyciągnął z wody żyłkę zakończoną haczykiem, na którym tkwił kawałek gotowanej kukurydzy. Przynęte też założył taką, żeby niekoniecznie kusila wodnego drapieżnika, gdyby jakimś cudem pojawił się w pobliżu. Sprawdzał obciążniki, poprawił splot, zebrał pod palcami zapas żyłki, po czym zakręcił wędką nad głową. Sprężysta końcówka wygięła się, wirując przybrała

kształt rozmazanego koła i wystrzeliła do przodu. Wędkarski ładunek leciał długo i daleko. Mężczyzna uśmiechnął się zadowolony. To było coś, co potrafił wykonywać perfekcyjnie - imponujące rzuty.

Znów zakręcił kołowrotkiem, powtórzył czynności przygotowujące do rzutu, wędka zawisła. Żyłka ze splotem, ciężarkami i haczykiem ze świstem pomknęła nad falami, by opaść dobre dwadzieścia pięć metrów od brzegu.

Mężczyzna westchnął i spojrzał pod słońce. Uwielbiał tę porę roku. Ziemia pachniała w niepowtarzalny, cudowny sposób - trochę wilgocią butwiejących liści, trochę jakby bukowymi orzeszkami, wspomnieniem pierwszych opadów. Rano na zielonej trawie pojawiał się szron. Wtedy, jeśli zapomniał wprowadzić samochód do garażu, musiał skrobać szyby, traktować je odmrażaczem. Z jednej strony denerwowało go to, bo przecież poranny pośpiech i tak dalej... Ale z drugiej cieszył się słońcem wstającym znad horyzontu, kiedy przemierzał swoją stałą trasę do Wrocławia. Dzisiaj wcześniej urwał się z pracy. Na szczęście szef instytucji finansowej, pomimo uciążliwych obowiązków, może sobie czasem pozwolić na małą wycieczkę bez konieczności tłumaczenia się przełożonym.

Nagle poczuł lekkie szarpnięcie. Przez ciało przeleciał nieświadomy dreszcz podniecenia. W takich chwilach w człowieku odzywa się, uspiiony w zwyczajnych okolicznościach, instynkt łowcy. Odruchowo zaciął wędkę, pociągnął mocniej. Napotkał opór - najwyraźniej ryba połknęła haczyk. Na pewno spora sztuka. Żyłka naprężyła się, wędzisko mocno wygięło. Czyżby w tym beznadziejnym miejscu miał dzisiaj wyciągnąć coś na kolację? Uśmiechnął się do siebie. Żona się zdziwi, z pewnością będzie przekonana, że kupił gdzieś dużą rybę, żeby się tylko pochwalić. Czekał na walkę. Zwierzę na pewno zechce odzyskać wolność za wszelką cenę. Ostrożnie podciągnął, nawinął na kołowrotek poluzowany kawałek żyłki, znów poczuł duży opór. To było dziwne, ale ryba nie szarpała się, nie wrywała. Cóż, czasem i tak się zdarzało. Może doświadczone zwierzę czai się do ostatniej chwili, zbiera siły na decydujące starcie. Tym razem odważniej zaciągnął wędkę, jeszcze raz i jeszcze. Zdobycz zdawała się już pewna. Na wodzie pojawił się szary grzbiet, wzbudził dookoła drobne fale. Wędkarz, gdyby miał wolne ręce, z pewnością przetarłby z

niedowierzaniem oczy. Czy ktoś mu uwierzy, że złowił coś tak ogromnego? Spróbował pociągnąć dalej, jednak bezskutecznie.

Podeksycytowany nie wytrzymał - wskoczył do rzeki, nie bacząc, że ma sportowe buty.

Nie czuł, jak zimna jest woda. Szedł ostrożnie w kierunku zdobyczy, wprawnie nawijając żyłkę na kołowrotek. Pociągnął, zaparł się stopami o dno. Coś jakby drgnęło, ale bardzo leniwie. Wielkie, szare cielsko niechętnie podążyło w jego kierunku. Wędkarz stał osłupiały, wpatrując się z niedowierzaniem w to, co zobaczył. Przez głowę przeleciały obrazy z różnych filmów, ciąg skojarzeń. Kiedy wreszcie dotarło do niego, co złowił, wyskoczył na brzeg.

Rzucił na ziemię wędkę, stanął na niej obiema nogami, by uwięziony przedmiot nie odpłynął razem z nią, sięgnął po telefon. Na szczęście nie włożył go do kieszeni przemoczonych teraz spodni, ale zostawił obok wędkarskich przyrządów.

*

- Musisz się do niego zbliżyć.

- Postaram się.

- „Postaram się” mnie nie interesuje. Przez niego najprędzej możemy trafić do tego, kogo szukamy.

Siedzieli tyłem do siebie na podwójnej ławeczce w ciemnym parku. Nigdy nie widziała twarzy zleceniodawcy. Wiedziała, że nawet gdyby się teraz obejrzała, niewiele zobaczy. Wybierał zawsze miejsca, w których światło było bardzo przyćmione, a w zasadzie żadne. Nieraz miała wrażenie, że rozmawia z duchem, a nie żywym człowiekiem. Zresztą jego głos zawsze zdawał się jakiś oddalony, nieobecny.

- Skorzystaj z jakiejś okazji. Stwórz taką okazję.

- On jest aż taki ważny?

- On sam nie. Ale to, czego może się dowiedzieć i dokąd może nas zaprowadzić - tak.

Milczała przez chwilę. Czowała zimno ciągnące od wilgotnej ziemi. Powinna była włożyć spodnie, a nie spódnice.

- Czy następnym razem spotkamy się w innym miejscu? - spytała. - To tutaj jest takie jakieś... operetkowe i w dodatku nie nadaje się na tę porę roku.

- Jest doskonale - odparł. - Tu nas nikt nie podsłucha i nie zobaczy. Nie natkniemy się nawet na żuli, bo jest zbyt ciemno. A podsłuchu między drzewami nie da się założyć, jak to bywa w kiepskich powieściach sensacyjnych. To bzdura i fantazja. Zresztą moi ludzie pilnują, żeby nikt nam nie przeszkadzał, przecież wiesz. Ale dobrze, następne spotkanie postaram się zorganizować w bardziej przytulnej atmosferze. Ty myśl o tym, jak wypełnić zadanie.

- A kiedy nas już doprowadzi do celu? Co wtedy?

- Zobaczymy. To na razie sprawa drugorzędna.

- Rozumiem. Co mam robić w razie kłopotów, gdyby zaczął się zachowywać podejrzanie albo stworzył zagrożenie?

- Nie powinnaś w ogóle zadawać takich pytań. Sama wiesz najlepiej.

Pułkownik obserwował Michała spod groźnie zmarszczonych brwi
 - Tym razem chyba pan przesadził. Zgodzi się pan ze mną, poruczniku?

Wroński nie odpowiedział, zapatrzony w przestrzeń nad głową: przełożonego.

Właściwie nie tyle w przestrzeń, co w drobny odprysk na ścianie.

- Zgodzi się pan ze mną? - powtórzył głośniejsz Manke. - Pobicie współpracownika to poważne wykroczenie.

- Mógł mnie nie prowokować - wymamrotał Wroński.

- A pan nie powinien dać się sprowokować. Zresztą może by to wszystko zostało między wami, gdyby nie była potrzebna interwencja lekarza.

Interwencja lekarza, też coś! Maciuś zachował się jak zwyczajna ciota. Nie miał wybitych zębów i obyło się bez zabiegu chirurgicznego. Łapiduch wysmarował mu mordę jodyną, oczyścił z krwi i kazał iść do domu, ale nie dał nawet zwolnienia. W takiej pracy człowiek powinien być przygotowany na urazy o wiele poważniejsze niż cios w twarz. Ale niektórzy lubią się odegrać, a Maciek wiedział, że wiadomość o agresji kolegi będzie wodą na młyn nowego szefa.

- Obawiam się o pańską formę psychiczną - ciągnął pułkownik. - Dla osoby tak skłonnej do wybuchów nie ma miejsca w naszym biurze.

- W tym biurze - Wroński przestał kontemplować ścianę i skierował wzrok na pułkownika - nie ma miejsca dla tych, którzy samodzielnie myślą i naprawdę chcą coś robić. Zamienia pan tę instytucję w zwyczajnego biurokratycznego trupa. Czyżby miał pan za zadanie udowodnić władzom, że powinna przestać istnieć?

- Pozwalasz sobie na zbyt wiele, synu - odparł groźnie Manke.

- Nie przypominam sobie, żebyśmy byli na ty - odszczeknął się natychmiast porucznik. Było mu wszystko jedno.

- O co panu właściwie chodzi, dlaczego się pan tak ciska?

Michał przymknął oczy, policzył w duchu do dziesięciu i z powrotem.

- Jacek został zatrzymany za udział w grupie przestępczej - powiedział spokojnie, tłumiąc narastającą z każdą chwilą złość. - Miał

brać łapówki, ułatwiać mafiosom dostęp do tajnych informacji, uczestniczyć w sprzedaży dokumentacji Bursztynowej Komnaty. To przecież bzdura!

- Dlaczego bzdura?

- Bo dyrektor działu zajmującego się dawnymi sprawami sam nie ma dostępu do materiałów, które mogą zainteresować przestępczość zorganizowaną. Chodzi tutaj o coś innego.

- Doprawdy? - uśmiechnął się sceptycznie Manke. - Tak pan sądzi? A przecież właśnie pan mi pokazał, że oficer kontrwywiadu może zdobyć poufne wiadomości, wcale niezwiązane z jego pracą. Przecież informacje o przestępstwach Bzowskiego w ogóle nie dotyczą tutejszych dochodzeń, a wręcz przeciwnie: są świeże i jeszcze nie zebrano wszystkich dowodów. Skąd pan w ogóle wie, jakie zarzuty postawiono majorowi? - Podniósł nagle głos o kilka tonów, nadając mu ostre, metaliczne brzmienie.

Michał wydał wargi. Trudno było odmówić słuszności pułkownikowi - zdobycie informacji to nie jest największy problem pracownika służb specjalnych. Jednak nie potrafił uwierzyć w winę przyjaciela. Może gdyby mógł z nim porozmawiać, spojrzeć w oczy, wiedziałby więcej. Ale widzenie było nierealne. Próbując je załatwić, natknął się na prawdziwy mur niechęci i złej woli. Musiał bazować na informacjach uzyskanych przez Pawła. Ten też nie powiedział zbyt wiele. W ogóle podczas drugiego spotkania sprawiał wrażenie przestraszonego, zniknął gdzieś cały jego luz. Na parkowej ławeczce zabawił tylko tyle, ile trwało przekazanie garści wiadomości.

- To straszne gówno - oznajmił na koniec. - W ogóle bym tu nie przyszedł, gdyby nie to, że znam Bzowskiego od lat. Robię to dla niego, nie dla ciebie, chociaż nie wiem, czy warto ryzykować, bo wygląda, że Jacuś wpięprzył się w głębokie, cuchnące bagno. Jest oficjalnie oskarżony o współpracę z przestępczością zorganizowaną, ale nieoficjalnie...

Paweł musiał być naprawdę wzburzony, bo nawet nie zwrócił uwagi na tę samą kobietę, którą dzień wcześniej tak się zachwycił. Szła aleją w stronę placu Bankowego, zadumana, nie zwracając uwagi na otoczenie. Michał pomyślał przelotnie, że to zapewne jej codzienna trasa. Zaraz jednak o niej zapomniał. Kiedy usłyszał prawdę na temat

zarzutów postawionych Jackowi, przestał się dziwić nerwowości rozmówcy. Sam poczuł, jakby nagle otrzymał potwornie mocny cios w głowę i ocknął się na innym świecie niż ten, który znał do tej pory.

- Skąd pan ma informacje na temat przyczyn aresztowania majora? - Manke nie ustępował, stawał się coraz bardziej napastliwy.

- Moja sprawa - odparł niegrzecznie Wroński. - Naprawdę oczekuje pan, że powiem? Chyba nie jest pan aż tak... - ugryzł się w język. Dokończyć to zdanie byłoby jednak grubą przesadą.

- Nie - pułkownik uspokoił się równie nagle, jak wybuchł. - Nie jestem aż tak głupi. Natomiast nabieram coraz większych wątpliwości co do pełni pańskich władz umysłowych. Pan sądzi, że mam za zadanie zlikwidować biuro? Jednostkę, w której pracują ludzie o najwyższych kwalifikacjach, potrafiący wysnuć konstruktywne wnioski praktycznie z niczego? Nie mówię tutaj oczywiście o bzdurach, które wypisuje pan na temat tajnego bunkra Hitlera. Zdaję sobie sprawę, że te dyrdymały to tylko zasłona dymna. A czym się pan zajmuje naprawdę, miałem okazję przekonać się przed chwilą. Proszę mi nie przerywać. - Zdecydowanym gestem powstrzymał podwładnego, który zbierał się do odpowiedzi. - Moim zadaniem absolutnie nie jest zniszczenie tego biura, poruczniku. Ja mam je oczyścić. Zostałem skierowany, aby dokonać oceny pracy, ale nie tylko. Polecono mi, a zostało to uzgodnione na najwyższym szczeblu, abym ustalił, kto ma zostać, a kto odejść. Czy to jasne? Czy jest pan w stanie wyciągnąć z tego należyte wnioski i pojąć, jakie będą konsekwencje?

- Oczywiście. To znaczy, że od tej chwili gramy w otwarte karty. - Michał sięgnął do kieszeni marynarki. - Pan jest czyścicielem, ja szumowiną. Nadszedł czas ostatecznych rozstrzygnięć.

Pułkownik wpatrywał się przez dłuższą chwilę w legitymację, którą porucznik przed nim położył.

- Ma pan rację, nadszedł czas ostatecznych rozstrzygnięć, a my musimy odbyć ostateczną rozmowę.

- Takie jest życie - wzruszył ramionami Michał. - Nic nie trwa wiecznie.

- Właśnie. Ale zanim pan trzaśnie drzwiami mojego gabinetu tak, że nawet na portierni tynek polecą z sufitu, musimy jeszcze załatwić kilka

formalnych spraw. Mam też wrażenie, że nie do końca mnie pan rozumiał.

*

- Wiecznie chowasz twarz w cieniu - powiedział kapłan. W tej chwili w niczym nie przypominał natchnionego duchowego przewodnika z porannego nabożeństwa. Póležał na wielkim łożu i leniwie, prawie podświadomym gestem gładził krągłe biodro śpiącej dziewczyny. - Bracie Robercie - dodał lekko drwiącym tonem.

- To przyzwyczajenie, którego nabrałem w ciągu ostatnich miesięcy - odparł mężczyzna, który nawet w tej chwili był widoczny tylko od linii ramion w dół. - Zaszczuty człowiek nabiera nawyków dzikiego zwierzęcia.

- Tutaj jesteś bezpieczny.

- Wiem. Jednak niepotrzebnie kazałeś mi ukazać twarz przed zgromadzeniem. - W głosie mówiącego zabrzmiała pretensja.

- Przecież mianowałem cię moją prawą ręką. Wyznawcy muszą wiedzieć, kto nimi rządzi. Zasady wprowadzania nowych członków są twarde i nie mogą być znacząco modyfikowane. Przynajmniej nie musiałeś leżeć krzyżem przez całą noc.

- Przez całą noc to ja mogę leżeć, ale na krzyżu ładnej suczki. - Brat Robert roześmiał się oblesnie. - Wiesz przecież, Romek, że moim ulubionym zajęciem jest rżnięcie - dziwek i gardeł.

- Wiem, nie musisz mi przypominać - skrzywił się kapłan. - A propos tego drugiego: mam nadzieję, że więcej nie trzeba będzie po tobie tyle sprzątać. Pamiętaj, to zgromadzenie miłości, a plama krwi na dywanie może wzbudzić uzasadniony niepokój.

Ukryty w cieniu mężczyzna poruszył się niespokojnie i odepchnął rękę dziewczyny.

- Na pewno są porządnie naćpane? - spytał. - Przecież gdyby usłyszały...

- Nie bój się. Marietta osobiście pilnuje odpowiedniego dawkowania. Kiedyś była anestezjologiem, zna się na rzeczy.

- Całkiem niezła z niej laska, chociaż trochę już przechodzona - zauważył lubieżnie Robert. - Taka na pewno sporo umie.

- Jej nie ruszaj - odparł ostro kapłan. - Jest nietykalna.
- Rozumiem, nie będę wkraczał na twoje podwórko, możesz mi zaufać.
- Zaufać ci? - roześmiał się przewodnik duchowy. - To może od razu dam ci numer mojego konta? Za długo się znamy, prawda? Ła... - nie dokończył, powstrzymany wściekłym syknięciem. - Ładnych dwadzieścia parę lat. O co ci chodzi?
- O nic. A zaufać mi możesz. Przynajmniej do czasu, kiedy mamy wspólne interesy. Nie ruszę tej twojej Marietty, wszystko rozumiem, Romeczku.
- Nic nie rozumiesz! - zachnął się kapłan. - Marietta jest naprawdę nietykalna. Żaden z nas nie może z nią kombinować. Ani ja, ani ty, ani nikt inny. To pieprzona, stuprocentowa lesba, teraz kumasz? Trzymam ją, bo trudno znaleźć lepszego fachowca.
- Aha, teraz jasne. Cóż, podobno o gustach się nie dyskutuje, ale szkoda ją marnować na te ich macanki i palcóweczki. Takiej by trzeba wsadzić porządnego...
- Pora się zbierać - przerwał mu kapłan. - Musimy się umyć, zjeść coś. Za parę godzin zaczynamy nocne czuwanie.
- Muszę tam być?
- Musisz. To przygotowanie do obrzędów, które traktujemy ze śmiertelną powagą. Zwolnić z czuwania mogą tylko nagła choroba albo niecierpiące zwłoki obowiązki.
- A co to niby za obrzędy?
- Nie teraz. Dowiesz się w swoim czasie. A co do Marietty - dodał po chwili - nawet jeśli to lesbijka, zimna dla mężczyzn niczym bryła lodu, jest wierna jak suka. Można na niej polegać w każdej sprawie. Zresztą już się o tym przekonałeś. Zadanie dotyczące tamtego człowieka wykonała przecież celująco. To dzięki niej udało się...
- Za dużo gadasz - warknął Robert. - Nie powinieneś o tym mówić nawet w mojej tylko obecności.
- Strasznie jesteś ostrożny. Nie przesadzasz?
- Nie!

Michał drzemał z głową opartą o zagłówek. Pociąg kołysał się miarowo. Wroński zapomniał już właściwie, jak brzmi stukot szyn w nocnym składzie. Jest zupełnie inny niż w dzień, bardziej intensywny, a jednocześnie jeszcze mocniej usypiający. Na półce nad głową spoczywały dwie walizki. To było wszystko, co zabrał w podróż. Nie lubił przywiązywać się do rzeczy. Spakował tylko ubrania i parę książek. Resztę dobytku zostawił w służbowym mieszkaniu. Niech się nimi cieszy następny lokator. Opuszczenie wygodnej kwatery było symbolem zakończenia dotychczasowego życia. W pracy przyszedł się z nim pożegnać tylko Szczepan.

- Będzie mi ciebie brakowało - powiedział, klepiąc Wrońskiego po ramieniu. - Byłeś jedynym gościem, który potrafił się naprawdę postawić władzy.

- Ty też spróbuj - odparł z wymuszonym uśmiechem porucznik.: - To bardzo przyjemne.

- Co będziesz teraz robił? Dostałeś wilczy bilet?

- Coś ty, za dużo wiem. Nas się nie wyrzuca. Nas się przenosi, a Mankemu wystarczyło, że mnie po prostu usunął ze swojego królestwa.

- Wrócisz do nas, jeśli coś się zmieni?

Michał zamyślił się. Przypomniawszy sobie stosy papierów, nudne, jakże często zupełnie jałowe odprawy i szwendanie się po różnych zakazanych miejscach. Poczł zmęczenie, a zarazem do końca jeszcze nieokreślone uczucie jakby lekkiej tęsknoty. Niech to cholera, chyba naprawdę polubił tę robotę!

- Nie wiem. Najpierw musiałoby się tu coś zmienić. Stary zlecił mi jeszcze jedną pracę, korzystając z tego, że jadę do domu.

- Coś ciekawego? - Szczepan pytająco uniośł brwi.

- Niezmiernie - parsknął Michał. - Mam zidentyfikować zwłoki.

- Baw się dobrze.

- Na pewno będę.

- Gdybyś czegoś potrzebował... - Szczepan urwał i niepewnie podrapał się w policzek.

- No, sam wiesz.

- Wiem, dzięki. - Porucznik podał koledze rękę. - Bywaj. Wyszedł z budynku i ruszył w stronę Alei Jerozolimskich, nie oglądając się na siedzibę kontrwywiadu. Miał jeszcze jedną ważną rzecz do załatwienia.

Paweł był zdumiony, widząc w progu mieszkania człowieka, któremu surowo zabronił kontaktów. To, że w ogóle otworzył drzwi, Michał zawdzięczał tylko swojemu kostiumowi operacyjnemu. Włożył strój pracownika pogotowia gazowego. To było zresztą jedyne przebranie, jakie miał w domowej szafie. Kilka miesięcy temu prowadził obserwację podejrzanego i zapomniał zwrócić ubranie do magazynu.

Porucznik nie tracił czasu na zbędne dyskusje ze zdumionym mężczyzną. Szarpnął zewnętrzne drzwi, otwierając je na oścież, a jednocześnie kopnął wewnętrzne, które Paweł usiłował zatrzaskać.

- Mów - powiedział, przykładając mu lufę pistoletu do skroni.

- Oszalałeś - wychrypiął Paweł. - Co mam niby powiedzieć?

- Wszystko! Inaczej cię rozwalę! Mam już wszystko w dupie, rozumiesz? Kobieta, którą kochałem, nie żyje, mój jedyny przyjaciel siedzi w pierdłu. Rodzina w Londynie nie chce mnie widzieć!

- Nie możesz mnie zastrzelić - odparł Paweł, nieco spokojniej. - Nie opędziłbyś się...

- Kurwa mać! - warknął Wroński. - Nie szkluj mi tutaj. Ciebie, przyjacielu, w ogóle nie ma! Nikt nie zgłosi oficjalnie twojego zaginięcia ani śmierci, bo trzeba by najpierw się przyznać do twojego istnienia. Myślisz, że jestem pełnym kretynem? Sprawdziłem wszystko, śledziłem cię. Trzeba było bardziej uważać. Bzowski nie mówił ci, jaki potrafię być upierdliwy? To mieszkanko oficjalnie też nie istnieje. Nie wiem w końcu, dla kogo pracujesz, ale na pewno jesteście o wiele bardziej tajni niż zwyczajna agentura. Gadaj!

- O czym? Na Boga, człowieku, czego ty chcesz?

- Wiedzieć, za co naprawdę wsadzili Jacka! Bez tych wszystkich pierdoł o przestępczości zorganizowanej. I czy Bzowski jest winien. Przysięgam, że jeśli nie usłyszę prawdy, rozpieprzę ci łeb! Albo nie - odstrzelę kolano, a jeszcze lepiej oba. Możesz w sumie wybierać, co wolisz.

Paweł spocił się, ale przestał wreszcie dygotać.

- Dobrze - powiedział nieoczekiwanie. - Jeśli chodzi o pierwsze pytanie, mogę udzielić paru informacji, na drugie musisz odpowiedzieć sobie sam. Bzowski został aresztowany w związku z przeciekami jakichś niesłychanie ważnych dokumentów. Podobno zaginęły w

trakcie ostatniej dużej akcji, tej, podczas której aresztował ambasadora Rosji. Ty wtedy siedziałeś w Budapeszcie. Okazało się, że major ma założone konto w Niemczech. Konto na hasło, rzecz jasna. Powinien je przenieść do Szwajcarii, bo tam trudniej sprawdzić, ale widać nie pomyślał. Na to konto dwa tygodnie przed aresztowaniem ktoś przelał prawie dwa miliony euro z banku na Kajmanach. Zaraz potem okazało się, że część zaginionych papierów wypłynęła podczas tajnej aukcji organizowanej dla najbogatszych biznesmenów świata. Takie imprezy mają miejsce mniej więcej raz w miesiącu, tym razem „koryfeusze” skrzyknęli się w Paryżu. To doskonałe miejsce, bo roi się od rozmaitych agentur, więc komuś z zewnątrz stosunkowo łatwo przeniknąć nawet na zamknięte zebranie.

- Ktoś chce go zrobić! To musi być spisek!

- Chyba państwowo - prychnął Paweł. - Znasz kogoś, kto poświęciłby tyle kasy, żeby upieprzyć zwykłego faceta? Przecież ta forsa poszła w błoto. Teraz jest w depozycie, a potem pewnie zostanie przekazana na cele charytatywne. Dziwisz się, że nie chciałem więcej zajmować się tą sprawą? Ona cuchnie na kilometr, podobnie jak sumienie twojego przyjaciela.

- Nie mogę uwierzyć, że...

- Pora przestać się oszukiwać, panie pyskaty. Twój kumpel okazał się zwyczajnym oszustem. Każdy ma swoją cenę. Jednego kupisz za sto dolarów, innego za tysiąc. Pan major sprzedał się za dwa melony unijnych papierków. A może miało być tego więcej? Cholera wie, gdyby nie wsypa...

- Głowę daję...

- Lepiej daj spokój - przerwał Paweł. - Nigdy w życiu nie powiedziałem, że dam sobie uciąć za kogoś rękę. Paznokcia nie dałbym wyrwać. Tobie też nie radzę. Zostaw przegraną sprawę majora Bzowskiego, zajmij się sobą.

Michał nie odpowiedział. Nie było na co odpowiadać. Paweł był najwyraźniej doskonale poinformowany. Wroński wiedział, że w sprawie zaginionych planów związanych z Bursztynową Komnatą jest więcej niejasności niż pewnych informacji.

Chwycił rozmówcę za gardło i przycisnął go do ściany. Z ciekawością i pewnym niezdrowym zadowoleniem patrzył, jak twarz tamtego staje się czerwona, a potem lekko granatowa.

- Powiesz mi wszystko, czego potrzebuję, a potem sobie pójdę i więcej tutaj nie wrócę.

- Rany, przecież nie mogę - wyrzęził Paweł.

- Ale ja mogę zrobić ci krzywdę. - Poluzował lekko uchwyt. - Niekonieczne zaraz zabić. Dzisiaj złamię paluszek, podczas następnej wizyty odbiję nerki... Wybór należy do ciebie.

- Nie mogę - jęknął przestraszony już nie na żarty mężczyzna.

Wroński pokręcił głową, uśmiechnął się złośliwie i puścił ofiarę. Paweł oddychał szybko, trzymając się za zgniecione jabłko Adama.

- Udowodnię, że Jacek jest niewinny - rzucił na odchodnym porucznik. - Wszyscy połkną tę żabę.

- Udowodnij - wykrztusił Paweł. - Przy okazji uratujesz własny tyłek.

Wspomnienia o tym zdarzeniu zakłóciły Michałowi odgłosy dochodzące z korytarza.

Jakaś kobieta mówiła podniesionym głosem, a wtórował jej śmiech przynajmniej dwóch mężczyzn. Uchylił drzwi. Korytarz był pusty. Dźwięki dolatywały z przedziału na początku wagonu. Poszedł tam. Firanki były szczelnie zasłonięte. Kobieta przestała mówić, ale z wnętrza dobiegł wyraźny jęk. Michał szarpnął drzwi, przygotowany, że stawią opór. Stało się jednak inaczej - otworzyły się na oścież, a jedna z zasłon odfrunęła w bok. Zobaczył trzech młodych, ogolonych na łyso mężczyzn. Jeden trzymał kobietę, zasłaniał jej ręką usta, drugi zdierał z niej spódnicę, a trzeci rozpiął już rozporek.

- A ty co? - odwrócił się w stronę Michała. - Chcesz się przyłączyć? Może później, jak skończymy. Teraz wypierdalaj.

Wroński nie namyślał się ani chwili. Strzelił pięścią prosto w tępa głębę. Łysy zatoczył się i upadł na fotele. Z jego ust wydobyło się przeciągłe przekleństwo. Pozostali dwaj porzucili ofiarę, skoczyli ku Michałowi. Zatrzymali się jednak gwałtownie, jakby trafili na niewidzialną ścianę. Spojrzeli bowiem prosto w wylot lufy glocka. Z sąsiednich przedziałów wyjrzały głowy nielicznych ciekawskich pasażerów. Pochowały się zaraz na widok broni.

- Gazówką mnie nie strasz - warknął łysol. - Nie tacy jak ty...

- Ta gazówka oberwie ci łeb, palancie - odparł spokojnie Michał - Mam ci najpierw odstrzelić ucho, żebyś uwierzył?

Dresiarz spojrział ponuro, a jego kumple stali pokornie, z uniesionymi rękami. Najwyraźniej byli bardziej skłonni przyjąć, że ten facet o twarzy wykrzywionej wściekłym grymasem nie żartuje. Pociąg zaczął hamować na dojeździe do stacji.

- Powinienem właściwie wezwać gliny - wycedził Michał. - Ale nie mam ochoty składać zeznań ani narażać tej pani na dodatków nieprzyjemności. - Zrobimy inaczej.

Uczylił pół kroku do przodu i błyskawicznym ruchem wyróżnął przywódcę bandziorów kolbą w kość jarzmową. Tamten wrzasnął i znów zwałił się na siedzenie.

Kilka minut później Wroński wskazywał właśnie jemu otwarte drzwi wagonu.

- Skacz!

Bejsbol spojrział na umykający peron. Zawahał się. Wyglądało na to, że ma ochotę zaryzykować i skoczyć, owszem, ale na człowieka, który mu groził pistoletem. Dwaj pozostali już podnosili się z twardych płyt chodnika, wygrażając pięściami w kierunku pociągu. Michał westchnął ciężko, a potem kopnął dresiarza w gołeń. Tamten skulił się, a porucznik pchnięciem w czubek ogolonej głowy posłał go na peron kaliskiego dworca.

Wroński patrzył jeszcze, jak łysol zbiera się ciężko, trzymając za stłuczony albo nawet zwichnięty nadgarstek.

- Jak mawiał pan doktor na zajęciach z psychiatrii sądowej: ptaszka należy wyjmować w odpowiedniej chwili i używać planowo, a nie wypychać, gdzie tylko popadnie - mruknął do siebie.

Uśmiechnął się na tę myśl i wspomnienie ćwiczeń na oddziale; psychiatrycznym dla podsądnych. Stary, doświadczony lekarz traktował podopiecznych jak dzieci. Ten, do którego tak pieszczotliwie się zwrócił, był wielokrotnym gwałcicielem. Pewnego dnia miał jednak pecha. Nie dość, że wpadł w tarapaty, próbując zniewolić kobietę, która okazała się zawodniczką dzudo z kadry narodowej, to jeszcze stracił męskie moce, upadając po rzucie tak pechowo, że trzasnął kroczem w

słupki pozostały po remoncie domu, na którego klatce schodowej postanowił się zacząć.

Michał wrócił do przedziału. Kobieta była potargana, próbowała doprowadzić się do porządku. Jej widok sprawił, że Michał znieruchomiał i zaniemówił. Potem mruknął coś o przyniesieniu bagaży. Zabierając walizki, próbował uspokoić chaos w głowie. Wreszcie wrócił do kobiety.

- Lepiej już? - spytał, przyglądając jej się uważnie. Tak, nie miał żadnych wątpliwości, to była ona.

- Nie wiem, jak panu dziękować...

- Ja panią chyba znam z widzenia - przerwał jej. - Czy bywa pani w Ogrodzie Saskim?

- Codziennie tamtędy przechodzę, wracając z pracy - odparła, marszcząc brwi. - Dlaczego pan pyta? - W jej głosie pojawił się niepokój.

- Po prostu tam panią widziałem. Dwa razy.

- Tamtędy chodzi mnóstwo ludzi - powiedziała ostrożnie. - A pan zauważył właśnie mnie?

- Czemu się pani tak dziwi? Pięknej kobiety nie można przeoczyć.

W chwili, kiedy wypowiadał te słowa, zdał sobie sprawę, że nie są jedynie czczym komplementem. Może faktycznie nie była do końca w jego typie, ale urody nie można było jej odmówić. Owszem, solidnie zbudowana, jednak przy tym bardzo zgrabna, z długimi nogami i pełnym biustem. Miała interesujące rysy twarzy. Ale najbardziej uderzały jasnyniebieskie oczy. W ciemnej oprawie włosów, rzęs i brwi wyglądały wprost niesamowicie.

- Czyżby mnie pan podrywał? - spytała.

- Nie śmiałym - odpowiedział z uśmiechem. - Jedzie pani do samego Wrocławia?

- Tak, do rodziny. Mam urlop, postanowiłam odwiedzić krewnych. Mam ich całkiem sporo na całym Dolnym Śląsku. A pan?

- Można powiedzieć, że do pracy. Ale przedtem chcę wykorzystać zaległy urlop.

Pociąg znów zaczął hamować. Michał pomyślał, że te dwadzieścia parę minut między Kaliszem a Ostrowem Wielkopolskim upłynęło dziwnie szybko.

Ciemność i cisza chłodnej kaplicy przywodziły na myśl pustkę grobowca, wypełnionego jedynie obecnością ciał zmarłych. Różnic; była jedna, ale zasadnicza - w mroku unosił się nie zwietrzały odór rozkładu i wilgotnych kamieni, ale upojna woń ziół - kadzidła zmieszanego z miętą, kolendra, ambłą i jeszcze jakąś niepokojąco słodko pachnącą substancją. Żar, na który rzucono mieszanekę, ukryty został w głębokim naczyniu, aby nie rozpraszał ciemności. W zupełnej ciszy zazgrzytał zamek wejściowy drzwi. Ktoś wśliznął się do środka i pewnym krokiem poszedł w stronę ołtarza. Doskonale orientował się w otoczeniu. Zatrzymał się przy kadzi z ziołami, odsunął ciężką pokrywę z nawierconymi otworami wentylacyjnymi, a potem głęboko odetchnął, wciągając do płuc upojny opar. Jego twarz oświetliła delikatna luna. Twarz... nie - raczej ciemną maskę z otworami na oczy i wykrzywionymi w dół, grubymi wargami. Pokrywa wróciła na swoje miejsce, a człowiek stanął przed ołtarzem.

- Wzywam was! - zawołał. Rękawy szerokiej szaty załopotwały, kiedy rozłożył ręce i uniół je nad głowę. - Przybywajcie, bowiem nadchodzi czas nadejścia Pana! Najwyższa pora złożyć mu ofiarę i przyjąć Jego ciało oraz wypić krew.

Drzwi kaplicy otworzyły się na oścież. Do pomieszczenia zaczął wpływać korowód ludzi z pochodniami i gromnicami. Światło rozprószyło mrok, wydobyło zeń draperie zasłaniające ściany. Na czarnym materiale wyhaftowano czerwono-żółte płomienie i tajemnicze znaki.

- Witajcie i niech między wami panuje pokój. Zapomnijcie o niesnaskach, wzajemnych żalach i codziennych utarczkach. Potrzebne nam są jedność i siła, aby doprowadzić myśl Pana do końca, rozplenić ją po całej Ziemi, urzeczywistnić Jego zamiary.

Ludzie stanęli półkolem przed naczyniem, z którego unosił się wonny dym.

- Pan rozkazał spełniać to misterium, aby mógł przybyć w przyszłości. Posłuszni jego słowom spożyjemy dziś komunię. Krew z krwi Ojca i ciało z Jego ciała. Pan nakazał, aby w komunii uczestniczyło was czterdziestu albo wielokrotność tej liczby. Dziś jest

nas osiemdziesięcioro, gdyż nowi członkowie dostąpią najwyższego wtajemniczenia.

Kapłan odwrócił się twarzą w stronę ołtarza, który też został zasłonięty haftowaną materią.

- Bóg śpi. Odwraca oblicze od pogrążonej w grzechu ziemi. Może obudzić się, kiedy będzie zbyt późno, a świat obejmie we władanie największy jego przeciwnik.

Mężczyzna znów zwrócił się ku wiernym.

- A my dziś uczynimy następny krok na drodze do zwycięstwa. Niech się stanie wola Pana!

- Niech się stanie - padła chóralna odpowiedź.

- W zakazanych pismach Kościoła - rzekł kapłan - znajduje się pewna opowieść o Chrystusie. Pewnego dnia wszedł On na wysoką górę, u której stóp mógł widzieć rozświetloną porannym słońcem Jerozolimę. Zrzucił szaty, by wydobyć ze swego boku kobietę, a okazała się nią jego matka. Wówczas ją z nią współżyć na owej górze, aby udowodnić, iż Pan Stworzenia jest jednością mężczyzny i kobiety. Dlatego po dzisiejszej komunii i wyzrucicie szaty, a potem będziecie współżyć ze sobą. Dlatego zebrałem was po równo kobiet i mężczyzn.

Wśród zgromadzonych zapanowało przez moment poruszenie, jakby przebiegł dreszcz podniecenia.

- A teraz przystąpmy do obrzędu oczyszczenia.

Obecni padli na twarze, trzymając nad głowami świece i pochodnie. Kapłan zszedł ku nim i podjął leżący przy kadzielnicy długi bicz z byczej skóry. Przeszedł wśród leżących, rozdzielając uderzenia. Starał się, aby każdy otrzymał jak najbardziej bolesny cios. Z żadnego gardła nie wydobył się nawet jęk.

- Pan raduje się, patrząc na waszą gotowość - oznajmił mężczyzna, stając znów pod ołtarzem. - Powstańcie, aby radować oczy, patrząc na to, co Mu najmilsze.

W tej chwili przy bocznym wyjściu rozległ się rozpaczliwy płacz. Weszło trzech czarno odzianych, zamaskowanych tak jak kapłan ludzi. Ten w środku trzymał w objęciach łkającą niemowlę, dwaj po bokach stanowili eskortę. Przed sobą nieśli lśniące miecze, prezentując je zebrany. Działali niczym doskonale naoliwiony mechanizm - poruszali się w jednym rytmie, równie sprawnie jak wyszkoleni żołnierze

na paradzie. Przeszli na środek, obeszlili półokrąg, następnie skierowali się ku ołtarzowi i stanęli za stołem ofiarnym.

Środkowy złożył niemowlę na marmurowym blacie, przykrytym czarnym suknem, po czym cofnął się dwa kroki. Kapłan podszedł i zajął jego miejsce. Ludzie z mieczami skierowali ostrza ku ziemi, wyciągnęli broń przed siebie.

- Bóg złożył w ofierze swego Syna, by zbawić ludzkość - powiedział głośno kapłan. Nakazał spożywać Jego ciało i krew. I my składamy ofiarę z mięsa i posoki, aby przypodobać się Panu.

Skinął na ludzi z mieczami. Złożyli klingi na stole ofiarnym, równo po obu stronach wierzgającego i płaczącego niemowlęcia, a potem zeszli po stopniach, stanęli przy kadzi z żarem. Na znak kapłana rzucili pokrywę i położyli ją do góry nogami na posadzce. Chwycili masywne uchwyty, z wysiłkiem przechylili naczynie, żeby wysypać zawartość na pokrywę.

Upojny zapach buchnął pod sklepienie, wypełnił kaplicę. Kapłan zbliżył się z dużą misą, a potem sypnął na żarzące się węgle jej zawartość. Pomieszczenie spowił biały opar odurzającego dymu. Niektórzy wśród zgromadzonych zachwiali się, współwyznawcy musieli ich podtrzymywać. Prowadzący obrzędy mężczyzna wrócił pod ołtarz razem z zamaskowanymi strażnikami. Stanęli jak po przednio. Przewodnik zgromadzenia wyjął z fałdów szaty długi, za krzywiony nóż i wznosił go nad głowę.

- Na kolana! - zawołał. - Pogański oręż utoczy pogańskiej krwi na większą chwałę Pana naszego!

*

Noc na twardej pryczy w obskurnej celi nie była miłym przeżyciem! Podobnie zresztą jak przebudzenie łomotaniem w drzwi i ochrypłym głosem strażnika. W zasadzie Michał powinien dostać śniadanie a przynajmniej coś ciepłego do picia, jednak nie był zdziwiony, że policjanci zaniedbali obowiązki. Pracując jeszcze w policji, sam nieraz prosił dyżurnych, żeby aresztantów traktować dość surowo. Czasem po wodowało to, iż miękli, szczególnie jeśli nie byli zatwardziałymi kryminalistami. Ale on przecież nie popełnił żadnego przestępstwa. W

dotadku miał przy sobie dokumenty świadczące, iż jest pracownikiem resortu spraw wewnętrznych oraz pozwolenie na broń. Tych papierów mu przecież nie odebrano. Nie zmienił pracy, a jedynie przydział. Służby wywiadowcze nigdy nie wyrzucają pracowników na bruk. Zbyt wielkie jest zagrożenie, że doprowadzony do ostateczności człowiek zacznie sprzedawać tajemnice. Dlatego też nie wracał w rodzinny region jako bezrobotny glina. Miał się zgłosić w delegaturze ABW we Wrocławiu, która została o tym fakcie powiadomiona jeszcze wcześniej, niż dostał do ręki rozkaz przeniesienia. Miał się zgłosić - rzecz jasna - dopiero po wykorzystaniu reszty zaległego urlopu. W tej chwili pozostawała mu jedynie nadzieja, że nie spędzi całego wolnego czasu na ostrowskim „dołku”, na co wyraźnie się zanosilo. Może są na świecie gorsze miejsca, ale przydałoby się załatwić kilka spraw.

Ledwie pociąg stanął w Ostrowie, do wagonu wpadli policjanci z prewencji w kamizelkach kuloodpornych. Wywlekli go z wagonu, nie zważając na protesty uratowanej kobiety. „Ruchy, ruchy”, popędzał go sierżant, „pociąg nie będzie tutaj stał dla jakiegoś rewolwerowca, wszystko opowiesz na komendzie”. Nie chcieli przyjąć jego tłumaczeń. Na policji zresztą też nie został porządnie przepytany. Dyżurny przy wejściu wysłuchał jego historii, kiwnął obojętnie głową i kazał go odprowadzić do aresztu.

W drzwiach zazgrzytał klucz, chwilę później otworzyły się z trzaskiem. Młodzieńki posterunkowy, który się z nimi siłował, nie pozwalając ciężkiemu skrzydłu łupnąć w ścianę, klął pod nosem.

- Zatrzymany Wroński - powiedział surowo.

- Czego? - Michał ziewnął demonstracyjnie, wyciągając się wygodniej na pryczy.

- Nie wiecie, jak się zachować, kiedy funkcjonariusz wchodzi do celi? Wstać mi tu zaraz i zgłosić się.

Porucznik parsknął śmiechem.

- Słuchaj, chłopczyno - powiedział spokojnie. - Tobie policyjny areszt myli się z regularnym pierdłem. Nie jestem osadzony, nawet nie aresztowany. Zostałem jedynie zatrzymany do wyjaśnienia.

- Nie mądrować się tutaj - warknął policjant. - Pałą można dostać za obrażanie władzy...

- Spróbuj - odparł groźnie Wroński. - Zobaczymy, co będzie, a ja chętnie wstanę. Zimno tutaj. Nie macie zwyczaju ogrzewania aresztu? To może się skończy procesem przed Trybunałem Praw Człowieka.

Posterunkowy demonstracyjnie wyjął „tonfę” z uprząży przy pasie i stuknął drewnianą pałką w metal ościeżnicy.

- Wyłaż - wycedził. - Komendant ma z tobą do pogadania.

- O ile się orientuję - Michał nie zmienił pozycji - funkcjonariusza policji obowiązuje forma „pan, pani” w stosunku do obywatela Rzeczypospolitej Polskiej. Ewentualnie można mówić per „wy”. Nie jestem koleśm takiego marnego gliny. Powiem więcej, nie zamierzam nim również zostać w przyszłości. To by mi chyba jednak trochę uwłaczało.

Posterunkowy poczerwieniał, wpadł do celi, w ułamku sekundy znalazł się obok pryczy. Michał patrzył spokojnie, jak policyjna pałka unosi się ku górze. Przyjął cios na skrzyżowane ręce. A dokładnie nie tyle cios, co nadgarstek chłopaka. Zerwał się, szybki ruch przedramion uwięził i wykręcił rękę napastnika. Pałka upadła na cementową podłogę.

- Puść - jęknął policjant. - Wyrwiesz mi łokieć!

- Naucz się panować nad sobą, kolego - wydyszał mu prosto w ucho Wroński. - Gliniarz nie powinien się dawać tak łatwo wyprowadzić z równowagi byle komu. Siły możesz używać tylko w ostateczności. Nie znasz regulaminów? Teraz cię uwolnię. Zaczyniesz się zachowywać, jak należy, a ja zapomnę o tym incydencie i nie powiem o nim ani słowa twojemu przełożonemu. Stoi?

- Stoi - odparł posterunkowy zduszonym głosem.

- No i bardzo dobrze - rzucił z zadowoleniem Michał, puszczając ramię funkcjonariusza.

Chłopak szybko schylił się, podjął pałkę i wprawnym ruchem włożył ją na miejsce.

Patrzył bykiem, ale uprzejmym gestem wskazał Wrońskiemu drzwi.

- Prowadź - powiedział pogodnie Wroński. - Gospodarz przodem.

Przed drzwiami komendanta spojrzął posterunkowemu prosto w oczy.

- Nie powinieneś mieć mnie za plecami, wiesz o tym? Poza tym trzeba było mnie skuć albo przynajmniej wezwać drugiego mundurowego do eskorty.

- Mamy braki kadrowe. - Znajomość rzeczy i przy tym protekcyjny, a zarazem życzliwy ton aresztanta sprawiły, że młody policjant poczuł się w obowiązku jakoś wytłumaczyć. - Sam jestem na areszcie.

- Jeszcze się wszystkiego nauczysz, chłopie. - Michał klepnął go w ramię. - Na początku każdy popełnia błędy, gdy poczuje trochę władzy.

Wszedł do gabinetu komendanta, zostawiając na korytarzu zaskoczonego młodego człowieka.

- Pan Wroński. - Podinspektor wskazał ręką krzesło naprzeciwko biurka. - Nasz kowboj z pociągu relacji Warszawa-Wrocław.

- Poproszę dokumenty i broń - odparł Michał. Czuł, że zalatuje od niego smrodkiem celi, chciał jak najszybciej opuścić nieprzyjemne miejsce, wsiąść w najbliższy pociąg, dotrzeć do domu rodziców, umyć się i ogolić.

- Bez pośpiechu - mruknął komendant. - Trzeba wyjaśnić to i owo.

- Niech pan sobie wyjaśnia, proszę bardzo, ale beze mnie. Albo proszę postawić mi konkretne zarzuty, albo natychmiast zwolnić. Czasy komuny minęły. Mogę zaskarżyć pana jednostkę w prokuraturze. Błyszę legitymacją, powiem parę mądrych słów i będzie pan miał problem.

- Proszę mi nie grozić - odparł spokojnie komendant. - Trudno mnie przestraszyć. A zatrzymać do wyjaśnienia mamy prawo każdego obywatela. Jeśli zaś zachodzi podejrzenie użycia broni, zatrzymanie może się nieco przedłużyć. To już zależy od dobrej woli prokuratora i sądu.

- Ta broń nie została użyta. A już na pewno nie wczoraj.

- To może wykazać dopiero ekspertyza, która trochę się przeciągnie, jakby co. Prawo jest prawem.

- Właśnie. Prawo jest prawem. Władza powinna stosować się do niego, a nie nim manipulować.

- Pięknie powiedziane, ale to z gruntu fałszywe twierdzenie. Władza musi interpretować prawo tak, aby strzec bezpieczeństwa obywateli.

Michał skrzywił się i obrzucił rozmówcę niechętnym spojrzeniem.

- Czyjego bezpieczeństwa? Tych paru agresywnych dresiarzy?
- Właśnie dochodzimy do sedna sprawy. - Komendant podniósł się, zapiął guziki munduru. - Koniec żartów. Pragnę panu podziękować za obywatelską postawę. - Wyciągnął rękę.

Wroński zawahał się, zanim ujął mocną, szeroką dłoń.

- Ciekawie okazujecie wdzięczność.
- Musieliśmy wszystko sprawdzić: czy legitymacja nie została sfalszowana, czy pozwolenie jest autentyczne, czy przebieg wydarzeń zgadza się z pana zeznaniem.

- Wielkopolska solidność - pokiwał Michał głową. - W Polsce niełatwo być Robin Hoodem, obrońcą uciśnionych. Za dobre uczynki łąduje się w kiciu prędzej niż za przestępstwa.

- Przesadza pan.

- Wczoraj może sam bym tak jeszcze myślał, ale po nocy w waszym uroczym areszcie, wypuszczony z niego na głodniaka i bez kubka herbaty, mam inne zdanie. Złodziejowi dalibyście pewnie kanapki i picie.

- Nie otrzymał pan aresztanckiej diety? - Komendant zmarszczył brwi. - Mogę obiecać, że winny zostanie ukarany.

Michałowi stanęła przed oczami twarz młodego posterunkowego.

- Proszę obiecać coś innego. Też pracowałem w policji, także popełniałem błędy. Niech pan ochrzani tego chłopaka, ale to wszystko. Brak kary będzie dla niego bardziej dotkliwy niż odebranie premii albo jakieś wredne, nadprogramowe dyżury.

- Tak - przytaknął policjant. - To bardzo ambitny chłopak. Może ma pan rację. - Spojrzał życzliwie na Michała. - Pracownik takiej firmy, a zarazem ludzki typ? To rzadkość.

- Zdarza się. A może ma pan po prostu złe doświadczenia?

- Może. A teraz do rzeczy. Bagaż, broń i papiery odbierze pan u dyżurnego. Wszystko zostało przygotowane, podpisze pan tylko kwit depozytowy.

Michał kiwnął głową.

- Jeszcze jedno - dorzucił komendant. - Powinien pan podziękować tej kobiecie z pociągu. Szybko doszła do siebie i wróciła, aby złożyć zeznanie. Bez tego ustalilibyśmy wszystko dłużej, bo musielibyśmy ją najpierw odszukać. Moi ludzie nie pomyśleli, żeby wziąć od niej

namiary. W ramach przeprosin kazałem ją odwieźć do Wrocławia radiowozem. Czasem mam tutaj do czynienia ze strasznymi idiotami.

- Znam to - Michał potwierdził. - Ale tej pani na pewno nie podziękuję, bo nie mam nawet jej numeru telefonu. A pan mi przecież nie poda jej danych.

Komendant rozłożył ręce w bezradnym geście.

- Przepisy. Co innego wymiana informacji służbowych, a inna rzecz ujawnić personalia prywatnej osobie. Mogę tylko powiedzieć, że na imię ma Daria, jeśli pan jeszcze tego nie wie. A co do reszty... No cóż, życie bywa przecież pełne niespodzianek.

- Zgadza się. Dlatego czasem cholernie nie lubię życia.

*

- Niech to szlag jasny trafi! - Aspirant Machała rzucił teczkę z aktami na zavalone papierami biurko. - Co za pieprzony burdel!

Nie za bardzo było wiadomo, czy wścieka się z powodu przydzielonej mu sprawy, czy z powodu bałaganu, jaki zastał od samego rana. Sebastian Machała bardzo dbał o porządek. Często powtarzał, że jeśli policjant nie potrafi utrzymać go na co dzień, tym bardziej nie będzie w stanie prowadzić skomplikowanych spraw.

- Czego się ciskasz? - spytał zmęczonym głosem Rysiek, z którym dzielili pokój. - Raz mógłbyś posprzątać po dyżurze.

- Nie mam siły. Cztery interwencje i ośmiu pijaczków. Czy w innych krajach też używa się dochodzeniówki do takiej brudnej roboty? Traktuje się oficerów jak zwykłych krawężników?

- Nie wiem. Ale może to i lepiej. Nie tracimy kontaktu z prawdziwym życiem.

Rysiek spojrzął spode łba. Czy ten facet musi we wszystkim doszukiwać się pozytywnych stron? Czasem stawało się to nie do wytrzymania.

- Co tam masz? - spytał bez zbytej ciekawości, żeby zmienić temat, wskazując teczkę opatrzoną czerwonym napisem i trzema wykrzyknikami.

- Tego topielca, którego znalazł biznesmen. Nie miał żadnych dokumentów, za to na ciele były ślady ciężkich tortur. Tak przynajmniej utrzymują łapiduchy.

Rysiek wzdrygnął się.

- Takie typy, co robią ludziom podobne rzeczy, należałoby likwidować bez sądu. Znaczący cały dzień masz z grzywki?

- Chyba tak. Muszę sprawdzić, czy pasuje do rysopisu jakiegoś zaginionego z naszego terenu.

- Mam nadzieję, że nie. Wtedy prześlemy sprawę do województwa.

- Gówno - odparł z goryczą Machała. - Mam ustalić wszystko i do końca. Po odciskach palców, po dokumentacji dentystycznej. Już wysłałem zdjęcie i zapytanie do systemu, ale wiesz, jak z tym jest. Rzadko można w Polsce w ten sposób kogoś zlokalizować. Dlatego mam sprawdzić także materiał genetyczny.

- Co?! Przecież to u nas nie jest nawet w powiatakach!

- Powiedz to szefowi. Dostał wyraźne dyspozycje z góry. Nie wyglądał na szczęśliwego, że odrywa mu się glinę od innego śledztwa. Myślisz, że mnie się to podoba?

Rysiek spojrzał sceptycznie. Jego kolega z reguły lubił wyzwania. W każdym razie zazwyczaj nie miał nic przeciwko, żeby wziąć robotę, która wymagała żmudnej dłubaniny.

Dlatego wylądował w sekcji dochodzeniowo-śledczej. To był dowód uznania ze strony przełożonych.

- Baw się dobrze - mruknął, zamykając torbę.

- Może byś tak trochę tu sprzątnął przed wyjściem? - spytał ze złością Sebastian.

- Daj spokój, zostaw to, jutro przychodzę na rano, wtedy ogarnę.

Rysiek nie słuchał i wyszedł czym prędzej. Aspirant został sam. Westchnął ciężko, usiadł i otworzył teczkę. Wzdęta sylwetka trupa, zbliżenie na posiniałą twarz. Na czole wyraźny ślad rany wlotowej pocisku. Trzeba będzie się wybrać do kostnicy, dokonać oględzin, pobrać materiał porównawczy.

Zadzwonił telefon.

- Aspirant Sebastian Machała - zameldował się.

Przez dłuższą chwilę słuchał tego, co mówił człowiek po drugiej stronie.

- Rozumiem - powiedział wreszcie z wyraźnym zaskoczeniem w głosie.

Powoli odłożył słuchawkę, jakby obawiał się, że zbyt gwałtownie położona mogłaby wybuchnąć.

*

Michał wysiadł na dworcu Oleśnica Rataje. Szedł dobrze znajomą ulicą Wrocławską, prowadzącą z tego miejsca na skraj miasta aż do samego rynku. Za plecami zostawił nieczynny od kilkudziesięciu lat przejazd kolejowy przy stacji, z zawsze opuszczonymi szlabanami. Betonowa konstrukcja prowadząca górą z jednego peronu na drugi była tak naruszona zębem czasu, że nawet nie próbował na nią wchodzić. Już kiedy był na studiach, schody nie budziły zaufania. Zapewne postoją jeszcze długie lata, ale może tylko dlatego, że większość podróżnych wołała jednak wybierać nielegalną drogę dołem, przez torowisko.

Zresztą pociągów coraz mniej, więc i ruch niezbyt duży. Minął budynki dawnej mleczarni i skrzyżowanie stanowiące jeden ze zjazdów z trasy nr 8. Widział już Bramę Wrocławską.

Zaczęli go mijać ludzie, spieszący gdzieś w swoich sprawach. Jeszcze dziesięć, piętnaście minut, a stanie przed blokiem rodziców. Dawniej mógłby pójść do mieszkania, które dzielił z żoną i synem, ale po rozwodzie Magda uparła się, żeby je sprzedać i rozdzielić pieniądze.

Michał nie miał nic przeciwko, bo i tak nie zamierzał tam mieszkać. W ogóle nie chciał nigdy wracać na stałe do Oleśnicy. To na pewno ładne, ale w jego odczuciu niewdzięczne miasto, które kojarzyło się jedynie z ogromną stratą i poczuciem rozpacz. Ostatni raz był tutaj na pogrzebie Doroty. Przywiózł trumnę z lotniska w Warszawie. Wtedy nawet nie wszedł do rodziców. Nikogo nie chciał widzieć, nie miał ochoty na rozmowy, a tym bardziej pocieszenie.

Doszedł do miejsca, w którym od zawsze było targowisko. Parę razy ojcowie miasta próbowali uświadomić obywatelom, że należałoby ten teren wykorzystać w inny sposób, jednak władza zawsze musi

liczyć się chociaż trochę z opinią mieszkańców, ci zaś potrzebowali bazaru. Na razie więc targowisko, zwane czasem „targowicą”, istniało i miało się doskonale. Sto pięćdziesiąt, może dwieście metrów dalej, w pobliżu Bramy Wrocławskiej, znajdował się dworzec autobusowy. Zamiast kas i poczekalni były tam teraz jakieś sklepy, ciucholand. *Signum temporis*, jak mawiał świętej pamięci profesor Walberg, ojciec Doroty...

Michał poczuł dławienie w gardle na wspomnienie ukochanej kobiety. Trzeba iść na cmentarz, zapalić znicz, skoro już tu jest.

Signum temporis... Wszystko zmieniało się w tempie błyskawicznym. Tam, gdzie jeszcze wczoraj był sklep z obuwem, dzisiaj stała pizzeria, która jutro zamieni się w firmę meblarską. Dobrodziejstwa wolnego rynku. Zresztą ten „wolny rynek” to kolejny nowotwór językowy, wprowadzony w miejsce terminu „kapitalizm”, kojarzącego się niektórym prężnym przedsiębiorcom niezbyt miło. W takim małym mieście jak Oleśnica widać było zawsze jak na dłoni, kto robi najlepsze interesy. Jacek śmiał się nieraz, mówiąc, że „dobrobyt w tym kraju dotyczy aferzystów i komunistów, co zresztą zasadniczo na jedno wychodzi”. O ile z pierwszą częścią tego twierdzenia Michał zgadzał się bez większych zastrzeżeń, o tyle druga zdawała się bardziej dyskusyjna. Ludzie, którzy nadużywali prawa dla osiągnięcia własnych celów, górowali nad dawną nomenklaturą pod względem bezczelnego wykorzystywania układów czy poczucia bezkarności. Tych, którzy doszli do wielkich majątków w miarę uczciwie, można by policzyć na palcach. Przyzwoitość przestała być w cenie. Michał twierdził nawet, że zasadniczo umarła, a jeśli można spotkać jej przejawy, to tylko u ludzi hołdujących jakimś zapomnianym tradycjom.

- Relatywizm moralny - mawiał, sącząc ulubiony chmielowy nektar, najlepiej uwarzony w ukraińskich albo litewskich browarach - to jest coś, na co chorujemy w naszych czasach. Możesz popełnić każdą podłość, ale jeśli tylko posiadasz wpływy i trochę więcej gotówki niż inni, zawsze znajdą się tacy, którzy wszystko gładko wytłumaczą, a pokrywające cię gównem zamienią w prawdziwy brąz popiersia godnego męża stanu. Ukradłeś? Wzruszymy ramionami - i co to za sprawa, przecież wszyscy kradną! A poza tym nie ukradłeś, ale wzięłeś nie swoje, a to już lepiej brzmi. Jesteś szpiegiem? Dałeś się kupić? To

znaczy bydlę z ciebie, prawda? Ależ skąd! Przecież każdy by się skusił na takie pieniądze.

- Dziwnie to brzmi w ustach człowieka zajmującego się pracą wywiadowczą - śmiał się Bzowski. - Ten relatywizm moralny to kręgosłup naszej pracy przy pozyskiwaniu informatorów. Musimy mieć bardzo plastyczne sumienie. A najlepiej w ogóle o nim zapomnieć.

Ech, Jacek, Jacek, westchnął w duchu Wroński. W co ty wdepnąłeś? Zamyślił się tak głęboko, że w pierwszej chwili nie dosłyszał sygnału telefonu. Wreszcie jednak *Marsz turecki* Mozarta przedarł się do świadomości. To była kolejna rzecz przypominająca mu Dorotę.

Właśnie ona przesłała mu ten dzwonek na komórkę, sama ustawiła wszystkie jego parametry.

Michał spojrział na wyświetlacz i czym prędzej nacisnął klawisz odbioru.

- Załatwione - powiedział stłumiony głos, zdający się dobiegać z wielkiej oddali, jakby dzwoniący przebywał w innej galaktyce. Był jednak na tle wyraźny, żeby porucznik zrozumiał, co trzeba. - Numer tego gościa dostaniesz esemesem. Zresztą namiary znajdziesz w każdym dolnośląskim informatorze policyjnym. Powodzenia i miłego wypoczynku.

- Dzięki, a...

Chciał jeszcze o coś zapytać, jednak połączenie zostało przerwane. Wzruszył ramionami. Czasem sposoby działania wydziału przypominały bardziej harcerskie podchody niż poważną robotę. Tak, jakby nie mogli mu dać telefonu, zlecając zadanie, jakby trzeba było z tym czekać do ostatniej chwili, korzystać z bezpiecznego łącza. Procedury, procedury... Z nimi też trzeba trochę uważać, nie przesadzać z niewolniczym ich stosowaniem przy każdej drobnostce. Tak robił Bzowski i nigdy jakoś nic złego się nie wydarzyło.

Jacku, wrócił myślami do osoby majora, co ci przyszło do głowy? Jak mogłeś pozwolić wmanewrować się w taką sytuację? Od początku Michał był pewien, iż uwięzienie majora to kwestia zemsty którejś ze stron konfliktu toczącego się o dokumentację Bursztynowej Komnaty. Precyzja i celność uderzenia wskazywałyby na metody charakterystyczne dla wywiadu rosyjskiego, jednak równie dobrze w prowokacji mogli brać udział Niemcy. No cóż, może następne dni coś

wyjaśnia. Dobrze, że kobieta z pociągu postarała się pomóc, złożyła zeznania, a ostrowski komendant wykazał się rozsądkiem.

Gdyby w sprawę wkroczył prokurator, służbiści z Wielkopolski niewątpliwie trzymaliby porucznika jeszcze przynajmniej ze dwie doby, chociażby po to, żeby pokazać panom oficerom z delegatury kontrwywiadu we Wrocławiu, że policja nie wypadła sroce spod ogona i byle papier nie robi na niej wrażenia. Nieraz już spotkał się z objawami takiego współzawodnictwa. Westchnął. Sam, jako prosty glina, nie miał zbyt wiele szacunku dla pracowników służb informacyjnych. Tak, dobrze, że ta kobieta...

Potrząsnął głową i porzucił myśl o ocalonej z łap dresiarzy brunetce. Trzeba się skupić na tym, co najważniejsze. Przed opuszczeniem biura zdążył jeszcze obejrzeć w archiwum akta sprawy aresztowania rosyjskich dyplomatów podczas akcji w Srebrnej Górze.

Ambasador Nikołaj Pawłowicz Wilichow był człowiekiem wychowanym na wzorcach starego KGB, o których pamięć wciąż jeszcze była silna wśród rosyjskich agentów. Z kolei major Grigorij Ławrientowicz Stańko, koordynujący działania rosyjskie podczas poszukiwań Bursztynowej Komnaty, był już człowiekiem nowych czasów. Wroński nie mógł się zdecydować, co gorsze - zemsta wychowanka starego czy nowego systemu. Obaj mieli silne motywy, żeby zaszkodzić człowiekowi, który pokrzyżował im plany. Jak to jednak ustalić?

Przecież nie może zapytać ich wprost - uśmiechnął się z rozbawieniem na samą myśl o takim rozwiązaniu. A gdyby nawet, gdzie ma ich szukać? Majora wysłano na placówkę do Mongolii, a ambasadora przerzucono do Helsinek. W obu wypadkach była to dotkliwa kara, upokorzenie równe degradacji oficera do stopnia szeregowca. Tyle że dla Stańki zesłanie wiązało się z koniecznością stawiania czoła zakusom agentury chińskiej, indyjskiej, japońskiej i innych egzotycznych sił - musiał się uczyć zasad pracy na nowo. Na pewno więc nie miał ani głowy, ani wielkich możliwości, żeby myśleć o odegraniu się na dyrektorze biura polskiego kontrwywiadu. Z kolei Wilichowowi pokazano, że kierownictwo zupełnie straciło do niego zaufanie, czego manifestacją było powierzenie mu kierowania jednostką na terenie państwa, w którym właściwie nie da się nic

zepsuć. Wielu zachodnim politykom Finlandia jawiła się nie jako samodzielny kraj, ale raczej autonomiczna część Federacji Rosyjskiej. Do niektórych po prostu nigdy nie dotarło, iż wojna radziecko-fińska z trzydziestego dziewiątego roku skończyła się klęską wielkiego mocarstwa. Inna rzecz, że kraj Świętego Mikołaja i reniferów był tak doskonale zinwigilowany przez Rosjan, że szefowie placówek dyplomatycznych od kilkudziesięciu lat nie mieli tam zbyt wiele do roboty. Miejsce w sam raz dla człowieka, od którego nie oczekuje się niczego poza reprezentacyjnym wyglądem i biegłą znajomością angielskiego. Obie te cechy Mikołaj Pawłowicz niewątpliwie posiadał.

Miał także z pewnością sporo wolnego czasu i dobre znajomości. Gdyby chciał się odegrać na Bzowskim, mógł się postarać o prowokację w iście sowieckim stylu. Był jeszcze jeden człowiek, który mógł pragnąć głowy Bzowskiego ponad wszystko - Łazarz. Czy jednak miałyby dość energii, żeby zmontować akcję w tak krótkim czasie? Przecież uciekł z kraju „goły i bosy”, a przede wszystkim bez dokumentacji. Tę zabrała była agentka BND, która potem gdzieś przepadła. Dlatego też Michał po dłuższym namyśle odrzucił ten trop. Wątpił, aby Niemcy byli zainteresowani pograżeniem polskiego majora, który koniec końców został tak jak i oni wystrychnięty na dudka przez nielojalną pracownicę wywiadu. Jak jednak ustalić, czy na pewno Federalna Służba Bezpieczeństwa Rosji maczała palce w sprawie Bzowskiego? Czy w ogóle wykonała jakieś działania, o których można się czegokolwiek dowiedzieć? Rosjanie, jeśli im na tym zależało, działali w zupełnej dyskrecji. Naiwni dziennikarze i politycy w sprawach takich jak otrucie Litwinienki wietrzyli sensację, niezręczność służb specjalnych Rosji. Tymczasem wyglądało to nieco inaczej. FSB czy GRU wtedy tylko zostawiają ślady, kiedy komuś zależy, by opinia światowa podejrzewała właśnie te agendy.

To niezwykle często miało być ostrzeżenie dla innych byłych pracowników służb bezpieczeństwa - patrzcie, każdego możemy namierzyć, żaden zdrajca nie może czuć się bezpiecznie. Czy można bowiem wyobrazić sobie bardziej kretyńską metodę niż otrucie człowieka radioaktywną substancją, którą tak łatwo wykryć? Gdyby Rosjanie chcieli dokonać po prostu zemsty, wybraliby inny sposób, mniej czytelny: wypadek samochodowy, samobójstwo, atak serca...

Gama środków jest po prostu nieograniczona. W sprawie Bzowskiego trzeba także brać to pod uwagę.

Znów potrząsnął głową. Kiedy się tak rozmyślało, stopień komplikacji wydawał się sięgać czubka Mount Everestu. Jednak w istocie rzeczy wszystko było bardzo proste. Jeśli przyjąć, iż Jacek jest nie winny, pozostawało tylko pytanie - Rosjanie czy Łazarz? Trzeba najpierw znaleźć tę odpowiedź i będzie można działać.

Pograżony w myślach nie zauważył nawet, kiedy minął zamek i kościół, przeszedł obok pomnika Złotych Godów, przy którym kiedyś szukał ukrytego wejścia do legendarnych oleśnickich podziemi a potem pokonał brukowany plac przy ulicy Młynarskiej. Ocknął się przed drzwiami klatki schodowej bloku, w którym mieszkali jego rodzice. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się bezmyślnie w rzędy przycisków domofonu, zanim pomyślał, że trzeba przecież nacisnąć odpowiedni numer.

*

Wieczorne nabożeństwo zaczęło się jak zwykle równo z wybiciem godziny siódmej.

Ewelina stała w drugim rzędzie pod ołtarzem. Jeszcze kilka miesięcy temu zajmowała miejsce daleko z tyłu wśród tych, którzy niedawno przybyli do Zgromadzenia Serca Jezusa Świątyni Nowego Kościoła. O objawieniach księdza Wojciecha pierwszy raz usłyszała w szkole, w liceum w Brzegu. To był czas, w którym przeżywała rozczarowanie przykościelnym kołem Oazy, czas, kiedy dostrzegła, iż stawiani na piedestale księża są tak samo słabi i grzeszni jak wszyscy ludzie. A dokładnie wtedy, gdy opiekujący się młodzieżą wikary Piotr zaproponował jej wspólny wypad do kina we Wrocławiu. Może nie byłoby w tym nic nagannego, gdyby nie błyszczące oczy duchownego i błędząca po jej udzie rozedrgana dłoń oraz rzucona niedbale uwaga o dobrym hotelu... Zerwała się wtedy i uciekła. W pierwszej chwili chciała o wszystkim opowiedzieć proboszczowi, podzielić się goryczą z przyjaciółmi, ale wstyd nie pozwolił. Wstyd i strach, że ludzie nie uwierzą, jeśli ksiądz zaprzeczy. Zeznanie nastolatki niewiele znaczy przeciwko słowu otoczonego szacunkiem duchownego. Przecież o Piotrze wszyscy wyrażali się w samych superlatywach. Zastanawiała

się tylko, czy innym dziewczętom także proponował podobne rzeczy. A jeśli tak, dlaczego żadna o tym nie mówiła i żadna nie odeszła z Oazy? Ona była pierwsza. Brakowało jej spotkań, wspólnych śpiewów.

Oazowe spotkania dawały poczucie więzi, ciepło, którego nie było w jej domu. Rodzice byli w porządku, ale pracowali całymi dniami, a Ewelina nie lubiła wracać do pustego mieszkania.

Parę tygodni później koleżanka zaprowadziła ją na zebranie Zgromadzenia Serca Jezusa. Odbywało się we Wrocławiu, w dużym, prywatnym mieszkaniu na Sienkiewicza. Z początku Ewelina była zawiedziona i nieco zniesmaczona formą spotkania. Zorganizowano je, aby zachęcić do dawania datków na Świątynię Nowego Kościoła. Tak przynajmniej wynikało z drętowego przemówienia jakiejś natchnionej pani. Ale potem wszedł ON. Sam duchowy przewodnik. Miał w sobie coś, co nie pozwalało oderwać oczu. Nie był piękny, ani nawet przystojny, nie był też młody - miał pewnie już sporo po pięćdziesiątce. A jednak była w nim jakaś charyzma, z twarzy biła moc, szlachetne rysy budziły zaufanie. Zaczął mówić o celach zgromadzenia. Nie było ważne nawet to, co mówił, ale jak. Zdawał się głosem sięgać nieba, a raczej przychyłać go słuchaczom. Okazało się, że prośba o pieniądze to tylko dodatek do prawdziwego celu zebrania. Przewodnik pragnął pozyskać wyznawców. W pewnym momencie spojrzał Ewelinie prosto w oczy. To było niczym grom z jasnego nieba. Cała zadrżała. Czy czegoś podobnego doświadczali ludzie, obcując z Chrystusem? Przewodnik, który kazał się nazywać bratem Wojciechem, dostrzegł, jak wielkie wrażenie zrobił na dziewczynie. Poprosił ją o rozmowę. W pierwszej chwili chciała odmówić. Sytuacja zaczęła przypominać tę, którą niedawno przeżyła z księdzem Piotrem. Postanowiła jednak zaryzykować. Przecież zawsze może odejść. Obawy okazały się płonne. Natchniony kapłan zdawał się nie dostrzegać w niej młodej, ładnej dziewczyny, ale po prostu drugiego człowieka. Ani razu nie obrzucił uważnym spojrzeniem jej długich, zgrabnych nóg, ładnych, krągłych piersi. Patrzył jej tylko w oczy. To było najcudowniejsze spotkanie z drugą osobą, jakie do tej pory przeżyła. Na następne przyjeżdżała regularnie. Ale nie wchodziła już do sali dla ludzi z zewnątrz. Brat Wojciech poświęcał teraz więcej czasu na rozmowy z tymi, którzy przychodzili tutaj ze względu na niego. A im bardziej byli

zagubieni w codziennej egzystencji, na tym większe wparcie z jego strony mogli liczyć. Po pewnym czasie Ewelina poczuła, im nie chce wracać do rodzinnego miasta, nie ma ochoty widzieć rodziców. Zresztą w ostatnim czasie nie mogła się już z nimi zupełnie dogadać. Nie rozumieli jej, czynili wyrzuty, że opuszcza się w nauce, znika na całe dni. Kilka razy zauważyła, że szukali czegoś w jej pokoju. Głupcy! Nie robiła przecież nic złego! Odnalazła ludzi, którzy czuli to samo co ona, spotkała wreszcie kogoś, kto potrafił wskazać drogę i cel.

Pewnego dnia po prostu nie wróciła do domu. Wsiadła do samochodu brata Wojciecha wraz z dwoma innymi dziewczynami oraz chłopakiem. Wyjechali z Wrocławia w kierunku Warszawy. Następnego ranka zaczęło się dla niej codzienne życie w Zgromadzeniu Serca Jezusa. Trzeba było wstawać o świcie, modlić się, a potem iść do pracy. Przy Świątyni Nowego Kościoła były warsztaty - mężczyźni wykonywali prace w drewnie i metalu, kobiety i dziewczęta zajmowały się szyciem i pracami w kuchni. Każdego dnia wierni gromadzili się po skończonych zajęciach, żeby odmówić modlitwy z opiekunami grup oraz porozmawiać o sprawach zgromadzenia. Dzień zaczynał się i kończył nabożeństwem. To wtedy przyjmowano nowych członków oraz informowano o uzyskaniu przez współbraci wyższych stopni w hierarchii wspólnoty. Ewelina z niecierpliwością oczekiwała, kiedy dostąpi wreszcie wyższego wtajemniczenia - wezwania do uczestnictwa w nocnych czuwaniach i obrzędach oczyszczania świata ze zła. Na razie zdobyła od dawna upragnione miejsce w drugim rzędzie pod ołtarzem. Do celu było więc bardzo blisko, ale mogło być też zaskakująco daleko. Wiedziała, że niektórzy bardzo długo czekają, zanim uczynią ten niewielki w rzeczywistości, a tak ogromny, jeśli chodziło o splendor i pozycję, krok. Trzeba nań zasłużyć, okazać bezwzględne posłuszeństwo.

Brat Wojciech wyszedł przed ołtarz. Śnieżnobiała, lamowana purpurą szata sprawiała, że kojarzył się ze świetlistą postacią anioła. Na jego twarzy znać było zmęczenie, ale oczy pozostawały niezmiennie żywe, patrzyły bystro. Omiótł spojrzeniem tłum, Ewelina przysięgłaby, że zatrzymało się przez chwilę na jej twarzy.

- Dziś - oznajmił głębokim, przepelnionym radością głosem - przyszedł czas, abyśmy dokonali inicjacji nowych braci i siostr w piątym kręgu wtajemniczenia.

Dziewczyna poczuła ukłucie koło serca. Ach, gdyby tak... Ale to niemożliwe. Przecież opiekun na pewno coś by o tym wspomniał.

- Jest ich troje - ciągnął kapłan. - Mężczyzna i dwie niewiasty. Brat Kamil. - Zwrócił oczy na chłopaka stojącego niedaleko Eweliny. Ten natychmiast wystąpił, twarz oblał mu rumieniec. - Poza tym siostra Milena - przewodnik spojrział na ładną kobietę w wieku około trzydziestu lat - oraz siostra Ewelina.

Dziewczyna myślała, że w tej chwili serce wyskoczy jej z piersi. W uszach słyszała szum krwi, podniecenie odebrało dech. Wyszła przed zgromadzonych, uklękła z pochyloną głową.

- Po nabożeństwie udacie się ze mną - rzekł z uśmiechem kapłan. - Uroczysta inicjacja wymaga pewnych przygotowań.

Helsinki przywitały Michała przenikliwym zimnem. Ostry wiatr z północnego wschodu chłodził policzki, zdawał się wciskać we wszystkie zakamarki odzieży. Dlatego, kiedy tylko wszedł do restauracji o dość pretensjonalnej nazwie „Suomi”, natychmiast zamówił kawę z koniakiem i gorące ciastko z jabłkami. Siedzący przed nim nobliwy mężczyzna po sześćdziesiątce poprosił o identyczny zestaw.

Patrzyli na siebie z uwagą, oceniając się najzupełniej odruchowo, prawie bezwiednie wykonując skomplikowane czynności mentalne. Nawyki pracy wywiadowczej ulegały wyostrzeniu w takich sytuacjach. Wreszcie starszy z nich przerwał ciszę.

- Zgodziłem się na rozmowę, panie Wroński, tylko przez wzgląd na moją sympatię dla Polaków. Spędziłem w waszym kraju wiele lat powiem szczerze, że brakuje mi atmosfery Warszawy. Stolica Finlandii jest dla mnie zbyt chłodna, pełna rezerwy.

- Bo Finowie są pełni rezerwy w stosunku do Rosjan i mają ku temu podstawy - uśmiechnął się Michał.

Znów zapanowało milczenie. To był wariacki plan. W Internecie porucznik znalazł namiary ambasady rosyjskiej w Helsinkach. Zadzwoił, zanim zdążył się dobrze zastanowić, co robi. Uczynił to zupełnie bez wiary w sens działania i powodzenie desperackiej próby.

Tym bardziej był zaskoczony, kiedy bez większych problemów połączono go z Wilichowem.

Ambasador mówił po polsku doskonale, z lekkim zaledwie akcentem. „Skoro chce pan tracić czas i pieniądze - rzekł, wysłuchawszy prośby o rozmowę - proszę przyjechać. Przez telefon niczego ciekawego na pewno panu nie powiem”. Wroński zastanawiał się całą drogę, dlaczego stary lis tak szybko zgodził się na spotkanie. Czyżby...

- Pan teraz zachodzi w głowę - Nikołaj Pawłowicz upił łyk kawy - czy przyszedłem tutaj dlatego, że nie mam nic do ukrycia, czy wręcz przeciwnie, pragnę jedynie uspić pańską czujność.

- Czyta pan w moich myślach, panie ambasadorze. Cóż za przenikliwość.

- Proszę sobie darować sarkazm - skrzywił się Wilichow. - Przecież to oczywiste. Wy znacie na wskroś nasze metody, a my wasze. W tym fachu nigdy nie ma nic pewnego. Ale może usłyszycie wreszcie pytanie, które pan tak bardzo chce mi zadać?

- Przecież zna pan doskonale jego treść.

- Nie szkodzi. Lubię jasne sytuacje. Zawsze trzeba wiedzieć o czym się mówi.

- Aby poznać cokolwiek, trzeba najpierw poznać tego przyczynę - zacytował Michał.

Zdziwiony ambasador uniósł brwi i spojrzał bystro na rozmówcę.

- Awicenna - mruknął i dodał głośniejszym głosem. - Nie wiedziałem, że jest pan miłośnikiem filozofii. Tego nie ma w pańskim dossier.

- Widać należy je uzupełnić - odparł Michał z kamienną twarzą. - Ktoś coś najwyraźniej przeoczył.

- A propos jasnych sytuacji i skoro jesteśmy przy filozofach. Wie pan chyba, że w średniowieczu uczeni różnych szkół, zanim przystąpili do dysputy, ustalali najpierw całą terminologię, aby wypowiadając kluczowe słowa, mieć pewność, iż mówią o tym samym.

Michał skinął poważnie głową, choć w duchu chciało mu się śmiać. Jeśli Wilichow chce pogadać o filozofii, może się srogo zawieść. Gdyby poruszył tematy związane z piwem, proszę bardzo, ale tak... No cóż, trzeba grać swoją rolę do końca.

- Tak - powiedział - takie postępowanie zapobiega nieporozumieniom na podstawowym poziomie.

- Właśnie. Konotacja i denotacja terminów może być bardzo niejednoznaczna.

- Jednak my, panie ambasadorze, posługujemy się tymi samymi słowami w identycznym znaczeniu. Wywiady i kontrwywiady całego świata tak mają.

- Przypominam, że to pan pracuje w resorcie wywiadowczym. Ja jestem dyplomatą.

Michał roześmiał się.

- Może nie będziemy udawać, że świat wygląda inaczej, niż wygląda? Rosyjski dyplomata, który nie jest pracownikiem wywiadu, jest jak biały wieloryb, tyle że występuje jeszcze rzadziej. Ścisłe rzecz ujmując, takiego okazji w ogóle nie można znaleźć.

Wilichow odpowiedział uśmiechem. Podobał mu się ten Polak - wyszczekany, inteligentny. Rosjanin lubił mieć do czynienia z trudnymi, wymagającymi przeciwnikami, którym na coś zależało.

- Pytanie, panie poruczniku.

- Niech będzie, skoro pan taki niecierpliwy. Czy aresztowanie majora Jacka Bzowskiego ma związek z operacyjnymi działaniami rosyjskiego wywiadu?

Ambasador sapnął przez nos.

- Jest pan bardzo bezpośredni.

- A pan się spodziewał, że będę się starał wyciągnąć informacje za pomocą delikatnych, badawczych spojrzeń, oceniania mowy ciała, zadając mnóstwo obojętnych pytań, wśród których znajdą się te najważniejsze? Po co? Nie uważa pan, że to by obrażało pańską inteligencję?

- Właściwie ma pan rację - pokiwał głową Wilichow. - Takie gierki byłyby chyba stratą czasu.

- Właśnie. Więc jak? Powie mi pan coś na ten temat?

- Proszę posłuchać. Przypuszczenie, że mogłem brać udział w jakimś spisku na szefa pańskiego biura, z jednej strony świadczy o przecenianiu moich możliwości, a z drugiej o niedocenianiu mojej osoby i całego aparatu FSB. Dlaczego? Ano dlatego, że gdyby rosyjskie służby miały włożyć tyle wysiłku i pracy w skompromitowanie oficera waszych służb informacyjnych, wybrałyby sobie bardziej atrakcyjny cel niż major Bzowski. Kogoś na wysokim stanowisku. To po pierwsze. Po drugie, sprawa zostałaby nagłośniona, uczyniono by z niej skandal. Mała, cicha zemsta to dla wywiadu wielkiego mocarstwa tylko strata czasu i pieniędzy. A jeśli chodzi o moje osobiste ambicje... Zagrałem i przegrałem. Wykonywałem swoją misję, a pański major swoją. Przez lata pracy nauczyłem się odsuwać na bok takie emocje jak chęć rewanżu. Za często wyrównanie rachunków kosztuje zbyt wiele. Bzowski zrobił na mnie doskonale wrażenie. Sam chciałbym mieć takiego człowieka, gdybym był szefem kontrwywiadu. Proszę mi wierzyć: ani przez chwilę nie miałem zamiaru odgrywać się w jakikolwiek sposób. Prędzej czy później w takiej pracy jak nasza każdemu powinno się noga i trzeba się z tym po prostu liczyć. Nie powiem, z pewnym zadowoleniem przyjąłem

informację o aresztowaniu majora. Ale to tylko taka małosłowna, złośliwa satysfakcja, nic więcej.

Wroński przyglądał się twarzy rozmówcy. Argumenty Wilichowa wydawały się rozsądne.

- Poza tym pan zakłada, że bylibyśmy gotowi poświęcić część oryginalnej dokumentacji dotyczącej Bursztynowej Komnaty - ciągnął ambasador - żeby doprowadzić do upadku jakiegoś tam majora. To duży błąd. Komnata jest dla Rosji zbyt cenna, aby sobie nią tak pogrywać. Zapewniam, że dowództwo nigdy by się na to nie zgodziło.

- Dobrze. To pan, ale ten major Stańko...

- Grigorij - przerwał ostro Wilichow - znajduje się poza wszelkim podejrzeniem. To jeszcze młody, ale bardzo doświadczony oficer. W tej chwili został ukarany wysłaniem, by nie rzecz zesłaniem, na oddaloną placówkę. Mówię o tym otwarcie, bo przecież takie rzeczy wiecie doskonale. Jednak to tylko stan przejściowy. Stańko jest znakomitym pracownikiem, zbyt wartościowym, żeby go tam trzymać wiecznie i patrzeć mu uważnie na ręce. Jest ostatnią osobą, która by podjęła podobne samowolne działania. Wojna wywiadów to proces ciągły - Trzeba patrzeć daleko do przodu, a nie skupiać się na drobiazgach i drobnych klęskach. Pokrzyżowanie naszych planów to tylko jedna z bitew. Następną, niewykluczone, że ważniejszą, może uda nam się wygrać.

Michał zmrużył oczy.

- Rozumiem - powiedział cicho, prawie szeptem. - To wy kupiliście te papiery.

- Niezupełnie, ale blisko - odparł Wilichow. - W odróżnieniu od was dokładnie wiemy, kto je nabył i gdzie się teraz znajdują.

- Dlaczego pan mi o tym mówi? - spytał czujnie porucznik.

- Bo i tak nic nie możecie zrobić. A ja lubię się czasem tak pobawić z przeciwnikiem. Dać coś na zachętę, sprawdzić, na ile jest czujny...

Do Wrońskiego nagle dotarło, że ambasador prowadzi z nim grę. Trzeba teraz zadać odpowiednie pytanie z dostępnej puli. Zupełnie jak w przygodowych grach komputerowych.

Zapytasz, o co trzeba, otrzymasz bonus. Pomylisz się, trzeba zaczynać rozgrywkę od początku. Różnica jest tylko jedna - w życiu nie ma powtórek.

- Ale - zaczął ostrożnie - chyba może mi pan udzielić informacji, kto sprzedał papiery. To nie ma dla was większego znaczenia.

- Myli się pan, ma. Nie mogę ujawnić źródła. Przecież może się okazać, że jest tego więcej. Żle pan podszedł do problemu.

- A jeśli zapewnię, że nie wykorzystam tej wiedzy do działań operacyjnych przeciwko wam i nie ujawnię jej innym?

- Już lepiej. Ale zastanowił się pan dobrze? To sprzeniewierzenie się regulaminom. No i pozostaje kwestia Bursztynowej Komnaty...

- Mam gdzieś waszą komnatę - warknął Michał. - Jeśli uda wam się ją znaleźć i wywieźć do siebie, tylko pogratuluję!

- Pan nie mówi poważnie.

- To wasza własność - Wroński wzruszył ramionami. - To, że Niemcy i my utrudniamy wam pracę, jest tylko częścią tej wojny, o której pan wspominał. Czyżby nie doniesiono panu, że w trakcie naszych utarczek straciłem ukochaną kobietę? Że rzuciłem wszystko, aby zemścić się na tym, kto to zrobił? A teraz chcę jedynie oczyścić z zarzutów mojego przyjaciela.

Wilichow dopił kawę. Czynił to o wiele dłużej, niż trzeba. Namyślał się.

- Udzielę panu pewnych informacji - powiedział wreszcie - pod warunkiem, że obieca pan, iż wszystkie dokumenty dotyczące Bursztynowej Komnaty, jakie zdoła pan odnaleźć, zostaną przekazane nam. A przynajmniej ich dokładne kopie.

Michał bardzo długo wpatrywał się w twarz ambasadora.

- Zgadza się pan? - spytał Wilichow.

- Proszę nie żartować. To byłaby zwyczajna zdrada. Złożył pan propozycję tylko po to, żebym odmówił.

- Złożyłem ją, bo zawsze warto spróbować. - Rosjanin sięgnął po teczkę, podniósł się z krzesła.

- A Łazarza znajdę - oznajmił Wroński. - Ambasador zamarł, spojrzał na rozmówcę. - Tak, znajdę go i wypatroszę. Pan doskonale wie, gdzie to bydlę się schroniło.

- Gardzę nim tak samo jak pan - odpowiedział zdecydowanym tonem Wilichow. - Łazarz prowadzi teraz grę, która może się dla niego skończyć tragicznie. Tyle mogę panu powiedzieć.

- Ale oczywiście nie wiecie, gdzie przebywa, prawda?

- Niczego więcej pan ode mnie nie wyciągnie. Zresztą jest pan, jak wy to mówicie... za krótki, o właśnie! Jest pan za krótki na tę sprawę.

- Możliwe. Ale wiem już chociaż jedno. Pan wcale nie został tutaj wysłany za karę, na spokojną emeryturę. Nie marnuje się tak doświadczonego agenta. Pan wciąż prowadzi grę wywiadowczą. Poważną grę. Chyba się nie mylę?

- Jeśli nawet ma pan rację, do niczego się to panu nie przyda, zapewniam. To akurat nie ma związku z aresztowaniem majora Bzowskiego. Tyle mogę powiedzieć.

- Dziękuję. A może mi pan jeszcze wyjawić, skąd to przekonanie?
Ambasador nie odpowiedział. Bez słowa opuścił lokal.

*

Leżała odwrócona twarzą do poduszki. W głowie kołatały się wspomnienia czegoś, co przypominało koszmary sen. Oderwane obrazy, wrażenie, że jej ciało tak naprawdę nie należy do niej. Wyraźne było jedynie poczucie zbrukania. Z wysiłkiem odwróciła głowę, gdyż zaczęło jej brakować tchu - nos i usta zagłębiły się w puchową miękkość. Bolały ją wszystkie mięśnie. Co to było? Do świadomości powoli przedzierały się bardziej konkretne myśli. Wczoraj... Czy to było wczoraj? A może przed sekundą albo rok temu? W każdym razie szła za postawną, zgrabną siostrą Mariettą. Była szczęśliwa. Dziwne wspomnienie, jeśli zestawić je z tym, co czuła w tej chwili. Tak... szła za Mariettą. Weszły do przestronnego pokoju wypełnionego lustrami i półkami uginającymi się od kosmetyków. Ewelina, oszołomiona zaskakującym widokiem, usiadła w fotelu. Znienacka poczuła ukłucie w udo. Po chwili świat stał się rozmyty, głosy docierały jakby zza ściany. Wiedziała tylko, że znów gdzieś ją prowadzą. Było ciemno, bardzo ciemno, a potem nagle otoczenie rozbłysło wieloma migotliwymi światłami. Czy były to płomienie świec i pochodni, czy tak postrzegała zwyczajne światło żarówek? W tej chwili było to bez różnicy. Coś z nią robiono, jej ciało zdawało się wędrować z rąk do rąk. Był także ból, odległy, jakby dotyczył kogoś zupełnie innego, ale zarazem bardzo realny. Kilka razy dusiła się, może nawet wymiotowała.

- Podobało mi się - zabrzmiał gdzieś obok męski głos. - Wiesz, Wojteczku, jak zrobić przyjemność staremu kumpłowi. A z tymi kurwami co zamierzasz?

- Nie nazywaj mnie Wojteczkiem - odparł z niezadowoleniem drugi mężczyzna. - Tutaj jestem bratem Wojciechem. Jeśli się zapomnisz przy ludziach, będzie to podważanie mojego autorytetu.

- Dobra, bracie Wojciechu. Co z tymi dziewczuchami? I tym chłopakiem? Chociaż nie, jemu się chyba nawet podobało. Ta mała - Ewelina poczuła szturchnięcie - była strasznie oporna.

- Nauczy się. Wszystkiego się nauczy i jeszcze to polubi.

- A jeśli nie?

- A jeśli nie, będziemy się zastanawiać.

- Oddaj ją mnie. Potrafię zrobić porządek z kobietami.

- Jasne! - w głosie Wojciecha zabrzmiała drwina. - Wiem coś o tym. Potem trzeba się będzie pozbywać ciała!

*

- Panie ministrze, rozpoczęliśmy akcję, obiekt podjął pierwsze konkretne działania. Kazał pan sobie o tym meldować natychmiast, dlatego ośmielam się dzwonić o tej porze.

- Znakomicie, panie generale. Czy mam rozumieć, że wszystko zostało należycie zabezpieczone?

- Oczywiście - w głosie oficera zabrzmiała nutka urazy. - Przecież podkreślał pan wielokrotnie, że najważniejsze jest bezpieczeństwo operacji.

- Najważniejsze jest, żeby w razie jakiegś wpadki była możliwość natychmiastowego znalezienia kozła ofiarnego. Chyba pan o tym pamięta?

Generał milczał przez chwilę. Minister wiedział, że szef kontrwywiadu stara się opanować rozdrażnienie. To była jedna z przyjemniejszych stron władzy - pracownicy musieli udawać, że nic się nie stało, nawet jeśli poczuli się obrażeni. A prawdziwego fachowca nic nie jest w stanie rozsierdzić bardziej niż podważanie jego kompetencji, powtarzanie po kilka razy tych samych pytań i rozkazów, ciągłe upewnianie się, że rzeczywiście postępuje zgodnie z planem.

- Oczywiście, że pamiętam - padła wreszcie odpowiedź. - Jeśli coś by poszło nie tak i groziłby nam skandal, rzucimy tego człowieka na pożarcie. Oskarżymy go o samowolne podjęcie bezprawnych działań, przeprowadzimy nawet pokazowy proces, jeśli będzie trzeba.

- Znakomicie! A na razie obserwować, obserwować i jeszcze raz obserwować. Tylko dyskretnie. Nie chcemy nikogo spłoszyć, prawda?

- Tak jest. Zapewniam, że każdy krok obiektu będzie monitorowany.

- Żebyście tylko nie przesadzili. To podobno spryciarz i inteligentny typ.

- Znaleźliśmy sposób, który pozwoli nam prowadzić inwigilację bez używania tradycyjnych metod, a zapewni doskonałe rezultaty.

- I bardzo dobrze. A teraz, jeśli pan pozwoli, wrócę do przerwanych, pilnych zajęć. Do widzenia.

- Do widzenia.

Minister odłożył słuchawkę, przewrócił się na drugi bok i od razu zasnął.

- Miał pan być wczoraj - powiedział z wyrzutem aspirant Machała.

- Przedwczoraj - poprawił go Michał.

- Właśnie. Tym bardziej. Pan myśli, że tak łatwo mydlić w oczy szefowi, dlaczego niewiele się robi wokół identyfikacji ciała?

- Trzeba było udawać, że coś się dzieje - Wroński wzruszył ramionami. - Pan wybaczy, ale pracowałem w policji, wiem, jak się markuje robotę.

- Widocznie miał pan mniej bystrego komendanta - mruknął Sebastian.

- To akurat prawda. Tępy był jak łopata do węgla po załadunku trzech wagonów. Stary, komunistyczny aparatczyk o nawykach z lat pięćdziesiątych. Nowy podobno jest już zupełnie inny.

- A mój oczywiście jest zupełnie inny. Dwa albo trzy razy dziennie dzwoni pytać, co ustaliłem po odciskach palców. A problem mamy jeszcze większy, bo pojawiły się dwa dodatkowe niezidentyfikowane ciała.

- To jakaś seria?

- Na pewno nie mają związku ze sprawą, w której pan przyjechał. Ale denaci zostali zamordowani i w obu przypadkach znaleźliśmy pewien dziwny ślad. Są mgliste podejrzenia o ich związku z sektą mającą siedzibę niedaleko Brzegu. Trudno jednak będzie coś udowodnić - westchnął. - Ta organizacja ma poparcie wysokich czynników w mieście. Dlatego tamtejszy komendant zdecydował się przekazać sprawę właśnie nam. Jakby tutaj władze się nie wtrącały - dodał z goryczą.

Michał kiwnął głową. Trudna i brudna policyjna robota. Użeranie się z szefami i przestępcami, wysłuchiwanie krytycznych uwag obywateli, naciski wierchuszki oraz tych wszystkich miejskich czy wojewódzkich bonzów, którym wydaje się, że są panami świata, a inni ludzie zostali stworzeni tylko po to, żeby było komu rozkazywać. To samo dzieje się na górze i na dole, a zjawisko różni się jedynie skalą i zasięgiem. Jakość zawsze pozostaje ta sama.

- Gdzie pan ma tego nieboszczyka?

- Podjedziemy do Instytutu Patologii.

Michał z przyjemnością patrzył na ulice Wrocławia. Jeszcze nie dawno wszystko było rozkopane, jakby remonty nigdy nie miały się skończyć. W tej chwili w centrum miasta trwały prace wykończeniowe, ale zaczynało to wyglądać całkiem obiecująco. Nareszcie gładkie, równe nawierzchnie.

Łup!

Ledwie Michał dokończył myśl, samochodem zarzuciło i rozległ się potężny stuk.

- Kurwa żesz mać! - wściekł się kierowca. - Zawsze zapominam, że to gówno tutaj jest! By ich szlag, robią, robią, ale wyjeżdż tylko gdzieś w bok, dziura, kurwa, na dziurze i dziurą, kurwa, pogania.

- Leszek, nie wrzeszcz tak - upomniał go łagodnie aspirant. I nie bluzgaj. Gościa wieziemy.

- Sorki. - Kierowca odwrócił się lekko. - Ale szlag może trafić.

- Nic się nie stało - odparł z uśmiechem Michał. - Od małej wiązanki uszy mi nie zwiędną. Doskonale pana rozumiem.

- Zawieszenie można stracić - burczał policjant pod nosem. - Żeby ich pokrećło za te drogi, pierdolonych.

Machała spojrział na Wrońskiego, zrobił przeproszającą minę i bezradnie wzruszył ramionami. Michał mrugnął porozumiewawczo okiem.

W Instytucie Patologii przywitał ich chudy, wysoki lekarz. Michał przypomniał sobie, że na filmach patolodzy zawsze coś jedzą, najczęściej w sali sekcyjnej, nad trupem.

Tymczasem doktor nie miał nawet kubka z kawą, ale za to nosił typowy gruby fartuch i chirurgiczne rękawiczki.

- Jest pan wreszcie - powiedział na widok aspiranta. - Protokół z sekcji wysłałem już przedwczoraj.

- Wiem, doktorze. Nieprzewidziane okoliczności...

- Kiedy ja ostatnio zasłaniałem się nieprzewidzianymi okolicznościami i spóźniłem z autopsją, dostałem po premii.

- Przepraszam, ale czasem tak bywa.

Machała rzucił Michałowi pełne wyrzutu spojrzenie.

- To jest - ciągnął dalej - porucznik Wroński z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Istnieje możliwość, że zidentyfikuje zwłoki.

- Powiedziałbym, że bardzo mi miło - burknął lekarz - ale nie lubię tych z ABW. Nigdy nie można ich zadowolić, zawsze mają pretensje. A to sekcja zbyt długo trwa, a to wyniki za późno przychodzą, a to znowu coś im w raporcie nie pasuje.

- Doktor Szubert ma bardzo specyficzne poczucie humoru - próbował ratować sytuację aspirant.

- Pan doktor jest pozbawiony czegoś tak bezużytecznego jak poczucie humoru - wycedził patolog.

Michał zaśmiał się krótko.

- Jakby to panu powiedzieć, ja też nie bardzo lubię tych z ABW.

Doktor spojrział bystro, ale się nie odezwał.

- Możemy obejrzyć denata?

Szubert wskazał za plecami ścianę z rzędami chłodni, biegnącymi od podłogi pod sufit. Podeszli, doktor szarpnął za uchwyt lodówki i wysunął szufladę. Michał przyjrzał się uważnie nieboszczykowi, po chwili kiwnął głową. Ciało powędrowało do środka.

- Co mu w zasadzie zrobili? - spytał.

- Raport jest na komendzie - odparł opryskliwie patolog.

- Wolałbym to usłyszeć od pana. Krótko i treściwie.

- Krótko mówiąc, bezpośrednią przyczyną zgonu były dwa strzały w serce. Ale tego człowieka przed śmiercią okrutnie torturowano. W zasadzie i tak by umarł od obrażeń wewnętrznych i z upływu krwi. Aż dziwne, że pozostawiono nienaruszoną twarz.

- To akurat dla mnie jasne.

- Co pan ma na myśli?

- To był znak, ostrzeżenie dla kogoś. Tyle że oprawcy nie do końca widać zdawali sobie sprawę z warunków pracy polskiej policji, tego, jak się u nas ciężko dokopać do baz danych, jak marnie wygląda przepływ informacji między agendami. Dziękuję panu, doktorze.

Szubert pokręcił głową.

- Ach, te wasze wieczne gierki i niedomówienia. Może zdoła pan zidentyfikować też tę dwójkę trupów, których nam ostatnio przywieźli? Zakatowana na śmierć dziewczyna i zastrzelony młody człowiek.

- Wątpię. Pan Sebastian wspominał, że mogą mieć związek z jakąś tutejszą sektą. To nie mój rejon zainteresowań.

- Właśnie. Bardzo szkoda - westchnął Machała. - Z chęcią bym się dowiedział paru rzeczy od kogoś, kto ma kontakty w warszawskich służbach.

- Akurat moje biuro raczej nie zajmuje się sekciarzami. Ale może się pan zwrócić do odpowiedniego departamentu.

- Zwracałem się, ale mnie spuścili w klozecie. No cóż, nie ma o czym mówić. Pora na nas. Serdecznie dziękuję, panie doktorze.

- Nie ma za co - wymamrotał Szubert trochę nieprzytomnie, zaraz jednak spojrzął na Michała bardzo trzeźwym wzrokiem. - Ja nie lubię panów z ABW, bo muszę dla nich pracować i nie jest to miłe. Ale pan? Niby za co?

- Bo ja muszę pracować z nimi i pośród nich. I też nadzwyczaj często nie jest to zbyt miłe - odparł z uśmiechem porucznik.

*

Ogromna, ciężka walizka spoczywała na stole. Człowiek w nasuniętym głęboko na oczy kapeluszu zwolnił zatraski.

- Chcesz obejrzeć?

Pryszcłaty młodzieniec w wojskowej bluzie podszedł bliżej.

- Nie trzeba. Mam nadzieję, że towar takiej jakości jak zawsze.

- Oczywiście - odparł mężczyzna w kapeluszu. - Pierwszy sort, jeszcze ciepłe.

- Umawiamy się jak zwykle w takich sprawach - piętnaście procent wartości.

- Dwadzieścia pięć.

- Dwadzieścia. Mam swoje koszty.

- To je zmniejsz! Zwolnij kogoś. Myślisz, że nie wiem, ilu was się pasie przy tym biznesie? Nie zamierzam utrzymywać twoich darmozjadów.

- To nie zakład pracy. Ci wszyscy goście gotowi są zabić, jeśli się im coś powie, albo nabiorą jakichś podejrzeń. To fakt, że w tej chwili połowa z nich zupełnie nie jest mi potrzebna, ale jak niby mam kogoś zwolnić?

- Ostatecznie i nieodwołalnie.

- Trudno likwidować kumpli.

- Albo się tego nauczysz, albo przepadniesz w tym interesie. Fałszowanie pieniędzy to nie dystrybucja prochów. Tutaj trzeba mieć głowę na karku. Nie ma miejsca na żadne długi, a już na pewno długi wdzięczności. Kto niepotrzebny, do piachu.

- To jak, spuścisz na te dwadzieścia procent?

- Dasz tyle, ile powiedziałem, albo spadaj szukać innego frajera. Jeśli współpraca będzie nam się dobrze układać, może dostaniesz jakąś zniżkę. Na razie płać.

Pryszczaty skrzywił się i splunął.

- Wytrzyj to - warknął człowiek w kapeluszu.

- Coś taki czyścioszek? Twój garaż?

- Twój też nie. Nie wolno zostawiać takich śladów. Z plwociny można wyczytać zaskakująco dużo informacji, a ja nie mam ochoty mieć przez ciebie kłopotów.

Pryszczaty wzruszył ramionami, roztarł mokry ślad butem.

- Chusteczką! - W jego stronę poleciał kawałek materiału. A potem schowaj ją do kieszeni i nie wyrzucaj w pobliżu. Zabierz do domu, wypierz i dopiero możesz cisnąć w śmieci.

- Oszalałeś? - Młodzieniec wstał z klęczek. - Przecież nikt tutaj nie przyjdzie z ruchomym laboratorium.

- Tutaj może nie. Ale to nauka na przyszłość. Nie wolno paskudzić, zostawiać za sobą śladów. Chyba że ci zależy, aby ktoś je odczytał. Ale to zupełnie inna bajka.

Pryszczaty schował chustkę do kieszeni i wzruszył ramionami.

- Dlaczego tak się o mnie troszczysz? Przecież...

Przerwał mu chrapliwy śmiech.

- Ja nie troszczę się o ciebie. Daję ci nauki ze względu na siebie. Nie mam ochoty znaleźć się nagle w pierdłu, bo jakiś kretyń nie przestrzega podstawowych zasad.

- Kogo nazywasz kretyńem? - warknął młody. - Uważaj, co mówisz i do kogo.

- Mówię, co chcę i do ciebie, debilu.

Więcej nie było trzeba. Pryszczaty sięgnął za pasek spodni. Zanim jednak zdołał wydobyć broń, usłyszał szcęk zamka.

- Nie wygłupiaj się - powiedział spokojnie mężczyzna. - Musisz się jeszcze wiele nauczyć. Między innymi panować nad sobą.

Chłopak dyszał przez chwilę, wypuszczając z siebie złość. Miał wrażenie, że z płuc wydobywa się powietrze nagrzane niczym w hutniczym piecu.

- To kolejna lekcja. Nigdy nie noś spluwy tak, żeby widać było, kiedy po nią sięgasz.

- A jak niby mam nosić? - spytał ze złością młody.

- Pomyśl, pokombinuj. Każdy ma własne sposoby, musi je sobie wypracować. Chyba nie chcesz, żebym zdradzał swoje każdemu napotkanemu opryszkowi, który nie ma zwyczaju używać mózgu?

Tym razem Pryszczaty zbył obelgę milczeniem.

- Pieniądze znajdziesz w bagażniku - powiedział.

- Świetnie. - Mężczyzna w kapeluszu podniósł rękę na znak pożegnania. - Widzę, że szybko się uczysz. Może jeszcze coś z ciebie będzie, a ja wtedy złożę ci bardzo interesującą propozycję. To do następnego razu.

*

- Kim jest ten nieboszczyk? Powie mi pan wreszcie?

Michał przez całą drogę nie odezwał się nawet słowem. Siedział zamyślony, wpatrzony tępo w świat za szybą samochodu. W komendzie też milczał, nie zwracając uwagi na zaczepki Machały.

- Panie Wroński - wysyczał wreszcie wściekły policjant - ryzykuję dla pana dużo. Bardzo dużo. Zwlekam z przekazaniem raportów przełożonemu, trzymam w niepewności rozdrażnionego patologa. Znoszę pańskie fochy. Nie wiem nawet do końca, czy ma pan prawo oglądać zwłoki, bo działam jedynie na podstawie nieformalnej prośby. Ale, do cholery ciężkiej, chcę wreszcie usłyszeć, co ma pan do powiedzenia w tej sprawie!

Michał spojrział na niego mętным wzrokiem.

- Do powiedzenia? Ten tam truposz to Witold Żółtak. Kiedyś pracował w moim biurze.

- Pracował? A co się stało, odszedł?

- Można tak powiedzieć. Uciekł. Zdradził i uciekł.

- Pan powiedział, że jego śmierć miała być ostrzeżeniem dla kogoś. Dla kogo?

Wroński pokręcił głową, jakby czemuś zaprzeczał.

- Nie powie mi pan?

- A po cholere panu taka informacja? To nie dotyczy spraw prowadzonych przez wrocławską policję.

- Wszystko, co się dzieje na terenie... - zaczął aspirant.

- Niech pan da spokój - przerwał mu Michał. - To brednie. Wiele spraw załatwia się ponad waszymi głowami. Poza tym nawet nie możecie wykorzystać tego, co powiedziałem o Witku. Identyfikacja jest nieformalna, powiadomić o jej wyniku należy jedynie biuro w Warszawie.

- Nie rozumiem...

- A nie dziwi pana w tej sytuacji, że nie ustalono jego tożsamości po odciskach palców, dokumentacji dentystycznej, że nie było zdjęcia w bazie danych? Przecież to pracownik resortu, w którym takie dane umieszcza się rutynowo w zbiorach. Właśnie dlatego, żeby można było szybko dokonać identyfikacji.

Aspirant patrzył szeroko otwartymi oczami na rozmówcę.

- Proszę się nie dziwić. Po ucieczce Żółtaka dane skompromitowanego agenta zostały utajnione, wciągnięte do osobnego, specjalnego katalogu.

- Ale przecież mimo to, kiedy wysłałem ogólne zapytanie, ktoś u was powinien się zorientować.

- Właśnie. Powinien, i to w krótkim czasie. Podejmuje się wtedy pewne działania. A tutaj cisza jak na pogrzebie organisty. Bo wszystkie dane zniknęły.

- Nie rozumiem - rzucił ze zdziwieniem Machała.

- Ktoś musiał skasować informację od pana.

- Ale przecież przyjechał pan dokonać identyfikacji, więc...

- Owszem. Jednak to nie jest do końca formalne. W ogóle nie jest formalne. Otrzymaliśmy poufną wiadomość, że ciało Witka może się znajdować w tutejszej kostnicy.

- Od kogo?

Michał nie odpowiedział. Zamiast tego poprosił:

- Może mi pan pokazać dokumentację dotyczącą tych dwojga ludzi, o których mówił patolog?

Aspirant zawahał się.

- W zasadzie nie mam prawa...

- Tak naprawdę od jakichś dwóch godzin działa pan poza granicą regulaminów. Ja formalnie jestem na urlopie, w trakcie przeniesienia na placówkę zamiejscową mojej firmy. Wyświadczyłem panu grzeczność, uświadamiając, kim jest nieboszczyk...

- A ja panu nie? Przecież... - bronił się Machała.

- Nieważne, nie licytujmy się. Teraz może już pan mieć to z głowy. A mnie bardzo interesuje tych dwoje. Dogadamy się?

- To wszystko staje się szalenie skomplikowane.

- To wszystko jest bardzo proste, jeśli chodzi o pana w tym udział. Natknął się pan po prostu na fragment większej całości. Komplikacje zaczynają się dopiero od tego truposza. Komplikacje i szalenie trudne pytania, na które nie znam odpowiedzi. Aż boję się je poznać - dokończył Wroński.

*

Siedzieli we czterech przy półlitrowce, dokładnie już przy trzeciej z kolei.

- I co? - spytał bełkotliwie typ bliźniaczo podobny do Pryszczatego, ale szerszy w barach.

- Dałem radę wytargować dwadzieścia pięć procent. - Wolał nie wspominać, że to nie on zaproponował taką stawkę. Autorytet wśród współpracowników to najważniejsza rzecz. - Trudno było, ale w końcu się zgodził.

- Gdyby się nie zgodził, ja bym do niego poszedł - oświadczył chępliwie siedzący naprzeciwko Pryszczatego goryl z masywną szczęką i dłońmi wielkości łopaty.

- To nie jest facet, którego można przestraszyć.

- Co ty mówisz! Stałem na ochronie, widziałem go. Nieduży gostek, z półtorej głowy niższy ode mnie.

Misiek westchnął w duchu. Kontrahent miał w sobie coś, co kazało odczuwać respekt, a nawet lęk. Zimne, twarde spojrzenie zdawało się uderzać prosto w twarz, nawet jeśli było ukryte pod rondem kapelusza.

- Daj spokój - prychnął. - To fachura. Dla niego wszyscy jesteśmy cieniasami.

- A ty co? - spytał czwarty z uczestników popijawy. Był najdrobniejszy w całym towarzystwie, ubrany w elegancką marynarkę.

- Zabujaleś się w nim?

- Nie pieprz, Bankowiec. Znam się na ludziach na tyle, żeby swoje wiedzieć.

- Przestraszył cię?

- Chyba ochujaleś! - oburzył się Pryszczaty. - Facet ma doświadczenie, to prawdziwy stary wyjadacz. Poddał mi nawet parę ciekawych pomysłów, jak usprawnić pracę.

- Znaczący - spotkanie było owocne i przebiegało w miłej, przyjaznej atmosferze.

- Żebyś wiedział - warknął przywódca. - Dawaj lepiej laptopa. Trzeba sprawdzić notowania.

Bankowiec sięgnął pod stół i podał prostokątną torbę. Pryszczaty wydobył komputer, a po chwili ekran rozjarzył się niebieskim blaskiem. Dwaj ochroniarze patrzyli mętnym wzrokiem na palce śmigające po klawiaturze. Nie mieli pojęcia, co ich szef robi, ale też zupełnie ich to nie obchodziło. Tylko szczupły człowiek w marynarce przyglądał się z podziwem.

- Pozory mylą, jak powiedział jeź, schodząc ze szczytów ryżowej - zauważył.

Pryszczaty zamarł z dłońmi nad czarną powierzchnią laptopa.

- Co masz na myśli?

- Nic, tak mi tylko przyszło do głowy.

Pryszczaty spojrział na niego groźnie i wrócił do pracy. Wiedział, o co chodzi kumplowi. Miał w domu lustro i zdawał sobie sprawę, jak wygląda i co można wyczytać z jego twarzy. Wielu ludzi nabierało się na obrzydliwe wypryski i chamskie obejście, biorąc go za zwykłego osiłka, ćwoka, który nie potrafi niczego poza używaniem pięści.

- Indeksy idą w dół - powiedział. - Czekać. Wyjął komórkę, wstukał numer.

- Janek? Akcje lecą na pysk. Sprzedawać czy się wstrzymać? - Słuchał przez chwilę. - Dobra, to kupuj według własnego uznania. Ryzyko zawsze jest, wiem, ale wierzę w ciebie.

Bankowiec kręcił się niespokojnie.

- Jak spadają, trzeba się ich pozbyć, dopóki można jeszcze coś zarobić - powiedział.

- Ty się może znasz na komputerach i innych bajerach, ale nie na giełdzie. Ksywa nie czyni z ciebie od razu brokera. Janek ma pewny cynk. Przed wieczorem wszystko powinno wrócić do poprzedniego stanu, a my tymczasem wykupimy dodatkowe pakiety.

- Kiedyś się ten twój kolo pomyli i będziemy ostro do tyłu - rzekł ponuro Bankowiec.

- Wtedy wyślemy do niego Zębatego. - Pyszczy wskazał siedzącego naprzeciwko ochroniarza. - A on mu wytłumaczy, że pomyłki bywają niezdrowe. Dobrze gadam, Zębaty?

Goryl w odpowiedzi wyszczerzył się w szerokim uśmiechu. Bankowiec skrzywił się z niesmakiem, kiedy zobaczył zupełnie przegniłe pieńki zębów.

- Mówiłeś coś o nowych pomysłach. - Odwrócił głowę w kierunku Pyszczonego.

Wolał już te obrzydliwe wypryski na twarzy szefa niż widok szczerb i poczerniałych dziąseł.

- Muszę to jeszcze dokładnie przemyśleć. Później pogadamy. Wskazał wzrokiem kumpli od kieliszka. Bankowiec kiwnął głową.

„Jesteś podejrzany. Tak samo podejrzany, jak twój przełożony”. To była myśl, która miała towarzyszyć Michałowi przez następne dni. Żeby oczyścić się z zarzutów, powinien udowodnić, że nie zrobili niczego złego. On i Bzowski. Podobno istnieje coś takiego jak domniemanie niewinności. Jednak zasady pracy w kontrwywiadzie były jasne - musisz być poza wszelkim podejrzeniem, inaczej możesz w każdej chwili spodziewać się gromu z jasnego nieba. Jeśli będzie trzeba, ludzie z jednostki specjalnej wszędzie cię dopadną.

Podczas podróży do Finlandii czuł na karku wzrok agentów. Wiedział, że ma ogon, ale zgubił go z łatwością, może nawet za łatwo. Inna rzecz, że rozmowa z Wilichowem dała mu niewiele, poza stuprocentową już pewnością, że Łazarz nie tylko żyje, ale wrócił do gry.

Jeśli ktoś miał prawdziwy, poważny powód, aby zrobić Bzowskiego, to właśnie on. Jednak parę rzeczy nie pasowało do układanki. Ale tak to już jest. Podobne sprawy składa się jak puzzle wyciągane pojedynczo z pudełka - kiedy widać całość, wszystko staje się jasne, ale przez cały czas zabawy człowiek irytuje się i zastanawia, czy części aby na pewno należą do jednego obrazka.

Miał ochotę uciec, zaszyć się w jakiś kąt, zasnąć i zapomnieć o wszystkim. A najlepiej wszystko przespać, poczekać, aż się wyjaśni, rozwiąże tak czy inaczej.

- Nie dam ci zginąć, Jacku - mruknął. - Nie pozwolę, żebyś zgiął w areszcie.

- Synu, rozmawiasz przez komórkę czy znów mówisz do siebie? - Do pokoju wszedł ojciec. Niósł dwie butelki piwa. - Nie dostałem „Obołonia” ani „Baltasa”. Ale mam coś, co się nazywa „Weizen-Bier” z Corneliusa. Nie krzyw się. Wiem, że nie lubisz niemieckich piw, ale akurat to jest nasze, pszeniczne wyprodukowane w Polsce. Możesz się zdziwić, jak smakuje.

Michał uśmiechnął się i wziął butelkę.

- Dobrze wstrząsnąłem i chwilę odstało - powiedział ojciec. Powinno być w sam raz.

Wroński spojrział pod światło. Mętny płyn. Najbardziej lubił właśnie takie piwo - niefiltrowane, dojrzewające w butelce. Przyłożył szyjkę flaszki do nosa, wciągnął powietrze.

- Interesujący bukiet - zauważył. - Wyraźny pszeniczny słód i doskonale drożdże. Ale jest coś więcej... Tak, trochę jakby zapach wanilii, bardzo delikatny i ulotny, ale da się wyczuć. - Pociągnął łyk, poczekał, aż ciecz rozleje się po języku. - Niezłe - powiedział z uznaniem. - Nie jest co prawda tak wyraziste, jak ukraińskie ani jedwabiste jak litewskie, ale coś w sobie ma. Coś innego niż tamte. Muszę się zastanowić.

Przymknął oczy, pociągnął drugi łyk. W tym czasie ojciec wypił już swoje do połowy.

- Lekka nuta goryczki. Chmielone w sam raz, ani za dużo, ani za mało. Woda doskonała, pewnie czyściutka głębinowa. Dzięki takiej wodzie można wydobyć z brzczyki to, co najlepsze. Już wiem, z czym mi się kojarzy to piwo. Z letnią łąką zaraz po deszczu.

- Wybacz, synu - ojciec dopił do końca - ale pieprzysz jak jakiś poeta. To jest piwo, chłopie. A piwo, jak sama nazwa wskazuje, służy do picia. Weź no się do roboty, skończ swoje, to przyniosę następne.

Michał przyssał się do butelki. Wlewał ulubiony nektar w gardło, czując, jak spłukuje nie tylko kurz i osad całodziennego zmęczenia, ale także oczyszcza umysł ze zbędnych myśli.

Ojciec z aprobatą kiwnął głową i poszedł po kolejną porcję.

- Nie rozpijaj chłopaka - doleciał oburzony jak zwykle głos matki, oglądającej jakiś serial w małym kuchennym telewizorku.

- Dorosły już jest, nie zauważyłaś? Doroślejszy, niżbyśmy chcieli.

- Martwię się o niego. Ojciec wrócił.

- Słyszałeś? Mama się o ciebie martwi. - Podał piwo Michałowi. - Ja zresztą też. Masz kłopoty?

- Mam, tato.

- Opowiesz? Po co pytam, jak zwykle nie możesz nic powiedzieć.

- Nie mogę. Jak zwykle. Tyle że - zniżył głos, żeby matka przypadkiem nie usłyszała - tym razem to przypomina zjazd na wrotkach z Mount Everestu. Ryzyko jak jasna cholera, trzeba bardzo uważać, a satysfakcja mizerna.

- Aż tak źle? Ten twój Bzowski nie może ci pomóc?

- Nie tym razem.

- Powiedz, co z Magdą i Patrykiem. Wpadłeś rano jak po ogień, zaraz gdzieś pojechałeś, nawet nie zdażyłem zapytać.

- Mama za to zdażyła.

- A tak, w tym jest dobra. Ale ja nic nie wiem.

- Nic ci nie powiedziała?

- Coś tam mówiła, ale wolę usłyszeć od ciebie.

Michał westchnął ciężko. Nie miał ochoty rozpamiętywać wizyty w Londynie.

- Żyje im się dobrze. Na pewno o wiele lepiej niż tutaj ze mną.

- Nie gadaj...

- Nie gadam, tak jest. Magda potrafiła się zakrećić. Poznała tam jednego Angoła. Taki chudy patyk z wiechciem na głowie. Całkiem sympatyczny. W każdym razie traktował mnie lepiej niż własna rodzina.

- No co też mówisz...

- Prawdę, tato. Magda odnosi się do mnie jak do wroga. Zupełnie jakbym to ja stukał ją po rogach, a nie odwrotnie. Nawet herbaty albo kawy nie zaproponowała ani razu, o kanapkach nie wspomnę. Ten jej George mówił coś nawet, żebym nocował u nich, bo mają spore mieszkanie, ale tak na niego spojrzęła... Szkoda gadać.

- A mały? Stęskniłem się za nim. Zawsze się doskonale rozumieście.

- Zawsze... tak, ale w czasie przeszłym. Nic dziwnego, bo teraz przecież przebywa cały czas z matką, ciągle wysłuchuje jej żalów. Diabli wiedzą, co ona tam gada. A tak właściwie nie diabli nawet wiedzą, bo bez trudu sam się domyśliłem. Pamiętasz, że przez cały czas zarzucała mi, że mam jakieś kochanki, że nie chodzę dyżurować do pracy, tylko na dziwki.

- Pamiętam. Takich rzeczy się nie zapomina. Wiele razy przychodziła do nas skarżyć się, nie chciała słuchać rozsądnych argumentów.

- Właśnie. A tymczasem sama... Nieważne. W każdym razie Patryk patrzył na mnie jak na raroga. Przez telefon był zawsze miły, rozmowny, ale spotkania były trudne. Tydzień łamałem dzielącą nas barierę, ale kiedy tylko zdołałem wystawić za nią palec... co tam palec,

raczej koniuszek paznokcia, Magda natychmiast zareagowała. Dwa dni przerwy w odwiedzinach, bo mały ma temperaturę, źle się czuje, a w ogóle to przeze mnie, bo siedzieliśmy zbyt długo nad Tamizą. Potem znów wyrósł szklany mur i znów musiałem stawać na głowie. Kiedy wyjeżdżałem, Patryk miał wilgotne oczy, ale jestem pewien, że już z powrotem jest przekonany, jaki z jego starego straszny łajdak.

- Współczuję, synu - powiedział cicho ojciec.

- Jest czego.

- A teraz w dodatku masz kłopoty. Michał zaśmiał się krótko.

- Gdzieś tu na półce stoi kryminał Chandlera *Kłopoty to moja specjalność*. W ostatnim czasie ten tytuł stał mi się bardzo bliski.

*

- Masz? - spytał Wojciech.

- Mam.

- Na jaki procent?

- Dwadzieścia pięć.

Kapłan gwizdnął z podziwem.

- Niezły jesteś. Mnie nigdy nie udało się wyskoczyć nad siedemnaście.

- Też mogłeś tyle zgarniać, ale nie masz rozmachu, nie potrafisz zaryzykować.

- Ryzyko jest dobre dla młodych i głupców. Ty też przecież nie nadstawiałeś głowy przy tej transakcji.

- Bo wciąż mam świetne kontakty. Do tej pory dystrybutorzy na każdym kroku rąbali cię w dupę. A ja pozwalam się oskubać, ale delikatnie. Kontrahent musi być przekonany, że jest bardzo sprytny. Łatwiej później takim manipulować.

Wojciech podrzucił w dłoni paczkę banknotów, potem powąchał ją, przesunął palcem po grzbiecie, żeby wydobyć cichy szelest.

- Kto to w ogóle jest?

- Niedawno pojawił się na rynku. Polecił mi go znajomy z dawnych czasów.

- Z dawnych czasów? Pewnie jakiś ubol.

- Jak my wszyscy.

- Znam go? Znaczy, tego znajomego z dawnych czasów.

- Może tak, może nie. Jakie to ma za znaczenie? Najważniejsze, że dał kontakt.

- Co to za gość, ten, który odbiera towar? Odpowiedź padła po dłuższej chwili.

- Całkiem obrotny, inteligentny młodzieniec. Jeśli zdoła przeżyć następnych parę lat i wyrobi się towarzysko, jeszcze będzie o nim głośno. Ma łeb na karku, tylko wciąż jest trochę narwany.

Wojciech znów podrzucił paczuszkę. Uwielbiał zapach używanych pieniędzy. Nowe nie robiły na nim takiego wrażenia. Chciał coś powiedzieć, ale zza drzwi doleciał podniesiony głos.

- Muszę się z nim widzieć! Natychmiast!

- Oho - mruknął kapłan - zbliżają się kłopoty. Już się dowiedział, skurczybyk.

Wstał, wyrzwał na zewnątrz.

- Wpuścić - rozkazał.

Po chwili do pokoju wpadł czerwony na twarzy, wzburzony człowiek po pięćdziesiątce, ubrany w doskonale skrojony garnitur.

- Musimy pogadać w cztery oczy - wydyszał.

- Nie mam przed moim gościem żadnych tajemnic.

Przybyły obrzucił nienawistnym spojrzeniem mężczyznę o nienaturalnie gładkiej twarzy.

- To, kurwa, on?!

- Co, kurwa, on? - spytał łagodnie Wojciech.

- To z nim się dogadałeś? On teraz odbiera towar?

- Nie, nie on odbiera. On teraz nadaje. Nie wrzeszcz tak, bo wierni gotowi usłyszeć i będę musiał się gęsto tłumaczyć, że spierałem się z szatanem.

- Sam jesteś szatan - powiedział już spokojnie przybyły.

- To pan poseł Stefanik. - Wojciech przedstawił gościa uprzejmym tonem towarzyskiej konwersacji, zupełnie jakby nic nie zaszło. - A to brat Robert, moja prawa ręka w zgromadzeniu i nie tylko.

- Prawa ręka czy lewy półdupek, gówno mnie to obchodzi! Dlaczego towar nie przyszedł do mnie? Komu go spuściłeś?

- Temu, kto więcej zapłacił. Finanse nie znoszą próżni, a twój niski procent wytworzył ją, niestety, w moich aktywach i pasywach.

Poseł poczerwieniał jeszcze mocniej.

- Niski? Może i tak, ale przynajmniej miałeś spokój z glinami, urzędem skarbowym i różnymi kontrolami. Chroniliśmy cię. Mojej osobistej interwencji zawdzięczasz...

- Nadal będziesz mnie chronił. Opłaci ci się. Dostaniesz działkę, i nawet większą niż dotąd, krzywda ci się nie stanie.

- Ale ja mam zobowiązania, odbiorców towaru...

- Zrozum, człowieku, to jest interes, a nie zabawa w piaskownicy. Zaczynaliśmy się już dusić. Twoi kumple robili bokami, stawali na głowie, żeby towar zszedł. A teraz mamy poważną dystrybucję, możemy objąć nawet cały kraj.

- Za mało tego produkujesz...

- Zwiększymy moce przerobowe. To tylko kwestia techniczna. Stefanik zagryzł wargi.

Widać było, że ostatkiem sił powstrzymuje się przed wybuchem.

- Wystarczy jedno moje słowo - wychrypiał wreszcie - a z tego twojego świętego zgromadzenia nic nie zostanie.

- Wystarczy jedna mała przesyłka do IPN-u, a twoją świetlistą karierę szlag trafi. To zresztą nie jedyne nasz argument. Bracie - skinął na Roberta - twoja kolej.

- Panie pośle Stefanik - powiedział wezwany, wstając i podchodząc do rozgniewanego gościa bardzo blisko - jesteś pan dorosły, w polityce siedzisz od czasów komuny. Musimy sobie coś wyjaśnić. Pan może nasłać na nas policję, ABW, CBS i inne śmieszne instytucje. Proszę jednak pamiętać o jednym: bardzo nieprzyjemnie jest obudzić się rano w kałuży krwi i zobaczyć, że obok leży żoneczka z poderżniętym gardłem. Jeszcze gorzej pójść do pokoju wnuków, żeby ujrzeć, jak dzieciaki są zbudowane od środka.

- Ty... ty... - wydyszał poseł.

- Ja... ja... - odparł drwiąco brat Robert. - Nie jękać się, panie parlamentarzysto. A żeby ci uświadomić, że żarty się skończyły...

Poseł zwinął się w pół, uderzony prosto w krocze. Napastnik wyprostował go zaraz mierzonym ciosem w nerki. Stefanik poczuł, jakby jego ciało rozrywało się na tysiące kawałków. Zwalił się ciężko na ziemię. Robert stanął za nim, czubkiem buta kopnął w kręgosłup.

Potem przerzucił ofiarę na plecy, rozrzucił jej nogi i stanął obcasem na genitaliach.

- Jak przycisnę - rzekł tonem uprzejmej konwersacji - nabiął pójdzie się paść na niebiańskich błoniach. Żona i wszystkie kochanki nie będą z tego powodu chyba zbyt szczęśliwe.

- Zostaw - jęknął poseł.

- Będziesz grzeczny? - oprawca nacisnął odrobinę mocniej. Wojciech poczuł się, jakby przeżywał déjà vu. Jego przyjaciel bardzo niedawno zadał identyczne pytanie gwałconej dziewczynie.

- Będę - wyrzęził Stefanik.

- No to załatwione. Mężczyzna uśmiechnął się i wrócił na poprzednie miejsce. Kapłan pomógł posłowi wstać.

- Widzisz - powiedział ze smutkiem. - Tak to jest, kiedy się człowiek za wszelką cenę upiera przy swoim.

- Niech was szlag trafi... niech was diabli wezmą.

- Niewątpliwie pewnego pięknego dnia trafimy do piekła - odezwał się Robert. - Jestem na sto procent przekonany, że możemy się tam spotkać z tobą i innymi podobnymi typami. Ale na razie jesteśmy na tym świecie i trzeba się tutaj urządzić tak, żeby wiadomo było, za co smażymy się w kotle. Powiedz mu, wasza świątobliwość - zwrócił się do Wojciecha - o naszej drugiej propozycji.

- Oczywiście - uśmiechnął się promiennie kapłan. - Podrabiana forsa to nie wszystko. Nasz przyjaciel posiada bardzo szerokie kontakty i na Wschodzie, i na Zachodzie. Jeśli zechcesz, możesz zarobić znacznie więcej niż do tej pory.

Stefanik wyprostował się, odetchnął głęboko, próbując wytrzymać ciągnący ból w dole brzucha.

- Czy to coś jeszcze bardziej nielegalnego? - rzucił z niepokojem.

- A czy może być coś bardziej nielegalnego od fałszowania biletów Narodowego Banku Polskiego? - spytał Wojciech. I natychmiast sam sobie odpowiedział: - Tak, niewątpliwie może. A co, chcesz zrezygnować z udziałów?

Poseł pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Już wiem, dlaczego nie musicie się bać piekła. Zdaje się, że to wy tam będziecie rządzić.

- Niewykluczone - rzucił niecierpliwie brat Robert. - Ale po co strzepić język? Chce pan wiedzieć, co oferujemy, czy nie?
- Zarobić zawsze warto - mruknął parlamentarzysta.
- Widzisz - ucieszył się Wojciech. - Zaczynasz wreszcie mówić jak człowiek.

*

- Nie znam nikogo innego - mówiła ze łzami w oczach. - Tylko pan może mi pomóc.

Michał wciąż był zdumiony nagłym pojawieniem się kobiety. Zresztą ojciec też wydawał się co nieco zszokowany. Ale on z innego względu - uroda niespodziewanego gościa zrobiła na nim niesamowite wrażenie. Porucznikowi przebiegło przez głowę, że matka nie byłaby szczęśliwa, widząc wzrok męża wlepiony w kształty nowo przybyłej kobiety. Na szczęście akurat wyszła na zakupy.

- Tato - Michał upomniał delikatnie Wrońskiego seniora - czy mógłbyś...

- Oczywiście - ojciec otrząsnął się. - Idę do kuchni. Jak matka wróci, ją też tam zagonię.

Michał odetchnął głęboko.

- W czym mógłbym pomóc?

- Tylko pana znam z takich ludzi, którzy... którzy... - szukała odpowiednich słów. - Którzy wiedzą coś o policyjnej pracy - dokończyła z ulgą.

- A skąd pani przyszło do głowy, że mam o tym pojęcie?

- No, wie pan, komendant w Ostrowie Wielkopolskim coś napomknął, że pracuje pan w pokrewnym resorcie.

- Już ja mu napomknę to i owo przy okazji - mruknął Wroński.

- Słucham?

- Nie, nic, mówiłem do siebie. Jak mnie pani znalazła?

Poprawiła się na krześle.

Drewniany, niezbyt wygodny mebel nie pozwalał przyjąć wygodnej pozycji. Michał nieraz mówił rodzicom, że powinni sprawić sobie bardziej komfortowe siedziska. „Jest wersalka, synu, nam w zupełności

wystarcza. Kto tam do nas przychodzi?”. Tak już jest ze starszymi ludźmi - trudno ich przekonać do wielu spraw.

- Znalazłam? Właściwie nie musiałam szukać. Tamten policjant był na tyle miły, że dał mi adres, który podał mu pan do korespondencji.

- To ciekawe. Nie powinien tego robić. Mnie nie podał nawet pani telefonu.

- A chciał pan? - Uśmiechnęła się na pół przekornie, na pół zalotnie. Zaraz jednak spoważniała.

- Chciałem. - Poczuję, że się lekko czerwieni. Odchrząknął, podsunął jej cukier, chociaż dobrze pamiętał, że już słodziła herbatę. - Ale może przejdźmy do rzeczy. Pani Dario, jakiej pomocy pani ode mnie oczekuje?

Przełknęła ślinę i napiła się parującego płynu.

- Właściwie nie chodzi o mnie. Pamięta pan, mówiłam, że mam rodzinę na Dolnym Śląsku? - Przymknięciem powiek skwitowała kiwnięcie głowy mężczyzny. - Kilka dni temu pojechałam do mojej siostry pod Wrocław, do Brzegu. Okazało się, że mają problem z córką. Przystała do pewnej sekty.

- Nieletnia? - wpadł jej w słowo Michał.

Kobieta przez chwilę zastanawiała się, co oznacza to krótkie pytanie. Porucznik często się spotykał z taką reakcją. Policyjny język był konkretny, ale dla postronnych mógł się czasem okazać mało komunikatywny.

- Tak - odpowiedziała wreszcie Daria. - Ma dopiero siedemnaście lat.

- Dawno uciekła z domu?

- Ponad trzy miesiące temu. Ta sekta... podobno oni wolą, żeby ich tak nie nazywać.

- Każda sekta unika takiego określenia swojej działalności. Mianują się kościołami, stowarzyszeniami, zgromadzeniami i tym podobnie.

- Sporo pan o tym wie. - To było bardziej pytanie niż stwierdzenie.

Skrzywił się.

- Sporo jak sporo. Coś tam czytałem, to i owo obilo mi się o uszy.

Głównie na szkoleniach, dokończył w myślach. Sektom poświęcano całkiem dużo czasu, choć wiedza uzyskana od fachowców zajmujących się tą problematyką na pewno była niepełna. Na wszystkich zajęciach

prowadzący podkreślał, że sekty są czymś, co można porównać do żywych organizmów - rozwijają się i ewoluują. Wynajdują coraz to nowe sposoby pozyskiwania członków, korzystają z luk prawnych, aby prowadzić na pół legalną działalność. Najbliższe prawdy było porównanie do wirusów - kiedy znajduje się przeciwko nim szczepionki lub antybiotyki, praktycznie natychmiast pojawiają się nowe, odporne mutacje.

- Córka siostry jest właśnie, w tej sekcie. Z początku rodzice myśleli, że dziewczyna po prostu uciekła z domu. Szukali jej przez policję, dawali ogłoszenia w gazetach i lokalnej telewizji, ale nie było efektów. A potem przyszedł jeden sąsiad i powiedział, że ktoś ją widział przez płot czy otwartą bramę, sam dobrze nie wiedział.

- Prawni opiekunowie powinni więc zwrócić się o interwencję do organów ścigania. - Michał wygłosił to zdanie i nagle zdał sobie sprawę, jak zabrzmiało. Jakby odczytał bezduszną formułkę. - Przepraszam. Czasem człowiek się zapomina i zaczyna mówić językiem raportów. Czyli siostra nie zawiadomiła policji i prokuratury?

- Zawiadomiła. - Daria zaśmiała się gorzko. - Oczywiście, że to zrobiła. Ale tam wszyscy zachowują się tak, jakby byli głusi i ślepi. Szepcze się, że sekta ma poparcie miejscowych władz.

Michał zmarszczył brwi. Coś zaczął kojarzyć. Zaledwie dzień wcześniej o czymś podobnym napomknął Machała.

- Czy ta organizacja ma siedzibę w Brzegu?

- Zgadza się, ale nie w samym mieście. Ulokowali się w pobliżu jednej z okolicznych wsi. Słyszał pan coś o tym?

- Zupełnym przypadkiem i dosłownie jedno zdanie.

- Może pan jakoś pomóc? Ta dziewczyna to moja chrześnica... Zależy mi, żeby... żeby wszystko było z nią w porządku.

W jej głosie słychać było błaganie i lekko histeryczną nutę. Michał wyduł wargi.

- Proszę pani. Moja sytuacja jest dość skomplikowana. Właściwie przebywam na urlopie. Przechodzę w ramach tej samej firmy do innego jej oddziału.

- Firmy - zmarszczyła śmiesznie nos. - Na filmach tak czasem nazywają służby specjalne.

- Albo policję, a czasem także organizacje mafijne - roześmiał się. - Proszę nie przywiązywać zbyt wielkiej wagi do tej nazwy. Jakby nie patrzeć, trudno mi skłonić kogoś do podjęcia czynności służbowych. Nie będę przed panią ukrywał, że mam coś wspólnego z organami ścigania, skoro komendant z Ostrowa tak niefrasobliwie to ujawnił. Dobrze, że nie podał mojego stanowiska służbowego i pełnej nazwy instytucji. Chyba że jednak podał?

- Nie. - Teraz ona się zaśmiała. - Ale mądrej głowie dość dwie słowie.

- Mądrej i pięknej - wymamrotał. Nie potrafił się powstrzymać. Miał jedynie nadzieję, że nie zrozumiała. - Pracę zaczynam dopiero za trzy tygodnie - ciągnął dalej. - Do tego czasu w zasadzie pozostaję w sytuacji, którą można określić jako stan spoczynku.

Chociaż na pewno nie bezczynności, uzupełnił w duchu. Sprawa Jacka Bzowskiego to bezwzględny priorytet. A dwadzieścia kilka dni to strasznie mało czasu, żeby się czegoś dowiedzieć, podjąć jakieś sensowne działania, pomóc aresztowanemu przyjacielowi. Tym bardziej że nie bardzo wiadomo, jak w ogóle zrobić cokolwiek pożytecznego. Właściwie działania porucznika przypominały pogoń psa za własnym ogonem. Miał zbyt mało danych, nie umożliwiono mu dostępu do tajnych materiałów. W zasadzie był uzbrojony jedynie w niezłomną wiarę w niewinność majora.

- Panie Michale. - Daria przypomniała o swojej obecności. - Czy pańskie milczenie oznacza odmowę?

Potrząsnął głową.

- Ależ skąd. Postaram się coś zrobić. Więc mówi pani, że władze popierają sektę?

- Niektórzy mówią nawet, że nie do końca chodzi tylko o miejscowe władze. Przywódca zgromadzenia podobno ma poparcie jeszcze wyżej, w Warszawie. Czy to możliwe?

- Wszystko jest możliwe. Wie pani, osobiście nie mam zbyt wysokiego mniemania o władzy. A im wyżej sięga, tym moja ocena staje się ostrzejsza. Ma pani jeszcze jakieś informacje o tej sekcji?

- Niewiele. W ogóle mało o niej wiadomo. To głównie plotki i niesprawdzone opowieści. Członkowie organizacji głoszą miłość bliźniego. Podobno ich duchowy przywódca, którego nazywają także

przewodnikiem, to jakiś były ksiądz czy zakonnik... Z budynków sekty słyhać religijne pieśni. Mają swoich misjonarzy, którzy jeżdżą po miastach i ściągają nowych ludzi. A ja tak się boję o chrześnicę...

W jej oczach dostrzegł błaganie, znów pojawiły się łzy.

- Jutro skontaktuję się z kimś, kto może będzie umiał pomóc. Niestety, jak już mówiłem, mam ograniczone pole manewru.

- Wolałabym, żeby to jednak pan... Przecież sam pan mówił, że jest na urlopie. Jeśli trzeba, zapłacę... - Zamilkła na widok wyrazu twarzy Michała. - Przepraszam - dodała pospiesznie - ale tak bardzo mi zależy...

- Obiecuję, że zrobię, co będzie w mojej mocy. Proszę jednak nie liczyć na zbyt wiele z mojej strony. Jak pani sama zauważyła, jestem na urlopie. To nie jest sprzyjająca okoliczność, abym wtrącał się w czyjeś kompetencje.

- Dziękuję - szepnęła.

Wroński poczuł, jak serce w nim topnieje. Ech, Jacku, Jacku, że też musiałeś dać się zrobić. Miałbym więcej czasu, żeby pomóc. Ale natychmiast przyszła refleksja - przecież gdyby nie aresztowanie Bzowskiego, nigdy by nie poznał tej kobiety. Tymczasem Daria dopiła herbatę.

- Pójdę już. - Podniosła się. - Muszę jechać do siostry.

- Momencik - powstrzymał ją Michał. - Musimy jeszcze omówić kilka kwestii.

W tej chwili weszła matka. Porucznik nie słyszał nawet, kiedy wróciła.

- Zostanie pani na obiedzie. - To było polecenie, nie pytanie. - Zaraz wstawię ziemniaki.

Daria spojrzała pytająco na Wrońskiego. Uśmiechnął się i leciutko przymrużył oko.

Matce niebezpiecznie było się sprzeciwiać w kwestiach dotyczących gościnności.

- Dziękuję bardzo - powiedziała kobieta. - Ale czy to nie będzie Problem?

- Ależ skąd. Gdyby był, przecież bym nie proponowała - padła zwięzła odpowiedź.

*

Aspirant Machała był wyraźnie zmęczony i rozdrażniony, kiedy odebrał telefon.

- To znowu pan? - szczerknął w słuchawkę. - Przecież skończyliśmy sprawę. Przejął ją pański resort. Potraktowali mnie jak jakiegoś pętaka!

- Ja nie o tym - Michał miał ochotę odpowiedzieć równie agresywnie, ale się powstrzymał. - Chciałem zasięgnąć języka w sprawie tych dwóch ciał, o których pan wspominał. Czy na pewno wiążą się z tą sektą spod Brzegu?

- To nie jest rozmowa na telefon - odparł policjant. - Absolutnie. Zresztą takich informacji nie mogę udzielić osobie postronnej.

Michał zerknął na wyświetlacz telefonu. Dzwonił z budki przy dworcu PKS. Obawiał się, że aparat rodziców może być na podsłuchu. Zresztą linia we wrocławskiej komendzie też była monitorowana przez odpowiednią komórkę, ale przynajmniej miał pewność, że konwersacji słuchają ludzie, dla których to normalna wymiana zdań.

- Przedwczoraj jakoś nie miał pan oporów, żeby mi o tym powiedzieć.

Po drugiej stronie zapadła na chwilę cisza.

- Pan naprawdę chce, żebym podawał informacje dotyczące śledztwa właśnie taką drogą?

- Dobrze. Chyba źle zacząłem tę rozmowę. - Michał starał się ukryć rozdrażnienie. - Pan coś wspominał o dziwnych śladach znalezionych przy tych ciałach. Podczas wizyty u patologa nie zastanawiałem się nad tym, ale potem to wróciło. Wie pan, jak takie przeczucie. Każdy porządny glina miewa podobne.

To był jakiś punkt zaczepienia. Wroński nie liczył na specjalnie interesującą odpowiedź, ale korzystając z okazji, mógł pociągnąć aspiranta za język.

- Tak... To chyba mogę powiedzieć. A nuż z czymś się to panu skojarzy. Albo komuś, kogo pan zna. Oczywiście dobro śledztwa...

Nie ucz ojca dzieci robić, warknął w duchu porucznik, a głośno powiedział:

- Tak, tak, doskonale rozumiem.

Machała zamilkł. Wroński widział, że funkcjonariusz zbiera myśli, podejmuje ostateczną decyzję. Wolał mu nie przeszkadzać. Na karcie było jeszcze trochę impulsów.

- Niech będzie - odchrząknął aspirant. - Widzi pan, w ustach obu nieboszczyków znaleziono ziarenka pieprzu. Po jednym, dokładnie rzecz ujmując.

Michał poczuł, jakby zniecka ktoś oblał go wrzątkiem. Przez chwilę nie mógł wydobyć głosu.

- Jadę do pana - powiedział wreszcie z pewnym trudem.

- Słucham? - Machała w pierwszej chwili nie zrozumiał mamrotania rozmówcy.

- Jadę do pana! - powtórzył Michał.

- Czy ta informacja coś panu mówi?

- Nawet pan nie wie, jak dużo.

Autobusy do Wrocławia odjeżdżały o tej porze co pół godziny. Wroński zerknął na zegarek, a potem pognął na stanowisko. Mógłby pożyczyć samochód od sąsiada rodziców, ale ocenił, że to by zajęło więcej czasu. A poza tym obawiał się, iż w obecnym stanie ducha mógłby wylądować w rowie. Droga do Wrocławia dłużyła się nieznośnie i jak na złość, autobus zepsuł się na placu Grunwaldzkim. Michał nie zastanawiał się długo, tylko zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. Korki były koszmarnie, a kierowca mocno flegmatyczny.

Porucznikowi zdawało się, że napęd auta stanowi para niezbyt pracowitych żółwi.

Machała czekał na niego z wyraźną niecierpliwością.

- Chce pan obejrzeć trupy? - spytał na wstępie. - Zamówiłem wóz.

Michał machnął ręką.

- Nie trzeba. Wystarczy raport z autopsji.

Na to aspirant także był przygotowany. Już po chwili Wroński studiował dokumenty.

W głowie tłukło mu się to samo skojarzenie, co przez całą podróż. Pieprz. Ziarenka pieprzu.

Poczuł przyływ złych uczuć - nienawiści i potwornego żalu.

- O co chodzi z tym pieprzem? - zapytał wreszcie policjant, widząc, że gość przestał czytać i wlepił niewidzący wzrok w rzędy liter. - Potrafi pan coś powiedzieć?

Wroński spojrzał nieprzytomnie. Potrzęsnał głową, odpędzając wspomnienia.

- Czy potrafisz? - wychrypiał. - Nawet zbyt dobrze - odkaszlnął. - To znak firmowy pewnego mordercy.

- Psychopata? Patologiczny zabójca? - zainteresował się natychmiast aspirant. - A może chodzi o jakąś większą serię?

- Tak. To psychopata, któremu torturowanie i mordowanie sprawia niewysłowioną przyjemność.

- W takim razie powinno być na ten temat coś w rejestrach i archiwach. Niczego podobnego nie zdołałem znaleźć.

- I nic dziwnego. Bo jeszcze nie tak dawno ten człowiek... człowiek. - Michał zaśmiał się gorzko. - Nazwałbym go zwierzęciem, ale to by była obrażona dla świata przyrody. Ten typ jeszcze nie tak dawno zabijał w majestacie prawa. A ziarenko pieprzu to znak dla tych, których jego akcje miały przerazić, uświadomić, że właśnie mają do czynienia z... nieważne. To była zarazem informacja i forma zastraszenia - „wiemy o was dość dużo, aby uderzyć w czuły punkt”. Z czasem zostawianie pieprzu weszło mu w nawyk, jak dla człowieka religijnego obowiązek modlitwy. Zostawiał je już potem zawsze. Poza tym stał się niesłychanie brutalny, więc odsunięto go od działań bezpośrednich i przeniesiono na inne stanowisko.

Machała słuchał z uwagą. Jednak to, co powiedział porucznik, wydało mu się zbyt mętne, zawierało za mało istotnych wiadomości.

- A dokładniej - o czym pan mówi?

- Chciałem go dopaść - Wroński nie zwrócił uwagi na pytanie. - Ale popełniłem błąd, zabierając się w pierwszej kolejności za jego pomagiera, za tego, który... Liczyłem, że Łazarza dorwą inni, że dosięgnie go sprawiedliwość.

Nagle spojrzał bystro na policjanta.

- Cholera, za dużo gadam.

Sebastian pokręcił głową.

- Za dużo? Proszę nie żartować. Prawie nic z tego nie rozumiem. Jedyne, co do mnie dotarło, to fakt, że gość, którego nazwał pan Łazarzem, pracował dla agencji rządowej. Wywiad, kontrwywiad czy inna cholera. Ale reszta... nie uważa pan, że coś mi się należy? Jakies bardziej wiążące informacje?

- Odgadł pan, że morderca był agentem. Działał jeszcze za starego reżimu, został pozytywnie zweryfikowany. Komuś zależało, żeby przeszedł przez sito komisji, choć powinien odpaść na samym początku.

- Wie pan komu?

- Oczywiście. To znaczy, domyślam się, ale te moje przypuszczenia już dawno przerodziły się w niezłomną pewność. Umocowanie Łazarza w nowych strukturach było na rękę Rosjanom. KGB, przechrzczona później na FSB, zadbała, żeby tacy ludzie dostali się do zreformowanych służb. Ale koniec końców nasz przyjaciel także ich, jak by to delikatnie ująć... wyruchał. Tak właśnie. Delikatne określenie w tym przypadku byłoby jednak nie na miejscu.

- Mam rozumieć, że przestępcę ścigają nie tylko nasze służby, ale także rosyjskie?

- Oraz niemieckie, brytyjskie i amerykańskie. Widocznie za granicą zrobiło mu się za gorąco, postanowił więc wrócić do kraju. Pod latarnią najciemniej, a poza tym może tutaj liczyć na starych znajomych.

Przez dłuższą chwilę milczeli.

- Pan oczywiście zdaje sobie sprawę - Michał przerwał wreszcie ciszę - że opowiedziałem o rzeczach, o których nie powinien się pan nigdy dowiedzieć.

- Oczywiście - odparł aspirant. - Właśnie się zastanawiam, dlaczego pan to zrobił. Przecież obowiązek nakazywałby zawiadomić odpowiednie struktury kontrwywiadu, a mnie zbyć byle wytłumaczeniem, które nie musiałyby być nawet zbyt wiarygodne.

- Sęk w tym, że nie wiem, komu w tych odpowiednich strukturach mogę zaufać, panie aspirancie. Nie mam pojęcia, kto gra ręką w rękę z Migułą. Tak się nazywa ten człowiek. Przydomek „Łazarz” przyłgnał do niego w latach siedemdziesiątych, kiedy w ramach czwartego departamentu rozpracowywał hierarchów kościelnych.

- Ma aż tak rozległe kontakty, że pan nie może nikomu ufać?

- Widzi pan, nie chodzi nawet o to, czy ci ludzie są jego współpracownikami. Rzecz w tym, że skurwiel może mieć haki na każdego, kto choć parę lat dłużej pracuje w resorcie. To lepsze niż zмова, bo człowiek, który mi nie zechce zaszkodzić dzisiaj, jutro

zostanie do tego nakłoniony taką siłą perswazji, że nawet mu ręka nie zadrży.

- A mnie się pan nie obawia? - uśmiechnął się policjant.

Michał nie odpowiedział na uśmiech. Był śmiertelnie poważny.

- Liczę, że jest pan na tyle młody, aby nie ubabrać się jeszcze w tym całym gównie.

- Dziękuję za sformułowanie „jeszcze” - mruknął aspirant.

Michał wzruszył ramionami.

- Może nigdy nie wejdzie pan w brudne układy, a może kiedyś skuszą pana łatwa forsa i wpływy.

- A nie obawia się pan, że już mogę być skorumpowany?

Tym razem Wroński pozwolił sobie na uśmiech.

- Muszę komuś zaufać, zaryzykować. Na tym, między innymi, polega ta praca.

- A to znaczy, że czegoś pan ode mnie oczekuje.

- Czy to nie oczywiste? Pan chce zakończyć swoje śledztwo, a ja wyprowadzić na prostą swoje sprawy. Współpraca może nam tylko wyjść na dobre.

- Na dobre? - spytał z powątpiewaniem Sebastian. - Wchodząc w to, ryzykuję karierę. O ile się orientuję, pan jest w tym wszystkim osobą prywatną.

Wroński spojrział rozmówcy głęboko w oczy. Odsunął raporty medyczne, wyprostował się.

- Jeśli pan nie ma na to ochoty, zrozumiem.

Aspirant zacisnął wargi.

- Nie mam ochoty.

Michał podniósł się, skierował do drzwi.

- Ale to nie znaczy, że zrezygnuję. - Zatrzymały go słowa policjanta.

Odrzucił się powoli, znów usiadł na krześle.

- Na początek musimy dokładnie ustalić, kim jest założyciel i pierwszy po Bogu w tej sekcji. Wszystko, co tylko można zebrać, łącznie z numerem buta i kołnierzyka. To nie jest przypadkowy człowiek, jeśli założymy, że ma coś wspólnego z Łazarzem. Należy też zebrać jak najbardziej szczegółowe informacje o samej organizacji.

Ewelina zawijała w folię kawałki dziwnego, ciężkiego materiału w dotyku przypominającego metal. Była wdzięczna bratu Wojciechowi za skierowanie do tej pracy.

Duchowy przewodnik zgromadzenia wybronił ją przed zemstą okrutnego brata Roberta. Nie chciała z nim spędzić kolejnej nocy. Był straszny, a najwyraźniej dziewczyna przypadła mu do gustu. Myślała na początku, że może podnieca go jej opór, więc próbowała udawać, że jej się to podoba. Ale wtedy było jeszcze gorzej. Nie przypuszczała nawet, że mężczyzna może w tak obrzydliwy sposób korzystać z ciała kobiety. Za każdym razem ból i upokorzenie były coraz większe. Wreszcie odmówiła. Nie chciała pójść do pokoju tego człowieka. Wtedy wpadł do dormitorium, wywłócił ją stamtąd za włosy. Inne dziewczyny kulily się na swoich posłaniach, odwracały wzrok. Wszystkie stanowiły grupę, którą kapłan nazywał „specjalną”.

Zostały odcięte od kontaktów z pozostałymi członkami zgromadzenia, trzymano je pod strażą w osobnym baraku. Kiedyś myślała, że podobna izolacja jest wielkim wyróżnieniem, a mieszkające w tym miejscu osoby są otoczone szczególną opieką jako pełniące kluczową rolę podczas modłów i obrzędów służących uzdrowieniu i uratowaniu świata. Wszyscy wierni byli przekonani, że tajemne misteria polegają na czuwaniach, umartwieniach, że wybrańcy zbliżają się do Boga bardziej niż inni ludzie. Nie mogła przypuszczać, jak jest naprawdę. A prawda była brutalna, wręcz niewiarygodnie okrutna. Ewelina czuła się, jakby została zepchnięta na samo dno piekła. Wszystko, w co wierzyła, legło w gruzach, pozostał tylko ból.

- Boże, za jakie grzechy? - powtarzała, nie mogąc w nocy zasnąć, wspominając okropności, które ją spotykały. - Boże...

Boga nie ma - szeptało coś w duszy - bo gdyby był, nie pozwoliłby chodzić po ziemi takim ludziom jak ten, który cię krzywdzi z takim upodobaniem.

To była jedna strona medalu. Ale istniała i druga, która budziła wątpliwości co do pobudek takiego, a nie innego traktowania jej przez prześladowcę. Od towarzyszek niedoli wiedziała, że ich sytuacja pogorszyła się, odkąd zjawił się w zgromadzeniu brat Robert.

Przedtem także były zmuszane do udziału w orgiach, jednak nigdy z taką bezwzględnością.

Niektóre nawet to polubiły, gdyż dały się przekonać, iż jest to jedna z nieodzownych form naprawienia świata.

- Po dniu nadchodzi noc - mówił brat Wojciech, kiedy przychodził do nich prowadzić modlitwy. - Istnieje niebo i istnieje piekło. My tutaj tworzymy małą społeczność, która ma być nie tylko osobnym, niezależnym Kościołem, ale i odzwierciedleniem rzeczywistości. Dlatego musimy chwalić dobro, wznosić serca ku Bogu, ale jednocześnie pielęgnować enklawę, w której mogą się schronić siły ciemności. Gdy nadejdzie czas, wasze ciała, dusze i serca zostaną wyzwolone, aby tym szybciej i tym wyżej wznieść się ku Bogu. On nie zapomni waszego poświęcenia. Jesteście grupą wybranych, którym postanowiliśmy zaufać. Skrywacie w sobie największą tajemnicę Zgromadzenia Serca Jezusa Świątyni Nowego Kościoła. Ta tajemnica to obrzędy, w których przywołujemy demony, wzywamy zbuntowanych aniołów, aby poznać ich tajemnice. Gdy nadejdzie czas Armagedonu, obnażymy przed siłami światła wszelkie słabości mrocznej strony.

Po trzecim czy czwartym podobnym spotkaniu Ewelina zauważyła, że i ją przekonują argumenty kapłana. Tak, poznawanie sił ciemności mogło być przydatne. Gdyby tylko ten straszny człowiek nie robił z nią tych wszystkich okropności, gdyby nie czuła się aż tak bardzo upodlona... Wreszcie nie wytrzymała, poprosiła przewodnika o rozmowę. Wysłuchał jej uważnie, nie przerywał. Przypominał księdza przyjmującego spowiedź, był jednak o wiele bardziej życzliwy, niż zazwyczaj zdarza się to duchownym w konfesjonałach.

- Rozumiem twoje obiekcje - rzekł na koniec. - Ale musisz wiedzieć, że zostałeś szczególnie naznaczona. Brat Robert podczas tajemnych misterii występuje jako ktoś, kogo można nazwać adwokatem diabła, a może nawet jest nim samym. Jego właśnie zadanie jak najbardziej dogłębne rozpoznanie sposobów funkcjonowania zła.

- Czy musi jednak robić mi takie rzeczy? - cicho spytała, spuszcżając głowę. - Mam wrażenie... nie, nie wrażenie, ale pewność, że jemu się to podoba.

- Mylisz się - odparł ze smutkiem Wojciech. - Takie jest jego zadanie, jego przeznaczenie. Ale po części masz rację. Temu, kto musi się zadawać ze złem, zawsze udziela się jakaś część mrocznych fascynacji, pozostają pewne upodobania. To straszna cena i trzeba będzie odpowiedzieć przed Stwórcą właśnie za te niegodne emocje. Wiem jednak, iż dobry Bóg doceni świadome poświęcenie i wybaczy nam, słabym istotom, które zdecydowały się uczynić wszystko, aby wspomóc Go w dziele uczynienia z człowieka tworu doskonałego.

Przekonał ją... wtedy, w tamtej chwili. Jednak kiedy tego samego wieczoru Marietta przyszła, aby ją przygotować do nocnych obrzędów, dziewczyna nie wytrzymała. Padła na kolana przed pomocnicą przewodnika, zaczęła ją błagać o zmiłowanie.

- Milcz, szmato - warknęła kobieta. - Brat Robert życzy sobie, żebyś była dziś jego familiantką. Powiedział, że tylko przez ciebie potrafi nawiązać prawdziwy kontakt z szatanem. Inaczej sam przyjdzie po ciebie. Wiesz, co to znaczy?

Ewelina mogła się domyślić. Zresztą okrutnik za każdym razem opowiadał jej z upodobaniem, co zrobi, jeśli nie będzie posłuszna. Ale teraz było jej wszystko jedno. Runęła na podłogę, zrobiła się sztywna. Nie było takiej siły, która mogłaby ją zmusić do powstania.

Marietta zawołała pomoc, ale stan dziewczyny wykluczał udział w orgii. Popadła w stan bliski głębokiej katatonii, jakby zamieniła się w manekina. Ani groźby, ani siarczyste policzki nie mogły jej poruszyć. Ewelina zdawała sobie jednak sprawę z tego, co się działo dookoła.

Widziała, jak wszedł brat Robert, obrzucił ją wściekłym spojrzeniem, a potem powiedział, żeby przynieśli ją do jego kwatery.

- Już ja ją ocucę - warknął. - Będzie błagała, żeby pozwolić jej pójść do kaplicy. Problem będzie jedynie taki, że po naszej pogawędce nigdzie się już się ruszy.

Patrzył jej prosto w oczy. Na pewno zdawał sobie sprawę, że Ewelina go słyszy. A ona zrobiła się jeszcze sztywniejsza. Po raz pierwszy zajrzała tak głęboko w jego źrenice. To było gorsze niż spojrzenie w ogień piekielny. Bo wzrok tego człowieka był zupełnie zimny, przywodził na myśl nieskończoną podróż po zamrzniętym oceanie, wśród lodu, którego chłód ścisnął serce bezlitosną obręczą. I ta twarz... Nienaturalnie gładka, jakby naciągnął na głowę maskę

uczynioną ze skóry kogoś o wiele młodszego, a przy tym opuchnięta, miejscami nieco nabrzmiała i zasiniona. Tym mocniej kojarzył się z istotami zamieszkującymi podziemny, wrogi świat. Tak mógłby wyglądać sam książę ciemności.

W tej chwili do sali wszedł brat Wojciech. Błyskawicznie ocenił sytuację. Wziął na bok Roberta. Coś mu tłumaczył, przekonywał. Wreszcie rozgniewany mężczyzna uspokoił się.

- Dobrze, zdiro - warknął w jej kierunku. - Przewodnik obiecał, że zostaniesz ukarana z całą surowością. Osobiście się tym zajmie. Podziękuj mu, bo gdyby to zależało ode mnie, miałabyś dzisiaj sądną noc. Ale i tak cię dosięgnę, suko. Nie tak, to inaczej. Zobaczysz, pożałujesz, że w ogóle...

Nie dokończył, odwrócił się i wyszedł.

Z drżeniem serca czekała następnego dnia. Wojciech zjawił się koło południa. Źle wyglądał - podkrążone oczy, ziemista cera, włosy uczesane wprawdzie, ale przybrudzone, jakby zostały posmarowane zjełczałym olejem i natarte popiołem. Bez słowa zaprowadził ją na dół, do pomieszczenia, w którym jeszcze nigdy nie była. Siedziała tam zupełnie sama i zawijała w folię te dziwne kostki różnej wielkości. Najpierw musiała użyć zwyczajnej spożywczej folii, a potem innej, pokrytej ciemnym nalotem, która pozostawiała na palcach trudny do usunięcia osad. Następnie układała to wszystko w pudełku wymoszczonym szarą blachą. Było one bardzo ciężkie, o czym mogła się przekonać, kiedy próbowała je przesunąć.

Czuła wdzięczność. Kapłan nie tylko nie ukarał jej za sprzeciwienie się woli brata Roberta, ale skierował do lekkiej pracy. W tej chwili zaczęła nawet wierzyć w to, co mówił o konieczności rozpoznania sposobów działania zła. Ledwie przyszła ta myśl, dziewczyna poczuła, że z serca spada jej ogromny ciężar.

*

- Sekciarstwo ma wiele twarzy - mawiał stary profesor z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, który przyjeżdżał na wykłady i ćwiczenia z przedmiotu o wiele mówiącej nazwie „psychopatologia życia codziennego”. - Członkowie tych organizacji nie muszą siedzieć

w zamknięciu. Sekciarskie bywają całe przedsiębiorstwa i firmy, różne sieci sprzedaży bezpośredniej. Człowiek jest istotą społeczną i potrzebuje innych, ich akceptacji, ciepła, poczucia przynależności do grupy. Dlatego tak łatwo zawładnąć umysłami młodych ludzi. Nie mają bowiem doświadczenia, nie potrafią oddzielić ziarna od plew, dostrzec w zalewie słów, jak mało w nich treści. Starszego, a przede wszystkim inteligentnego człowieka trudniej nabrać na frazesy, przekonać go, że świat wokół wygląda inaczej, niż myśli. Ale wystarczy, że w jego życiu coś pójdzie nie tak, przeżyje traumę, straci z oczu ważny cel, a staje się podatny na sztuczki specjalistów z sekty. Dlatego w tych organizacjach znajdziemy cały przekrój społeczeństwa. Studentów, robotników, urzędników, nawet pracowników naukowych. Na czele zawsze stoi charyzmatyczny przywódca, ktoś, kto potrafi stać się wyrazicielem pragnień, dzięki któremu kanalizują się frustracje, kto umie dać spokój albo chociaż pozór, namiastkę spokoju. Należy tylko przekonać człowieka, że potrzebne mu jest to czy tamto, że wystarczy się postarać, aby osiągnąć cel za sprawą takiego czy innego sposobu postępowania, na przykład żarliwej modlitwy. Ale najwięcej jest w sektach ludzi młodych, niedoświadczonych, zbuntowanych, takich, którzy poszukują autorytetów. Z nimi bowiem najłatwiej sobie poradzić.

Wroński, prawdę mówiąc, nudził się na tych zajęciach. Teoria, teoria, teoria... Może ciekawa i wstrząsająca jest historia sekty Davida Coresha czy wielebnego Moore'a, świątobliwego Johnsa, niesamowite są opowieści o rosyjskich odłamach prawosławia, o Rasputinie i otaczającym go nimbie dla jednych - świętego, dla drugich - czarownika, a sprytnego kuglarza dla jeszcze innych. Pracownik wydziału zajmującego się dochodzeniami dotyczącymi spraw zamkniętych, Poszukiwaniami w archiwach, nieraz nawet archiwach akt dawnych, czy studiowaniem materiałów źródłowych, powinien mieć pojęcie o różnych sprawach, ale akurat ten temat jakoś porucznikowi nie leżał. Teraz jednak, kiedy siedział przy biurku aspiranta, przeglądając materiał fotograficzny, błogosławił tego, kto zorganizował im takie wykłady i ćwiczenia.

Zdjęcia przedstawiały zespół baraków ogrodzonych wysokim na dwa i pół metra murem, dodatkowo zabezpieczonym siatką i drutem

kolczastym. Zostały wykonane z pewnej wysokości, być może z helikoptera. W samym środku kompleksu dała się zauważyć solidniejsza budowla, kojarząca się z kaplicą.

- Wygląda jak obóz koncentracyjny - zauważył Michał. Machała kiwnął głową.

- Jak każde tego typu zgromadzenie. Członkowie sekty muszą odgrodzić się od wrogiego świata, stworzyć w jego miejsce własny kosmos.

- Enklawa jedynie słusznej filozofii. - Wroński rzucił zdjęcia na biurko. - Obrzydlistwo. I władze tolerują coś podobnego?

Policjant wzruszył ramionami, wziął plik fotografii i zaczął je bezmyślnie przeglądać.

- Sekciarze wydzierżawili od gminy działkę w pobliżu wsi, pobudowali się w niesłychanie krótkim czasie i teraz trudno coś na to poradzić. Teoretycznie nie robią nic nielegalnego.

- Mimo że na terenie tego czegoś, jak by się nie nazywało, przebywają osoby niepełnoletnie.

- To trzeba jeszcze udowodnić. Można to zrobić, jedynie wchodząc do środka i znajdując te dzieciaki. A żeby wejść, należy mieć nakaz.

- A żeby mieć nakaz, trzeba znaleźć uczciwego prokuratora - dokończył Michał.

- Nie inaczej - uśmiechnął się smutno Machała. - A jeśli nawet nie uczciwego, to przynajmniej nie zastraszonego. A to już bardziej skomplikowana sprawa.

- Czy to ma związek z tym, o czym pan wspominał? To znaczy z poparciem tych na górze?

- Niestety. Układy i układziki. Ma pan jakieś informacje dotyczące ich przewodnika duchowego? Wojciecha Wyczenki?

Michał wyjął z torby kartonową teczkę, a z niej zapisaną gęsto kartkę.

- Udało się jakoś. Choć było to cokolwiek skomplikowane.

Nie dodał, że komplikacje w zasadzie nie dotyczyły jego osoby. Szczepan musiał się zdrowo nagimnastykować, żeby wydobyć akta i zrobić z nich porządny wyciąg. Oczywiście wszystko to w tajemnicy, pod pretekstem rozpracowywania jakiejś dawno umorzonyj sprawy.

Klął na Michała, ale zrobił to dla niego. Tym chętniej zapewne, że miał we wdzięcznej pamięci sprawę z Maćkiem. Szczepan okropnie go nie lubił, więc widok rozkwaszonego nosa kolegi musiał mu sprawić ogromną przyjemność.

- Co tam mamy? - Aspirant wyciągnął szyję, zerkając z ciekawością na zapiski.

- Wojciech Wyczenko, rok urodzenia tysiąc dziewięćset czterdziesty dziewiąty - zaczął Wroński. - Pracownik wydziału czwartego Służby Bezpieczeństwa.

- Znaczy, że zajmował się śledzeniem księży? - przerwał policjant.

- Zajmował się inwigilacją Kościoła od środka. A konkretnie wstąpił do seminarium duchownego.

- Zanim go zwerbowali czy potem?

- Tego nie wiem z całą pewnością. Ale to wszystko jedno. Jako etatowy pracownik został zarejestrowany w siedemdziesiątym czwartym. Był już wtedy wyświęcony i siedział na niezłej parafii w Warszawie. Droga do najwyższych szczytów w kościelnej hierarchii stała przed nim otworem. Ale Wyczenko w pewnym momencie przesadził. Zrobił jakiejś babce dziecko, zaczął gadać o ożenku, więc był spalony. Wybuchł skandal, esbecy usiłowali skorzystać z okazji, upaprać paru biskupów, wyciągnąć z tego jakieś korzyści. Wojciech podsuwał bowiem różnym kolegom oraz wyżej postawionym księżom chętne panienki. Wie pan, ksiądz to zdrowy mężczyzna, który bardzo często ma czas i pieniądze... Jest wielu takich, których łatwo skusić, jeśli tylko nadarzy się okazja. Tak czy siak, pośpiesznie podjęta akcja spaliła na panewce. Nie udało się w to wszystko wmanewrować wyższych hierarchów, więc skończyło się na lokalnym zamieszaniu. Czas też wypadł mało sprzyjający. Wiosna siedemdziesiątego szóstego. Wydarzenia w Radomiu i Ursusie przesłoniły te duperelne w sumie rewelacje. W agenturalnej robocie trzeba się czasem liczyć z podobnymi trudnościami i porażkami.

- Wyczenko zakończył wtedy karierę? Został ukarany za taki numer?

- Oczywiście, że nie. Mógł się przecież jeszcze przydać. Formalnie był księdzem. Skompromitowanym, ale zawsze. Ludzie wydziału czwartego, umieszczeni przy najwyższych dostojnikach, nie

próżnowali. Po jakimś czasie nasz kapłan został skierowany na placówkę do Niemiec, aby w misjonarskiej szacie rozpracowywać polskie środowiska emigracyjne. Stworzył legendę, że sprawa z dzieckiem była ubecką prowokacją, zaczął się obracać wśród Polaków w Rajchu. Pewnie wtedy poznał się z Łazarzem... - Michał zamilkł na chwilę. - To tylko moje przypuszczenie, bo w papierach nic nie ma. Ale jeśli Robert Miguła przebywa na terenie sekty, muszą się znać z dawnych lat, bo Wyczenko przez weryfikację nie przeszedł. Za dużo było w komisji ludzi, którzy mieli powiązania z emigracją posierpniową, żeby ktoś go wreszcie nie namierzył. Jeśli dobrze się domyślam, Wojciech mógł pomagać Łazarzowi w jakichś sprawach związanych z akcją „Żelazo”. Na pewno miał informacje dotyczące miejsc przechowywania cennych dewocjonaliów i wiedzę na podobne tematy. Proszę pamiętać, że cały czas występował jako ksiądz. Oderwani od ojczyzny ludzie chętnie się zwierniają. A ci dranie mieli powiązania w różnych środowiskach, także wśród handlarzy dzieł sztuki czy jubilerów.

- Akcja „Żelazo” - kiwnął głową Machała. - Niewiele wiem na ten temat. Chodziło o zdobycie środków na działalność wywiadu, prawda? To były napady rabunkowe, machlojki z finansami, nielegalny handel i kontrabanda. Słowem, cała gama przestępstw dokonywanych za wiedzą i zgodą dowództwa w Polsce. Coś jeszcze?

- I wiele więcej. Ale tyle w zupełności panu wystarczy.

- Wiedzy nigdy za wiele.

- Są jednak takie informacje - powiedział dobitnie Wroński - których nadmiar może się okazać bardzo szkodliwy.

Machała nie odpowiedział. Czekał na konkrety dotyczące Wojciecha Wyczenki.

- To wszystko. Mogę z dużą dozą pewności przypuszczać, że Miguła spiknął się ze starym kumplem i razem coś kombinują. Teraz pana kolej. Czego się pan dowiedział o tej sekcji?

- Zgromadzenie Serca Jezusa Świątyni Nowego Kościoła powstało dwa lata temu. Najpierw mieli siedzibę w jakiejś wiosce pod Gorzowem Wielkopolskim, ale krótko. Na Dolny Śląsk przenieśli się już po kilku miesiącach. Niewielka grupa ludzi zyskała dość szybko wielu zwolenników. Było trochę szumu w prasie, przewodnik duchowy

sekty, brat Wojciech, udzielił kilku wywiadów, bywał w radiu, poświęcili mu nawet jakiś program w lokalnej telewizji. Niezła akcja promocyjna. Podobno facet potrafi interesująco się wypowiadać, jest przekonujący, budzi zaufanie.

- Jak to pracownik wywiadu - zaśmiał się krótko Michał. - Te cechy są wpisane w zawód. - Pochwycił sceptyczne spojrzenie aspiranta i roześmiał się głośniejsze. - Proszę nie zwracać uwagi na mnie. Stanowią wyjątek od reguły. Może dlatego, że na ogół nie muszę pozyskiwać współpracowników.

- To w jakim właściwie pionie pan pracuje?

Wroński spoważniał, zmrużył oczy.

- Doskonale pan wie, że nie wolno mi ujawniać szczegółów. Ale mogę uchylić rąbka tajemnicy i nie popaść przy okazji w konflikt z prawem, jeśli powiem, że zajmuję się pracą dochodzeniowo-śledczą, a przy tym także w dużym stopniu operacyjną. Tyle że akcenty są rozłożone inaczej niż w przypadku typowych działań wydziałów, które zajmują się chociażby inwigilacją.

- Czy mam rozumieć, że pana praca przypomina policyjną harówkę?

- Chyba tak. - Wroński zobaczył w oczach Sebastiana błysk, który mógł określić jako objaw sympatii. - Niech pan mówi dalej.

Machała zerknął w notatki.

- Do Brzegu trafili półtora roku temu. Tak jakoś mi się teraz skojarzyli z satanistami działającymi swego czasu w tym regionie. Ale to tylko takie skojarzenie. I jeszcze z czymś. Swego czasu w Oławie powstał ten nieuznawany przez hierarchie i episkopat Kościół... Pamięta pan, objawienia na działkach, głosy z nieba. Uważam, że są miejsca na świecie bardziej podatne na pewne wpływy. To może teoria mocno na wyrost, ale coś w tym jest.

- Pamiętam te ogródki - przerwał mu Wroński. - W latach osiemdziesiątych.

- Właśnie. Niby nic poważnego, ale powstał Kościół, który istniał i istnieje poza katolicką hierarchią. W średniowieczu spalono by twórcę na stosie, ale mamy przecież demokrację. A w okolicach Brzegu i Oławy działały kiedyś dość prężnie organizacje satanistyczne. Pracowałem swego czasu ze starszym kolegą, który opowiadał o jednej akcji przeciwko nim. Przychodziły skargi na jakieś hałasy, głośnie

muzykę, upiorne śpiewy. Potem zginęło małe dziecko. Okazało się, że dokonano na nim rytualnego mordu. Policja... to znaczy wówczas milicja, dość szybko wpadła na ślad satanistów. Wygarnęli ich, potraktowali tak, jak na to zasłużyli, sprawcy zostali postawieni przed sądem. Ale to nie był koniec. Tyle że wyznawcy szatana stali się ostrożniejsi. Nie porywali już dzieci, ale zaczęli w obrzędach wykorzystywać potomstwo współwyznawców. Tak przynajmniej głosiły niepotwierdzone plotki.

Aspirant wzdrygnął się.

- Potworność. Aż trudno to sobie wyobrazić. Ale o tym pewnie pan słyszał, pracując w policji.

- Co nieco - kiwnął głową Wroński. - Nie powiem, co bym najchętniej zrobił z takimi ludźmi.

- Ja też. W każdym razie nasz były ksiądz najwyraźniej trafił na podatny dla sekciarstwa grunt.

- Pan myśli, że to przypadek? Nie, Wyczenko najpierw dobrze rozpoznał teren, zasięgnął informacji w różnych rejonach kraju, a dopiero potem zdecydował, gdzie chce tę swoją sektę prowadzić. A poza tym samo miejsce nie ma większego znaczenia. Sekty powstają wszędzie, bez względu na to, co się nazywa genius loci. A sataniści działają nawet w szkołach podstawowych w miastach, w których nikt by się tego nie spodziewał. Tak że nie demonizowałbym akurat tego terenu. Nasz przyjaciel musiał mieć jakiś inny powód, żeby przenieść się właśnie tutaj. Stawiałbym na powiązania biznesowe, polityczne i znajomości w światku przestępczym.

- Może i ma pan rację. Wróćmy do tematu. Ciekawa jest doktryna tej Świątyni Nowego Kościoła. Głoszą miłość bliźniego i konieczność odczytania ewangelii na nowo, w duchu nauk Chrystusa.

Michał wzruszył ramionami.

- A co w tym ciekawego? Dziewięćdziesiąt procent sekt pieprzy takie głodne kawałki.

- Tak. Ale tutaj mamy do czynienia z organizacją, która zamierza zbawić ludzkość modlitwą. Modlitwą i umartwieniami, podobno w stylu leżenia krzyżem, noszenia włosiennic, być może samobiczowania.

- To znaczy co? Nawrót do tradycji średniowiecza?

- Tak jakby. Dziwię się tylko, że ludzie na to idą.

- Ludzie potrzebują wiary - odparł sentencjonalnie Wroński. - Zawsze jej potrzebowali, ale w dzisiejszych czasach to pragnienie chyba jeszcze się wzmogło. Pracuje pan w policji, więc na pewno zdaje pan sobie sprawę, ilu młodych, ale i starszych ludzi jest zagubionych w świecie, który nie do końca potrafią zrozumieć. Takimi właśnie zagubionymi duszami najłatwiej zawładnąć, przekonać je do najbardziej nawet absurdalnych teorii. A co dopiero jeśli ktoś się opiera na naukach Nowego Testamentu i jest to człowiek, który ma pojęcie, co należy uczynić i jak o tym opowiedzieć. Gdyby zapytać kogoś na ulicy, co sądzi o takiej sekcie, może być zachwycony, może również uśmiechnąć się ironicznym, ale raczej nie potępi podobnej działalności.

- Super - skrzywił się Machała. - Ma pan jakieś propozycje?

- Jest pewna kobieta, której obiecałem pomoc. Musimy się z nią spotkać. - Widząc, że aspirant otwiera usta, by zaprotestować, dodał natychmiast: - Skoro wpakował się pan we współpracę ze mną, trzeba ponosić konsekwencje.

*

Bankowiec siedział na chwiejącym się krześle. Podziemia siedmiopiętrowego magazynu były znakomitym miejscem na spotkanie większej liczby ludzi, jeśli chcieli uniknąć zainteresowania ze strony niepożądanych osób. Docierali na teren pojedynczo albo małymi grupkami. Byli już przedstawiciele gangu z Nowowiejskiej, chłopcy z Osobowic, z blokowisk przy Legnickiej, kapturowcy z osiedla Kozanów, organizacje ze Śródmieścia, z Krzyków... Bankowiec z pewnym zaskoczeniem skonstatował, że w ostatnim czasie struktura bardzo się rozrosła. Struktura... prychnął w duchu. Każdy tu uważa, że jest najważniejszy, że powinien dowodzić. Godzą się na Pryszczatego tylko dlatego, że w obecnej chwili ma najlepsze wejścia. Ale jeśli tylko któryś z tych lokalnych przywódców dojdzie do wniosku, że można zastąpić bossa, zacznie się prawdziwa wojna. Rozejrzał się z pewnym niepokojem.

Lysy, Czacha, Zębaty, Misiek - wszyscy najwierniejsi gwardziści Pryszczatego stali w cieniu, pod skomplikowaną płataniną rur. Brakowało tylko ich szefa. Bankowiec zastanawiał się nieraz, dlaczego

Pryszczaty pozwala swoim ludziom używać tej paskudnej ksywy. Mógłby im nakazać mówić cokolwiek, nawet „wasza królewska mość”, a oni by się podporządkowali.

Ale teraz dotarł do niego sens takiego postępowania. To się nazywa socjotechnika. Pryszczaty był po prostu swój. Może inteligentniejszy, bardziej bezwzględny od innych, ale zawsze swój - kumpel, za którego można oddać życie. Co prawda ten kumpel wyrósł ponad nich, ale z tym można się było pogodzić. Zawsze pozostawała ta dawna więź. Z kolei ludzie z miasta nie mieli prawa tak mówić do przywódcy. Dla nich był po prostu Romkiem. Między sobą nazywali go, jak im się podobało, ale głośno posługiwali się tylko tym imieniem.

- Są już wszyscy?

Bankowiec drgnął. Pytanie padło zupełnie niespodziewanie. Pryszczaty pojawił się tuż obok niczym duch. Być może ukryty za plecami ochroniarzy czekał na najlepszy moment, aby efektywnie wejść na scenę. A może nie chciał się pokazywać zbyt wcześnie, żeby uniknąć kłopotliwych pytań o powód nadzwyczajnego zebrania.

- Widzę, że tak. Doskonale.

Wyszedł na środek, stanął tak, by mieć swoich za plecami, a pozostałych na widoku.

Wszyscy siedzieli na twardych krzesłach, wyczekująco wpatrzeni w przywódcę. Tworzyli wokół niego półkole, każda organizacja oddzielona od sąsiedniej kilkumetrową przestrzenią.

- Cieszę się, że was wszystkich widzę - zaczął Pryszczaty. Szefowie gangów byli najwyraźniej zdumieni takim początkiem, podobnie zresztą jak ich eskorta, bo przeszedł wśród nich szmer. Pryszczaty nie zwrócił na to uwagi. Nie czekał nawet, aż szum ucichnie. - Mam dla was dwie wiadomości, przyjaciele. Jak to w życiu bywa, jedną dobrą, drugą mniej dobrą.

- Od razu powiedz, że złą - odezwał się ktoś. - Po co tak krążysz?

- To by było pewne nadużycie. - Pryszczaty uśmiechnął się. - Ta druga wiadomość jest lepsza dla jednych, gorsza dla innych.

- Co ty, kurwa, kombinujesz? - zasyczał szczupły dresiarz z lewej strony.

- Nic nie kombinuję, - przerwał. - Mam do przekazania pewne informacje, które dotyczą nas wszystkich. Tak się składa...

- Gadasz jak jakiś papuga - wpadł mu w słowo ten sam człowiek. - Jak jakiś pieprzony obcy gostek. Gajera ci tylko brakuje.

- Powiedzmy, że postanowiłem zmienić image - odparł spokojnie Pryszczaty. - A ma to związek z wiadomościami, które za chwilę usłyszycie.

- Image - warknął Przerwa. - Pierdolenie o Szopenie.

Bankowiec spojrział zdumiony. Szef blockersów zazwyczaj utrzymywał przyjacielskie stosunki z Romkiem. Zawsze stawał za nim murem podczas negocjacji o strefy wpływów. Skąd ten przyptyw agresji? Czyżby czuł, że coś się przeciwko niemu szykuje? Ale dlaczego?

- Dasz mi dokończyć? - spytał ostro Pryszczaty. - Tak możemy pieprzyć do rana. A najlepiej niech ktoś od razu zadzwoni po gliny. Im dłużej przebywamy w tak dużej grupie, tym ryzyko większe.

- Tak jest, Przerwa, przymknij się i daj mu mówić - rozległy się głosy.

Boss gangu z Legnickiej założył ręce na piersiach i zrobił obrażoną minę.

- Dziękuję - powiedział Pryszczaty.

Zebrani wpatrywali się w niego jak urzeczeni. Jeszcze niedawno, podczas poprzedniej narady, zachowywał się zupełnie inaczej. Kłął, rzucał mięsem, słowem - był jak najbardziej naturalny i komunikatywny.

- Zacznę od wiadomości dobrej - ciągnął przywódca. - Ostatnio nawiązałem kontakty z bardzo interesującymi ludźmi. Mamy szanse wielokrotnie zwiększyć nasze dotychczasowe zyski. Ale o tym opowie Bankowiec.

Wezwany wstał i obrzucił wzrokiem zebranych.

- Postanowiliśmy część pieniędzy ze sprzedaży lewych papierów i prochów zacząć lokować w legalnych przedsięwzięciach. To po pierwsze.

- A co to oznacza? - przerwał dowódca z Kozanowa. - Będziemy mieli mniejsze działki?

- Niekoniecznie - odparł Bankowiec. - Mamy propozycję wejścia w nowy biznes. Ale jeśli ktoś wyniesie stąd tę tajemnicę, urwiemy mu jaja. Dosłownie. Wiecie, że to nie ścierna.

- Nie strasz, tylko gadaj!

- Wchodzimy w przemysł materiałów promieniotwórczych.

Przez chwilę panowało milczenie, a potem ktoś przeciągle gwizdnął.

- O kurwa! To już grubsza sprawa. Niebezpieczna.

- Ale opłacalna - zabrał głos Pryszczaty. - Kto się boi, może w tej chwili zrezygnować. Potem nie będzie odwrotu.

Zapadła cisza.

- Widzę, że nie ma chętnych do ucieczki. Mów dalej. - Bankowiec odchrząknął. - Zamierzamy wykorzystać wszelkie kontakty, jakie posiadamy. Musimy dogadać się z chłopakami z tamtej strony granicy: u Czechów i Niemców. Już zaczęliśmy wstępne rozmowy. Z Ukrainą sprawa jest załatwiona, do nas towar będzie docierać bez problemów. Mamy go tylko puszczać dalej.

- A na cholerę nam takie ryzyko? - poderwał się Przerwa. - Źle nam było z tym, co mieliśmy?

- Czyżbyś nie chciał zarobić więcej?

- Ochujaleś? Każdy chce. Tylko że tutaj ryzyko jest chyba zbyt duże.

- Jeszcze możesz wyjść - powiedział spokojnie Pryszczaty. Widząc, że szef z Legnickiej nie rusza się z miejsca, dodał: - A jeśli w to wchodzisz, zamknij, kurwa, dziób i słuchaj. Bo w końcu stracę cierpliwość.

- Do ochrony kanałów przerzutowych - ciągnął Bankowiec - wybierzemy najlepszych ludzi. Trasy muszą być maksymalnie zabezpieczone. O wiele lepiej niż przy przerwaniu fałszywej forsy.

- Nie za dużo tych zmian? - spytał ponury typ o smagłej cerze, przywódca grupy z Osobowic. - Prochy były okej. Weszliśmy w fałszywki, jeszcze lepiej. Ale teraz te gówna... Może trochę przystopować? Poczekać chociaż z pół roku?

- Oto głos rozsądku - roześmiał się drwiąco Pryszczaty. - To mówią ktoś, kto za każdym razem przy rozliczeniach pieje, że mu się więcej należy. Za pół roku ten interes będzie nieaktualny, przejmie go ktoś inny. Chętnych jest dosyć. Co ty, Cygan, nagle nie chcesz zarabiać?

- Chcę - odparł ponuro smagły. - Mów dalej.

- W zasadzie to koniec. - Bankowiec usiadł.

- Tak, z jego strony to tyle - podjął Pryszczaty. - A teraz ta druga wiadomość. - Wziął głęboki oddech. - Musimy się zreorganizować. Mamy coś, co się nazywa przerostem zatrudnienia. Za dużo nas. Każda pieprzona grupka ma swojego wodza, który chce tylko cyckać i cyckać jak najwięcej kasy, a robić jak najmniej. Wystarczy połowa albo nawet jedna trzecia. Oczywiście zwiększą się zyski dla tych, którzy będą zarządzili...

Cofnął się dwa kroki, a jego ochroniarze natychmiast się zbliżyli. Pierwszy poderwał się Przerwa. Wyjął pistolet i zaczął nim wymachiwać. W jego ślady poszedł Cygan.

- Chcesz nas wyruchać, skurwielu! - krzyknął smagły. - Chcesz Przejąć naszych ludzi!

Pozostali bossowie przyłączyli się do hałasu. Bankowiec patrzył z obawą na Przerwę i Cygana, widział napięcie na twarzy Pryszczatego. Czacha wysunął się do przodu, zasłonił szefa. Wtedy Przerwa strzelił. Gangsterzy zamarli na chwilę. Spojrzeli odruchowo w stronę Pryszczatego, spodziewając się, że zobaczą, jak na jego czole wykwita krwawa rana, a ciało bezwładnie osuwa się na ziemię. Jednak Roman stał spokojnie. Za to na beton zwałił się Cygan. Padł drugi strzał ze spłuwki Przerwy i w ślady szefa poszedł jeden z jego gwardzistów.

W tej samej chwili ochroniarze Romana otworzyli ogień w stronę ludzi z Osobowic, Krzyków i Kozanowa. Podobnie postąpili blokery z Legnickiej oraz cyngle ze Śródmieścia, którzy do tej pory siedzieli cicho na uboczu. Dla zaatakowanych było to tak ogromne zaskoczenie, że w odpowiedzi padło jedynie kilka strzałów. Posypał się trup, ranni wili się na podłodze.

Pozostali podnieśli ręce do góry.

- Dość!

Strzelanina ucichła. Do Bankowca dopiero po chwili dotarło, że zapanował spokój.

Wstał z podłogi, otrząpął się. Tak... Więc cały ten cyrk odstawiony przez Przerwę był tylko mydleniem oczu, odwracaniem uwagi. Od samego początku był wtajemniczony w zamiary Pryszczatego.

- Na kolana - rozkazał ten ostatni.

Pozostali przy życiu przeciwnicy uklęknęli. Pryszczaty pochylił się nad jakimś ciałem.

Bankowiec natychmiast rozpoznał, kto to jest, choć nie miał połowy twarzy. Czacha. Przyjął na siebie kulę, ładunek shotgun, przeznaczoną dla szefa.

- Zajmiemy się twoją matką i siostrą - powiedział Roman do trupa. Kurwa mać, przeleciało przez głowę Bankowcowi, scena rodem z Ojca chrzestnego. Cała ta awantura zresztą wyglądała, jakby została wycięta z takiego filmu.

Pryszczaty rzucił okiem na jeńców i rannych, a potem spojrzął na zwycięzców.

- Zróbcie z tym porządek.

Bankowiec odwrócił oczy. Słyszał tylko błagania, jęki i strzały.

- Kto nie jest z nami, ten przeciwko nam - rzucił Pryszczaty. - Od dzisiaj robimy tylko poważne interesy z poważnymi ludźmi.

- A psy z całego miasta będą zachodzić w głowę, co tu się stało - zauważył Bankowiec. - Zrobi się gorąco.

- Kij im w oko - prychnął pogardliwie Pryszczaty. - Niech węszą. Zajmą się tą rzeźnią, zaczną pytać po ulicach i gównu się dowiedzą. A przy tym mniej będą zwracali uwagę na to, co się dzieje przy bankomatach, w punktach przerzutowych i melinach.

- Kurwa - powiedział z podziwem Przerwa. - Ty to powinienes prezydentem zostać.

- Wszystko przede mną - zaśmiał się Pryszczaty. - A teraz spierdalamy stąd. Odcisków palców nie zostawialiście?

- Chłopcy się pilnowali.

Pryszczaty z zadowoleniem kiwnął głową. Wciągnął nozdrzami powietrze. Wyglądało na to, że odór krwi sprawia mu przyjemność. Podszedł do szefa gangu ze Śródmieścia.

- Dzięki, Makary. - Klepnął go w ramię. - Dobrze współpracować z rozsądnymi ludźmi.

- Nie ma sprawy. Cała przyjemność po mojej stronie. Bankowiec, który od zapachu surowizny dostawał mdłości, z pewnym niedowierzaniem słuchał wymiany uprzejmych uwag. Najwyraźniej Pryszczaty nie rzucał słów na wiatr, mówiąc o zmianie image'u i sposobów działania.

Spotkali się w kawiarni przy wrocławskim Rynku. Michał kątem oka obserwował Sebastiana, który z kolei przyglądał się uważnie Darii. Po cywilnemu nie przypominał nieco sztywnego służbisty z komendy. Mógł się podobać. Jednak kobieta zdawała się nie zwracać na niego uwagi. Była skupiona na Wrońskim.

- Czy już pan coś wie? - spytała. - Są jakieś informacje o tym, co dzieje się na terenie sekty?

Porucznik pokręcił głową.

- Jest pani zbyt niecierpliwa. Taka robota to nie przelewki...

- Ale ta dziewczyna tam tkwi. Diabli wiedzą, co z nią teraz robią!

- Ciszej. - Michał położył rękę na jej dłoni. Poczul przyjemny dreszcz. - Nie wszyscy muszą wiedzieć, o czym mówimy.

- Przepraszam - natychmiast zniżyła głos. Nie cofnęła ręki, po kilku sekundach Wroński z żalem oderwał palce od jedwabistej skóry. - Proszę zrozumieć, że każdy dzień, każda chwila jest dla mnie bezcenna. To moja ukochana chrześnica.

- A pani musi zrozumieć, że ja w tej chwili jestem na urlopie. Wszelkie moje działania, mają charakter nieformalny. Bez pomocy pana Machały - skinął głową w kierunku policjanta - miałbym w ogóle związane ręce. Ale z jego strony to też poświęcenie i ryzyko. Przełożeni okropnie nie lubią, jeśli ich podwładni kombinują coś prywatnie, nawet w słusznej sprawie.

- Jeszcze raz przepraszam. Moja siostra tak się denerwuje...

Tym razem głos zabrał aspirant.

- Powinniśmy z nią porozmawiać. Może posiada jakieś informacje, potrafi nam udzielić pewnych wskazówek.

- To niemożliwe. - Daria pokręciła głową z bezradną miną. - Marta nie chce z nikim rozmawiać. Boi się, że jeśli zacznie coś robić na własną rękę, a ci z sekty się dowiedzą, Ewelina zostanie zabita.

Wroński z Machałą spojrzeli na siebie. Michał ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami. Kolejna trudność, z którą trzeba było się liczyć.

- Na pewno nic się nie da zrobić? - spróbował jeszcze Sebastian.

- Jestem pewna, że Marta wyprze się wszystkiego, jeśli ktoś obcy przyjdzie ją wypytać. Nie chce odpowiadać nawet na moje pytania.

Panowie nie zdają sobie sprawy, jaka w mieście panuje atmosfera. Niby wszystko jest w porządku, życie toczy się jak wszędzie, ale człowiek wciąż natyka się na mur. A właściwie na barierę najeżoną kolcami. Podobno parę bardziej dociekliwych osób wylądowało w szpitalu. Mówi się nawet, że ktoś zaginął czy zginął.

Wroński doskonale wiedział, o czym mówi kobieta. Sam nieraz spotkał się z takimi sprawami. Pozornie miasto i okolica żyją, jak pan Bóg przykazał, niby nic się nie dzieje.

Wystarczy jednak mocniej poskrobać paznokciem maskującą powłokę, zajrzeć głębiej w uładzoną rzeczywistość, by dostrzec, że istnieje inny puls wydarzeń, by dotknąć problemów dla kogoś z zewnątrz niewidocznych. Tak było, kiedy pracował w Oleśnicy jako zwykły glina nad sprawą tajemniczych zgonów, gdy szedł tropem hitlerowskich tajemnic związanych z osobą von Brauna. Tak było podczas poszukiwań Bursztynowej Komnaty, kiedy zagłębiał się w półświatki Bolkowa, gdy w Pradze stracił Dorotę... Zaciśnął zęby. Kiedy zagoi się ta rana?

Dlaczego po pogrzebie pojechał do Budapesztu odnaleźć człowieka, który podłożył bombę, zamiast skupić się na ściganiu Łazarza? Dlaczego ukarał najpierw egzekutora, a zemstę na tym, kto wydawał rozkazy, odłożył na potem? Bzowski zapewniał, że Łazarz nie ujdzie sprawiedliwości. Odsunął Wrońskiego od śledztwa, bo porucznik był w sprawę zbyt zaangażowany osobiście. A gdyby, zamiast włóczyć się po stolicy Węgier, czekał wtedy wraz z innymi w Srebrnej Górze? Gdyby uczestniczył w zasadzce? Może wtedy Robert Miguła nie zdołałby zbiec. Tak jest zawsze, kiedy polityka i tak zwany interes państwa biorą górę nad sprawiedliwością. Chcieli mieć Łazarza żywego, żeby wydobyć zeń informacje dotyczące ukrycia skarbu, nie wolno było do niego strzelać. W efekcie nie mieli go w ogóle, a Jacek został dodatkowo wrobiony w jakąś aferę. Gdyby tylko Wroński mógł zamienić z nim chociaż dwa słowa, dowiedzieć się od przyjaciela, jak to wygląda z jego strony... Ale nie mógł niestety liczyć na inne informacje niż te, które wydobył od Pawła.

- Panie Michale. - Poczul zdecydowane szturchnięcie. Ocknął się. Daria najwyraźniej od dłuższej chwili coś usiłowała mu powiedzieć.

- Przepraszam - wymamrotał - zamyśliłem się.

- Dało się zauważyć - odparła z uśmiechem. - Pytałam, kiedy pan przyjedzie do Brzegu.

Porucznik spojrzął na Machałę. Tym razem policjant wzruszył ramionami. Wroński się skrzywił.

- Kto tam rządzi? - spytał. - To znaczy, kogo się najbardziej boją? Burmistrza? Starosty? Może komendanta policji?

- Tamtejsza policja niewiele teraz może - mruknął aspirant. - To wiem z całą pewnością. Przecież właśnie dlatego przekazano do nas sprawę niezidentyfikowanych zwłok. Na układy nie ma rady. Wie pan, jak to jest.

- Wiem, że układy są obrzydliwe i trudne do przeskoczenia, ale to nie powód, żeby nie próbować.

- To nie takie proste...

- Nieważne - przerwał policjantowi Michał. - Najistotniejsze pytanie brzmi, kto tam z miejscowych jest pierwszy po Bogu. Realnie, nie według zajmowanego stanowiska.

- A co pan zamierza?

- Zobaczymy. Na razie chcę wiedzieć tylko to.

Daria zastanawiała się przez chwilę.

- Siostra coś wspominała... Jest pewien radny, o którym mówią, że trzęsie i miastem, i całą gminą...

- Ma jakieś nazwisko? - Michał był już trochę poirytowany tempem rozmowy.

- Legień.

- Legień - powtórzył jak echo Sebastian.

- Coś to panu mówi? - Michał spojrzął bystro.

- Trochę - przyznał niechętnie policjant. - To będzie twardy orzech do zgryzienia. Pan Lesław Legień ma liczne układy nie tylko na swoim terenie, ale także w województwie i w samej Warszawie. Jest, jak to się mówi, nieźle umocowany.

Wroński prychnął pogardliwie.

- Każdy taki kacyk jest nieźle umocowany. Dlatego boją się go mniej wpływowi koledzy z otoczenia. To normalne. Ja jestem do czegoś takiego przyzwyczajony.

Zapanowała cisza. Wroński pogrążył się w swoich myślach, aspirant także milczał.

Daria wodziła wzrokiem od jednego do drugiego. Była najwyraźniej zniecierpliwiona, jednak nie chciała przerywać mężczyznom tej chwili zadumy.

- No cóż - powiedział wreszcie Michał - trzeba będzie zasięgnąć języka u jaśnie pana radnego.

- Na mnie proszę nie liczyć - powiedział prędko Machała. - To nie mój rejon, nie mogę sobie jeździć po całym województwie i wypytywać prominentów. Zresztą mam na głowie rzeźnię w magazynie, tę, o której rozpisują się dziennikarze. Jakieś gangsterskie porachunki. Cały wydział został postawiony na nogi. Mamy się zajmować tylko tym.

Wroński nie odpowiedział. Patrzył na Darię, mrużąc oczy.

- Pani się dowie, gdzie ten robaczek mieszka - powiedział powoli - sprawdzi jego godziny pracy, zerknie, czy porusza się z jakąś obstawą. Wątpię, bo na swoim terytorium takie typy czują się bezpiecznie. Ale warto wiedzieć. No i jeśli by było wiadomo coś o jego słabostkach, przyzwyczajeniach... Wiem, że sporo wymagam, ale pani też ode mnie dużo oczekuje.

- To znaczy, że chce mnie pan zaprząć do pracy wywiadowczej? - uśmiechnęła się.

- Wywiadowczej? Po co zaraz takie wielkie słowa. To się nazywa rozpoznanie operacyjne, zgadza się, panie Sebastianie?

- Z grubsza - burknął policjant. - Mam rozumieć, że zamierza pan podjąć dalsze działania na własną rękę?

- A widzi pan jakieś inne wyjście?

Machała patrzył długo w przestrzeń za oknem.

- Niech pan będzie ostrożny. - Spojrzał na Darię. - Pani też. Stąpacie po bardzo kruchym lodzie.

- Jestem do tego przyzwyczajony - odparł Michał. - A pani Daria zapewne jest gotowa podjąć ryzyko.

Nie odezwała się, kiwnęła tylko głową, choć minę miała nietęgą.

Minister chodził po gabinecie w tę i z powrotem. Był bardzo wzburzony, co chwila rzucał rozmówcy niechętnie spojrzenia. Wreszcie zatrzymał się.

- Naprawdę pan uważa, że to był dobry pomysł?

- Naprawdę, panie ministrze.

- Czy to jednak nie za duże ryzyko? Jakie mamy gwarancje...

- W tej pracy - przerwał niezbyt grzecznie oficer - nigdy nie ma gwarancji powodzenia. Dlatego jest niesłychanie wyczerpująca i stresująca.

Minister, przemierzając gabinet, rzucił kolejne pytanie:

- A obiekt? Jak się zachowuje?

- Tak, jak tego oczekiwaliśmy. Szuka, węszy, zadaje mnóstwo pytań.

- Dacie radę go upilnować? Z raportów wynika, że już parę razy straciliście go z oczu.

- W najważniejszych momentach będzie pod kontrolą.

- A ten pański pułkownik? Jak sobie radzi?

- Znakomicie. Manke to świetny oficer. Może nieco sztywny i przywiązany do regulaminów, ale za to lojalny.

- Bzowski też miał być lojalny - prychnął dostojnik. - I co? Siedzi w areszcie, czekając na cichy proces i nie mniej ciche zamknięcie w kiciu. Tak to jest z lojalnością: każdy ma swoją cenę. Po tylu latach pracy powinien pan to wiedzieć, generale.

Oficer rozłożył ręce w bezradnym geście.

- Wszędzie mogą znaleźć się czarne owce. Są tacy, którzy nie wierzą w winę majora, uważają, że został wrobiony.

- A pan jak sądzi?

- A ja muszę opierać się na dowodach, a te świadczą przeciwko niemu. Znaleźliśmy w jego mieszkaniu fotokopie dokumentów dotyczących Bursztynowej Komnaty. Jak pan doskonale pamięta, na ścianie w domu denata, którego wyłowiono potem z Odry, a którym koniec końców okazał się były pracownik kontrwywiadu, nazwisko Bzowskiego napisane zostało obok nazwiska Roberta Miguły - „Łazarza”.

- Pamiętam - mruknął minister. - Takich widoczków się nie zapomina.

- Właśnie. Poza tym te pieniądze, które wpływają na konto majora... Jacek twierdzi uparcie, że nie należy ono do niego, ale fakt pozostaje faktem - nie potrafi tego udowodnić.

Minister usiadł i położył dłonie płasko na blacie biurka.

- Zdaje pan sobie sprawę, że mam na głowie wiele bardziej palących spraw niż zdrada jakiegoś tam oficera, czy nawet szefa całego biura w kontrwywiadzie?

- Oczywiście, panie ministrze.

- Komisja sejmowa domaga się materiałów dotyczących przecieków o dywersyfikacji źródeł zaopatrzenia w ropę naftową. Rosjanie są wściekli, że kombinowaliśmy za ich plecami nie tylko z Norwegią ale także z Azerbejdżanem. Patrzeć tylko, jak znowu wymyślą coś w stylu bojkotu mięsnego. Rzecznik ministra finansów robi może dobre wrażenie, ale zachowuje się niczym słoń w składzie porcelany. Zamiast trzymać gębę na kłódkę, obwieszcza całemu światu, że jego szef pozostaje w konflikcie z prezydentem własnego kraju. Najlepsze jest to, że puszcza tę wiadomość akurat w chwili, kiedy sytuacja zaczyna się pomyślnie układać. A przy okazji wszyscy chcą czegoś od Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Czuję się czasem osobiście odpowiedzialny za kretynizmy, które dzieją się dookoła. Tak jakbym sam nie miał dość problemów we własnym gospodarstwie... Dlatego w kwestii afery Bzowskiego zdaję się całkowicie na pana, generale. Proszę działać według własnego uznania. Tylko bez fajerwerków. Jeśli coś się nie uda... - zawiesił głos.

- Wiem - burknął oficer. - Wtedy odpowiedzialność spadnie wyłącznie na mnie. To cena za samodzielność, czy tak?

- Tak. Ta sprawa może jest niedużego politycznego kalibru, ale gdyby pękła, gdyby posłowie opozycji zażądali powołania kolejnej komisji... nie chcę nawet o tym myśleć. Z igły widły i wstyd na cały świat. A opozycja czai się na nas za każdym rogiem, obserwuje z każdego kąta, czyha na błędy, żeby podstawić nogę w ciemnościach... - roześmiał się nagle. - Może dlatego ktoś wymyślił, żeby sejm był okrągły. Aby uniknąć tych kątów.

Generał uśmiechnął się niewyraźnie, tylko z grzeczności. Nie widział w wywodzie szefa niczego zabawnego. Kolejny raz podwładny musi nadstawiać karku za przełożonego.

Prawda była taka, że minister nie miał takiego nawału trudnych i niebezpiecznych spraw, jak starał się to przedstawić. Wszystko, o czym mówił, dotyczyło resortu spraw wewnętrznych jedynie pośrednio. Jednak na wszelki wypadek wolał się asekurować, jak jakiś tchórzliwy alpinista bez przerwy trzymający w ręce nóż, gotów w każdej chwili odciąć się od towarzysza, jeśli tylko ten zacznie się osuwać w dół. Jednak o ile podczas wysokogórskiej wspinaczki taka postawa jest naganna i powoduje ostracyzm środowiska, o tyle w polityce z podobnej nikkczemności czyni się cnotę.

- Proszę obserwować obiekt - powiedział minister, wstając na znak, iż rozmowa dobiegła końca. - Jeśli zacznie robić coś podejrzanego, jeśli zagrozi w jakikolwiek sposób naszym interesom, natychmiast zdjąć i izolować. Niech go pan strzeże jak oka w głowie. W razie niepowodzenia tylko z jego pomocą zdoła się pan jakoś wytłumaczyć.

*

- Niech cię szlag. Ależ ty masz chody, człowieku! Skąd towar przyszedł tym razem?

Wojciech spoglądał z podziwem na ciężką drewnianą skrzynię wzmocnioną żelaznymi sztabami. Obok niego stał Robert, uśmiechając się szeroko, co czyniło jego twarz jeszcze dziwniejszą.

- Mówiłem, że zostało mi trochę kontaktów.

- Ale to już druga dostawa w tym tygodniu! Powiedz, skąd? Czeczenia? Afganistan?

- Rosja, przyjacielu, po prostu Rosja. To wielki kraj. Tak wielki, że wygląda, jakbyś wrzucił do jednego kotła i wymieszał sto innych państw. Dlatego tak łatwo robić z nimi interesy. Bo ludzi w imperium trudno upilnować, nawet jeśli rządzi nim niepodzielnie car... to znaczy prezydent. A jeśli z interesów mają swoją działkę różni wpływowi biznesmeni i decydenci, tym łatwiej się tam poruszać.

- Rosja - powtórzył Wojciech, a w jego głosie zabrzmiało rozmarzenie. - To były czasy, kiedyśmy hasali z paszportami dyplomatycznymi po całej Europie, po całym świecie. Człowiek nie martwił się o jutro, nie myślał, co się stanie, jeśli jakaś akcja pójdzie nie tak...

- Ty mogłeś spokojnie zostać przy niezłym korycie - zaśmiał się Robert. - Łaziłeś w sutannie, a przysłowie mówi, że kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie. Gdybyś uważał, do dzisiaj siedziałbyś sobie na jakiejś ciepłej parafii, żarł, łupił owieczki i obracał miejscowe panienki.

- Powołanie - odparł smutno Wojciech. - Widzisz, poczułem w pewnej chwili coś, co można nazwać głosem Boga. Miałem niespokojne sny, dręczyło mnie sumienie. Wiesz, co to sumienie? - Machnął ręką z rezygnacją. - Nie wiesz. A mnie zaczęło się zdawać, że każdego ranka, każdego dnia niebo budzi się i patrzy na mnie z wyrzutem. Dlatego zacząłem popełniać błędy. Tak to jest: chciałem i nie chciałem jednocześnie.

- Ależ ty potrafisz pieprzyć - powiedział z podziwem Miguła. - Żle ci było jako księdzu? Sumienie cię dręczyło? Nie bardzo wierzę. Założyłeś przecież tę sektę... - Na widok ściągniętej twarzy rozmówcy poprawił się natychmiast. - To jest nowy Kościół. I co niby tu wyprawiasz?

- Modlimy się z wiernymi o naprawienie i zbawienie świata. Przecież uczestniczysz w nabożeństwach, słyszysz, co mówię.

- Daj spokój, mam to w dupie.

- I bardzo niedobrze. Każdy uczynek i każde słowo może przyczynić się do naprawienia Bożego dzieła.

Łazarz patrzył długo na Wojciecha.

- Każdy? - spytał wreszcie. - Nawet zły? Z tych, co je tak śmiesznie nazywają... jak to leci... niegodziwe?

- Każdy - odparł twardo kapłan. - Świat składa się bowiem z dobra i zła, z czynów sprawiedliwych i - jak to nazwałeś - niegodziwych. A my tutaj jesteśmy właśnie takim małym światkiem. Dlatego mamy jasną stronę, tę, która przyciąga dobrych ludzi, ale mamy także tę złą, przeznaczoną dla tych, co wołają ciemność. Ale w ostatecznym rozrachunku liczył się będzie bilans tych dwóch sił. Jeśli nie uda nam się naprawić za pomocą dobrych uczynków zła nękającego świat, to oddając cześć księciu ciemności, sprowadzimy gniew Stwórcy, który zetrze zło w proch i pył. Tak czy inaczej zwycięży dobro.

- Niezłe usprawiedliwienie - zauważył Miguła. - Tym się pocieszasz, rżnąc na orgiach wszystko, co się rusza?

- Powiedziałem przecież - rzekł kapłan, patrząc jasnymi, żywymi oczami w mroczne źrenice Łazarza. - Czy tak trudno to zrozumieć? Tak czy inaczej zwycięży dobro - powtórzył.

- Albo sami je zaprowadzimy na świat, albo zmusimy Boga do interwencji. Albo się wszystko rozstrzygnie bezkrwawo, a ludzie staną się lepsi dzięki naszym modlitwom, albo spadnie gniew Boży i o losach ludzkości zadecyduje Armagedon.

Migła wbił wzrok w Wojciecha.

- Kurwa mać - powiedział wreszcie. - Ty naprawdę w to wszystko wierzysz...

Kapłan trwał chwilę z przechyloną lekko na bok głową, jakby czekał, aż święte uniesienie zniknie.

- Dupa tam wierzę - zarechotał wreszcie. - Ale skoro ty dałeś się nabrać, pomyśl, jak bardzo wierzą mi inni.

- Uf - odetchnął Łazarz. - A już myślałem, że kompletnie ci odbiło.

To był okropnie męczący dzień. Radny Lesław Legień wracał do domu pieszo. Po całym dniu spędzonym w firmie głównie na czytaniu raportów, a potem jeszcze na posiedzeniu Rady Miasta, czuł, że musi zaczerpnąć świeżego powietrza, odprężyć się.

Kierowcę odesłał do sklepu z listą sprawunków, a potem kazał mu jechać z zakupami do domu. Niech żona ma zajęcie, nie będzie się zastanawiała, dlaczego mąż wraca z pracy później, niż wymaga tego czas przejścia z ratusza na willowe osiedle. A on tymczasem...

Skreślił w boczną uliczkę. Stara kamienica z odrapaną bramą wyglądała zachęcająco. Jednak to właśnie tutaj jeden z filarów miejskiej władzy zwykł zachodzić, aby zapomnieć chociaż na chwilę o obowiązkach i trudach życia. Wszedł na drugie piętro, zapukał leciutko. Drzwi uchyliły się jak zwykle, nie ukazując postaci, która za nimi stała.

- Cześć, kochanie - powiedział cicho, wchodząc szybko. Nie rozglądając się wokół, zdjął płaszcz i powiesił go na wieszaku. Czekał na dotyk delikatnych palców, od którego nieodmiennie przechodził go rozkoszny dreszcz. - Tęskniłaś?

- Nawet nie wiesz jak bardzo. Czemu tak późno?

Radny podskoczył z wrażenia. Głos należał do mężczyzny!

Odwrócił się natychmiast, sięgając pod marynarkę. Nie zdołał wydobyć broni, intruz bowiem wyćwiczonym chwytem wykręcił mu rękę, obrócił tyłem do siebie, rzucił na ścianę, po czym - korzystając z oszołomienia ofiary - zręcznie wyłuskał zawartość kieszeni.

- Fajny paralizator - zauważył tonem uprzejmej konwersacji. - Ale myślałem, że taka szycha chodzi raczej z przyzwoitym gnatem. Jakaś dziewiątką, ostatecznie porządną siódmką. Zawiodłeś mnie, Lesiu.

- Kim ty, kurna, jesteś? - jęknął wciąż przyciśnięty do ściany Legień. - Gdzie Ramona?

Napastnik parsknął śmiechem.

- Tak ją nazywasz? Mnie się przedstawiła jako Ania. Nie bój się, czeka na ciebie w łóżeczku. Jak skończymy, będziesz mógł do niej pójść. Jest związana. Nie wiem, czy lubisz takie zabawy. Do ciebie będzie należał wybór, czy wykorzystasz ją tak, czy wpiery uwolnisz. Nie moja sprawa.

- Co jej zrobiłeś, bydlaku? - wrzasnął radny.

Nieznajomy nagle go puścił, chwycił za ramiona, odwrócił tak, że stali twarzą w twarz. Radny zobaczył mężczyznę około czterdziestki. Miał krótko przyszczyżone ciemnoblond włosy i szare oczy o twardym wyrazie.

- Nie sądź innych wedle siebie - warknął. - Nie mam w zwyczaju posuwać się do gwałtu.

- Odpowiesz za to... Zawiadomię policję...

Zamilkł. Przed oczami ujrzał rozłożoną legitymację z orłem w koronie.

- Porucznik Michał Wroński, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, delegatura we Wrocławiu. A teraz zamknij mordę i odpowiadaj na pytania.

- Jestem aresztowany? - spytał hardo Legień. - Jeśli tak, żądam...

- Jesteś przesłuchiwany, Lesiu - przerwał mu mężczyzna. - Co do aresztowania, trzeba się będzie zastanowić.

Legień wydał wargi.

- Albo ta twoja legitymacja jest fałszywa, albo to twoja samowolna akcja. Nie myśl, że jestem głupi. Zjeżdżaj, palancie, bo będziesz miał niezłe kłopoty!

Michał zaśmiał się krótko, ale zaraz spoważniał.

- Bystry z ciebie koleś, Lesiu - rzekł ponuro. - Ale co do jednego się przeliczyłeś. Bo mnie specjalnie nie zależy, wiesz? Jestem gotów na wszystko, żeby pozyskać cię do współpracy. Zaraz to udowodnię.

Prawą ręką wyjął z kabury pistolet, odbezpieczył, przyłożył lufę do czoła mężczyzny.

Legień zadrzał, ale po chwili znów prychnął pogardliwie.

- Nie odważysz się!

Wroński uśmiechnął się paskudnie.

- Mówiąc, że twoja flama czeka w łóżku, wyraziłem się nieprecyzyjnie. Czeka, ale, jak by to powiedzieć... niezupełnie w komplecie. Próbowwała stawiać opór o wiele większy niż ty. Z prawdziwą przykrością musiałem użyć siły...

Nie kończąc zdania, poprowadził radnego do pokoju na końcu korytarza. Włożył głowę Legienia do środka, przytrzymał chwilę, bo

tamten próbował się cofnąć. Wreszcie przyciągnął go do siebie, znów przyłożył lufę do głowy.

- Jeśli się pośpieszysz, może zdążysz uratować jej życie. Może... jeśli zechcesz.

Radny drżał na całym ciele. Miał ochotę zwymiotować. Krwawy ochłap leżący na pobrudzonym posoką łóżku nie przypominał człowieka. Miałby wątpliwości, czy to w ogóle ktoś żywy, gdyby nie to, że kiedy zajrzał, usta leżącej poruszyły się, wypowiadając jakieś słowa. Mógł się tylko domyślać, że to prośby o ratunek.

- Ty rzeźniku! - wykrztusił.

- Uprzedzałem, że jestem gotowy na wszystko.

Legień trząsał się ze strachu i wściekłości.

- Powiem wszystko, tylko ją najpierw uratujmy...

- Najpierw spowiedź, panie radny. Krótka i treściwa. A potem możesz robić, co chcesz.

- Ty... ty...

- Już się tak nie napinaj. Gadaj wszystko, co wiesz. A jeśli nie, strzelę ci w łeb. Skonacie sobie tutaj we dwójkę. I tak wszyscy wiedzą, że masz kochankę, żona pewnie też. Będzie skandal, ale lokalny, umiarkowany. W nekrologu napiszą, że odszedł zabity bestialsko stróż demokracji, zasłużony członek i tak dalej. A ja w końcu i tak dowiem się wszystkiego. To jak będzie?

Legień z trudem przelknął ślinę.

- Czego chcesz?

*

Pryszczaty stał prawie na baczność. Ten człowiek w kapeluszu i płaszczu z postawionym kołnierzem nieodmiennie budził w nim lęk. To było dziwne, nie do końca określone uczucie, coś jakby respekt przed wewnętrzną siłą starszego człowieka połączony z nabożnym szacunkiem, płynącym gdzieś z głębi.

- Panie Łazarzu - zaczął Roman.

- Miałeś nie mówić mi na pan.

- Rzeczywiście, przepraszam, trudno się przestawić.

To też było coś, co mężczyzna wymuszał silną osobowością - Pyszczyty nie używał przy nim wulgarnych wyrazów tak często, jak w innych okolicznościach, starał się zachować uprzejme formy, choć tamten nieraz pozwalał sobie na ordynarne odzywki. To, że w ogóle wyjawiał młodemu bossowi swoją ksywę, też miało posmak przygody i tajemnicy. Uprzedził, że Roman może go używać tylko wtedy, kiedy są zupełnie sami. Jeśli choć raz zapomni o żelaznej zasadzie, kara będzie straszna i natychmiastowa. A że Łazarz nie rzuca słów na wiatr, także zdążył się już przekonać. Przy jednej z rozmów obecny był Łysy. Łazarzowi nie spodobała się jakaś chamska odzywka ochroniarza. To, co nastąpiło potem, przypominało huragan. Starszy mężczyzna nie uderzył bez uprzedzenia. Najpierw zamarkował cios, żeby goryl zdołał się zorientować, że coś się szykuje. A potem bez trudu przełamał obronę osiłka, zadał mu kilka ciosów w twarz, zręcznie uniknął wściekłego kontrataku, żeby dokończyć dzieła silnymi kopnięciami w wątrobę, żebra i nerki. Wielki chłop zwał się na ziemię jak szmaciana kukła. Dopiero na drugi dzień do Pyszczyatego dotarło, że Łazarz zrobił to celowo, aby zademonstrować, że nie jest jakimś stetryczalym kolesiem, któremu pozostał tylko bystry umysł. Wtedy też Roman po raz pierwszy zobaczył jego twarz w pełnym świetle. Był nieco zszokowany gładkością skóry, kontrastem między sztuczną młodością a spojrzaniem dojrzałego, wchodzącego w okres starości człowieka.

- Operacja plastyczna? - spytał, zanim zdążył pomyśleć. Łysy na Podłodze zwijał się z bólu.

- Jeszcze nie do końca jestem wygojony - odparł Łazarz spokojnie. - Dlatego tak kiepsko to wygląda. Za jakiś czas wszystko się uleży, naciągnie, gdzie trzeba, gdzie trzeba poluźni, trochę opuchlizny zejdzie i zrobię się całkiem podobny do ludzi.

Dzisiaj, patrząc na rozmówcę, przypomniał sobie tamtą scenę.

- Przed kim uciekasz? - zaryzykował. Łazarz roześmiał się.

- W tym pytaniu kryje się zupełnie inna treść. Tak naprawdę chciałbyś zapytać, kogo boję się do tego stopnia, że musiałem zmienić twarz, prawda?

Pyszczyty nie odpowiedział. Nauczył się już, że ten człowiek nie lubi, jeśli ktoś mówi zbyt dużo.

- Tak, właśnie to pragniesz wiedzieć - ciągnął Miguła. - Zgadłeś, są ludzie, których się obawiam. A raczej nie tyle konkretnych ludzi, co sił, które reprezentują. Wywiady, kontrwywiady, płatni mordercy, prywatne łapsy. Nawet nie wiesz, ilu z nich chciałoby mnie dopaść.

- Aż tak się naraziłeś?

- Aż tak. Do prawdziwych pieniędzy i realnej władzy dochodzi się tylko po trupach. Pamiętaj o tym, chłopcze, i zakoduj to sobie w głowie. Nie w sercu, bo o nim musisz zapomnieć na dobre. Wiedza znajduje się tu - wskazał głowę - a nie tu - przeniósł palec na pierś. Masz kochankę, prawda?

- Mam kobietę, można powiedzieć narzeczoną, a nie kochankę. Zamierzamy się pobrać.

- Zabij ją - powiedział stanowczo Łazarz. - Nie wytrzeszczaj tak na mnie oczu. Zabij ją, bo tylko jako samotny wilk jesteś naprawdę wolny. Baby są po to, żeby je brać, rznąć i zapominać ich twarze. A jeśli w życiu kiedyś spotkasz taką, która zdoła ci zawrócić w głowie, ją też zabij bez litości. Uczucia to słabość. Jeśli obciążysz się dziećmi, skapcaniejesz. Poza tym będzie cię gdzie uderzyć, nigdy nie zaznasz spokoju, zaczniesz zasypiać dręczony myślą, co się z nimi stanie, jeśli nie zdołasz ich upilnować, jeśli znajdzie się ktoś, kto weźmie się na twoją rodzinę. Zabij narzeczoną, powiadam ci. Inaczej nie dotrzesz na szczyt. A nadajesz się do tego jak mało kto.

Pryszczaty wzdrygnął się.

- Skąd to wszystko tak dobrze wiesz? - spytał. - To, co powiedziałeś o rodzinie?

- Bo miałem ją kiedyś. - Łazarz zamyślił się, przez chwilę zdawało się, że odpływa we wspomnienia, ale zaraz się otrząsnął. - Miałem kobietę, którą kochałem, trójkę dzieci. Żyłem na wysokim poziomie, bo pracowałem w resorcie, w którym luksus był niejako wpisany w etat.

- Szpiegostwo?

- Nie interesuj się. To nieważne. Zawsze jest coś za coś. Musiałem się narażać, miałem wielu wrogów, jawnych i skrytych. Pewnego dnia wróciłem do domu i zastałem wszystko we krwi. Żonę zgwałcili i zaszlachtowali tasakiem. Pewnie chcieli z niej wydusić, gdzie w mieszkaniu jest skrytka. Kurwa żesz mać. - Zacisnął pięści. Widać było, że przeżywa tamtą chwilę na nowo. - Trzeba było jej powiedzieć,

a nie wszystko ukrywać. Wtedy też by ją zabili, ale nie w taki sposób. Najmłodsza córeczka leżała w kałuży krwi. Obie dłonie miała obcięte. Reszta dzieciaków wyglądała jeszcze gorzej. Mordowali je na oczach matki, żeby wydobyć informacje, których nie miała.

Łazarz odetchnął głęboko, przywołał na twarz swój zwykły, cyniczny uśmiech.

- Od tamtej pory nie wiązałem się już z nikim. Straciłem serce do ludzi. Kilka lat później spotkałem kobietę, która zdawała się mi pisana. Ale... - Machnął ręką.

- Ona też zginęła? - Pryszczaty musiał zadać to pytanie. Ciekawość była silniejsza od obawy, że rozgniewa rozmówcę.

- Zginęła - przytaknął Miguła. - Wypadła z dziesiątego piętra wieżowca.

- Kto to zrobił?

- Ja, chłopcze. Zbyt głęboko chciała wejść w moje życie, zapragnęła wszystko o mnie wiedzieć, a ja wtedy już rozumiałem, że tak się nie da. Takie silne, zupełnie zbędne uczucia są gorsze od stalowych więzów, bo nie ma sposobu, aby je zerwać. Dlatego nie wolno im się poddawać nawet na sekundę. Ta, którą pokochasz, prędzej czy później stanie się twoją zgubą. Dlatego nienawidzę kobiet. Rozumiesz, co chcę ci przekazać?

Pryszczaty kiwnął głową. To wszystko było zbyt okrutne, nawet jak dla niego.

- Więc jak będzie, zabijesz tę dziewczynę? Młody gangster przełknął ślinę.

- Zastanowię się - odparł ostrożnie.

- To się zastanawiaj. Ale musisz wiedzieć jedno: szukam kogoś, komu będę mógł powierzyć wszystkie moje sprawy. A jest tego trochę. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile. To wszystko, o czym wiesz - fałszywe pieniądze, materiały promieniotwórcze, narkotyki - to w sumie drobnica. Zająłem się tym, żeby przetrwać trudny czas. Czas nagonki. Ale to się skończy, a ja też nie jestem wieczny. Poza tym muszę się liczyć z tym, że mnie kiedyś dorwą i albo zginę, albo spędzę w pierdlu resztę życia. Chcę mieć kogoś, kto będzie mi posyłał paczki i dostarczał wiadomości.

Zamilkł, wpatrując się w oczy rozmówcy. Pryszczaty musiał włożyć sporo wysiłku, żeby nie uciec spojrzeniem. Z różnymi typami miał już do czynienia. Taki świętej pamięci Czacha był straszliwym brutalnym, kimś, o kim mówi się, że jest patologicznym mordercą.

Lubił się znęcać, uwielbiał torturować, a patrząc na czyjąś śmierć, przeżywał orgazm. Jednak nawet on nie miał takich oczu.

- Tym kimś możesz być ty - powiedział po chwili Łazarz. - Mogę uczynić cię moim spadkobiercą. Dać kontakty, opowiedzieć o miejscach ukrycia ważnych dokumentów, opowiedzieć, co z tym zrobić, ile to warte milionów, a nawet miliardów. I to nie złotych, nie myśl sobie. Warunek jest jeden. Wiesz już jaki.

Pryszczaty znów tylko skinął głową. Nie mógł wydobyć słowa. Sandra była jedyną osobą na świecie, do której był przywiązany. Na samą myśl, że mógłby jej zrobić krzywdę, poczuł miękkość w kolanach.

- Wiem, że jesteś sierotą - ciągnął Łazarz, jakby czytając w jego myślach. - Wiem, że ta dziewczyna jest ci najbliższa. Jak widzisz, odrobiłem lekcje, dowiedziałem się o tobie dostatecznie dużo, żebym potrafił ocenić twoją przydatność. Do władzy i wpływów w środowisku przestępczym doszedłeś sam. Poszerzałeś sukcesywnie swój stan posiadania. Miałeś trochę szczęścia, ale przede wszystkim wytrwałości. A teraz fortuna uśmiecha się do ciebie całą gębą, bo masz mnie. Kto dał ci szansę rozszerzenia działalności na cały kraj, a nawet poza jego granice? Od kogo możesz nauczyć się więcej? Zabij ją, chłopcze. Bo dopóki wiąże ci ręce, dopóty niczego więcej ode mnie nie uzyskasz. Zabij ją i przynieś mi jej głowę, a wtedy otrzymasz klucz do bram nieba.

Roman w tej chwili pomyślał, że jego rozmówca musi być naprawdę szalony. Czy tak działa szatan, którym straszyl ksiądz na lekcjach religii? Czy to jest właśnie kuszenie?

Wiedział, że nie zastosuje się do rady Łazarza, że nie może poświęcić życia Sandry, a jednocześnie czuł, jak w jego duszę sączy się jad. Otrząsnął się.

- Muszę to przemyśleć - oznajmił. Wypowiedział te słowa głośniej, niż było trzeba.

- Przemysłiwuj - rzucił, uśmiechając się, Miguła. - Wybór należy tylko i wyłącznie do ciebie.

Pryszczaty zapragnął w tej chwili znaleźć się w domu, właśnie tam, gdzie czekała ukochana. Zawsze do niej tęsknił, szczególnie w chwilach, kiedy utoczył komuś krwi albo popełnił inne zło. Była wytchnieniem, stanowiła jakby odkupienie win. Przy niej czuł się lepszy. Ale dlaczego zatęsknił teraz? Odpowiedź nadeszła do razu. To, że w ogóle słuchał propozycji Łazarza, było gorsze od zabójstwa.

*

- O Boże - powiedziała Daria. Była blada, wyglądała, jakby przez cały dzień wykonywała niestychanie ciężką pracę. - O Boże - powtórzyła - coś takiego to nie dla mnie.

- Była pani bardzo dzielna - powiedział Wroński.

- Ale ile mnie to kosztowało! - prawie krzyknęła. Rozejrzała się i ściszyła głos. - Koszmar po prostu.

Stali w ciemnej parkowej alejce. Michał włożył do ucha słuchawkę, włączył dyktafon.

- Opłaciła się jednak ta odrobina strachu - powiedział. - Mamy garść bardzo przydatnych informacji. A pani odegrała swoją rolę po prostu znakomicie.

- Też było co odgrywać! Leżałam w tym przeklętym keczupie i modliłam się, żeby mi skóry nie zniszczył, żeby nie ściekał, gdzie nie trzeba...

- To znaczy gdzie konkretnie? - zainteresował się żywo porucznik.

- Wszyscy mężczyźni są tacy sami - podsumowała, wydymając wargi. - Myślicie tylko o jednym. Do oczu mi to cholerstwo lazło! A panu się zdawało, że gdzie?

- Właśnie tam.

- Akurat!

Michał chciał powiedzieć coś jeszcze, żeby podroczyć się z kobietą, ale nagle stanęła mu przed oczami Dorota. Z nią też lubił się sprzeczać w podobny sposób. Była inteligentna, wygadana, potrafiła się odgryźć. Zupełnie jak Daria... Nabrał głęboko w płuca chłodnego, wilgotnego powietrza. Czy kiedyś nadejdzie dzień, w którym wspomni ukochaną

bez bólu, bez uczucia ucisku w piersiach? Bez budzącego się w piersiach demona, żądającego zemsty?

- Co pan tam nagrzał? - spytała napastliwie. - Mam chyba prawo wiedzieć. Coś mi się należy za udawanie konającej kochanki pana radnego.

Wroński podał jej drugą słuchawkę. Roześmiał się na wspomnienie twarzy Legienia, kiedy radny zrozumiał, że to wszystko mistyfikacja. Gdy zobaczył zrywającą się z łóżka i pędzącą do łazienki Darię ubraną jedynie w stringi i stanik, zaniemówił. Dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że to nie jego flama, ale zupełnie obca kobieta. Rzucił się na Michała z pięściami, ale zaraz wyładował na podłodze z rozbitym nosem i krwawiącymi wargami.

- Ty gnoju - wycharczał. - Tak mnie oszukać...

- A co, wolałbyś, żeby to naprawdę była twoja kochanica?

- Ja cię... jak cię załatwię... - powtarzał radny.

- Nic nie zrobisz. - Michał podniósł z ziemi Legienia tylko po to, żeby znów go tam posłać krótkim sierpowym. - Mam nagranie. Jeśli komuś w ogóle o nim bałakniesz, pójdziesz siedzieć razem z paroma swoimi kumplami.

Daria uważnie słuchała nagranej spowiedzi.

- Ja myślałam, że w sprawę jest zamieszane pół ratusza - mruknęła na koniec. - A to tylko paru ludzi, w dodatku w większości w ogóle nie stąd.

- Tak to już jest. W którejś ewangelii stoi, że jeden zgniły owoc może zniszczyć plon znajdujący się wraz z nim w naczyniu. Z ludźmi jest tak samo. Jeden szubrawiec wystarczy, by rzucić cię na wszystkich, szczególnie jeśli ma poparcie gdzieś z góry i budzi strach, jak nasz Lesio. Zwróciła pani uwagę na to, co powiedział o kontaktach w sejmie?

- Zwróciłaś - mruknęła. - Niech już będzie „zwróciłaś”.

- Słucham? - Michał spojrział zaskoczony. W ciemnościach jej twarz miała niewyraźne, rozmazane rysy, nie mógł odgadnąć, czy to kolejny żart, czy może coś sobie przypominała.

- „Zwróciłaś” - powtórzyła głośniej. - Proszę mi mówić po imieniu. W końcu widziałeś mnie prawie nagą, w dodatku małżgałeś moje ciało tym okropnym keczupem, obkładałeś pomidorami i diabli wiedzą,

czym jeszcze, układałeś kawałki arbuza na piersiach, żeby wyglądały jak wybebeszone... Chyba nie ma sensu zachowywać oficjalnych form.

- Jasne - uśmiechnął się. - Tak będzie wygodniej. Zwróciłaś uwagę na to, co mówił o kontaktach w Warszawie?

- To było najważniejsze ze wszystkiego, prawda? Pan radny podał na talerzu swojego najlepszego przyjaciela.

- Właśnie. Ale w takim razie sprawa jest o wiele poważniejsza, niż sądziłem. To nie tylko sekta, w której główny kapłan i jego pomagierzy ugrywają swoje, płacąc łapówki miejscowym władzom, korzystając z jakiejś tam mglistej protekcji w stolicy. Mamy, zdaje się, świetnie prosperującą organizację, posiadającą naprawdę wysokie koneksje.

Daria zmrużyła oczy, zamyśliła się na chwilę.

- Zdaje się, że jesteś z tego całkiem zadowolony - powiedziała powoli. - A przecież to bardzo komplikuje sytuację. Jeśli są tacy mocni, tym trudniej będzie wyciągnąć moją chrześnicę. A może - dodała natychmiast - jest coś jeszcze na rzeczy. Tak... Chyba jednak zbyt łatwo zgodziłeś się mi pomóc. Niby nie chciałeś, niby się wykręcałeś, ale poszło dość szybko. Masz jakiś swój interes, żeby rozpracować to całe zgromadzenie. Zgadza się?

Nie odpowiadał przez kilkanaście sekund. Cisza stawała się wręcz nieznośna.

- Tak - powiedział wreszcie. - Liczę, że na terenie sekty znajdę człowieka, który może mi dostarczyć dowodów na niewinność mojego przyjaciela. Ale i tak bym pani pomógł - dodał szybko. - To znaczy tobie.

- Ale zapewne z o wiele mniejszym entuzjazmem - zauważyła gorzko. - No i ten policjant, z którym rozmawialiśmy. Czy on wie, jaki jest twój cel?

- Bardzo mgliście. To moja prywatna sprawa. Cholera. - Zacisnął dłonie. - Prywatna i nieprywatna zarazem. Bo ten mój przyjaciel... On został oskarżony o czyny, których z całą pewnością nie popełnił. Nie mógł. A wszyscy się na niego rzucili niczym stado sępów. Niech to diabli, bystra jesteś.

- Ale na pewno chcesz uwolnić także tę dziewczynę? - spytała z obawą. - Teraz, kiedy już wiesz aż tyle, nie poświęcisz jej, żeby dopiąć swego za wszelką cenę?

W głosie Darii było tyle błagania, że nie wytrzymał. Ujął ją za ramiona, potrząsnął lekko.

- Dla mnie zawsze najważniejszy jest człowiek. Wyrwiemy ją stamtąd, to przede wszystkim. A potem dopadnę tego skurwysyna... O, przepraszam - położył dłoń na ustach - wyrwało mi się.

- Nie szkodzi - odetchnęła z ulgą. - Rozumiem to wzburzenie. Milczeli dość długo.

- Chodźmy - powiedział Michał. - Trzeba wracać. Czeka mnie jeszcze jazda do Oleśnicy.

Bez słowa ruszyła za nim. Wyszli z parku na oświetloną pomarańczowym światłem ulicę.

- Dziękuję. - Ujęła go pod rękę. Drgnął zaskoczony, spojrzał na kobietę.

- Dziękuję - powtórzyła.

- Nie ma za co - mruknął niewyraźnie. Jej dotyk, nawet przez materiał kurtki, sprawiał mu przyjemność.

Aspirant Machała kręcił głową z niedowierzaniem.

- Wie pan, że nie powinienem tego słuchać - powiedział spokojnie, choć widać było, że wszystko się w nim gotuje. - Podjęliście samowolną akcję. W zasadzie dopuścił się pan poważnego przestępstwa. Uwięzienie kochanki radnego, zastraszanie, grożenie bronią... W dodatku robi pan coś takiego na urlopie, nie będąc nawet związany ze sprawą, bez upoważnienia od szefów. Toż to regularny kryminal i parę lat odsiadki. Gdyby tylko Legień się postarał...

- Może pan do niego iść i spytać, co się zdarzyło wieczorem piętnastego października - odparł lekko Wroński. - Na pewno odpowie, że przebywał w domu u boku żony, jak na praworządnego obywatela przystało.

- Z pewnością. - Sebastian zaśmiał się cicho, przymknął oczy, uspokajając rozbiegane myśli. Wskazał leżący na biurku dyktafon. - Ale to już przechodzi ludzkie pojęcie. Co za obrzydliwe skur... - zmiął w ustach przekleństwo. - Mówi się, że ryba psuje się od głowy, i to święta prawda.

- Zgadza się. Ale konsekwencje zepsucia niesłuchanie rzadko ponosi właśnie ta głowa. Bo społeczeństwo to nie ryba. Tutaj można wykonywać najróżniejsze zabiegi i przeszczepiać ten chory narząd w najbardziej wymyślny sposób. To tak, jakby wyhodował pan rybkę, która potrafi odrzucić głowę, kiedy ta zakazi całe ciało, żeby znaleźć sobie nowe. Dla naszych polityków takimi ciałami są ich partie.

- Ależ ma pan o nich zdanie!

- Mam takie zdanie o całej władzy, na wszystkich szczeblach. Tylko o ile w małym mieście rządzący robią stosunkowo małe świństwa, to znaczy relatywnie małe, bo tylko na miarę swoich dość skromnych możliwości, o tyle im wyżej, tym więcej brudu i syfu. Chociaż tak w ogóle, obiektywnie rzecz biorąc, obrzydliwość działań małych gnojków nie jest mniejsza niż tych wielkich. Grzech jest grzechem, niezależnie od skali. Nieraz miałem okazję obserwować poczynania różnych kacyków.

- Pan naprawdę aż tak ich wszystkich nie cierpi?

- Ja ich po prostu znam. Na stu przypadków może kilku uczciwych, a i to nierzadko tylko dlatego, że jeszcze nie mieli okazji konkretnie się skurwić. Ale dość o tym. Czy policja podejmie jakieś działania w sprawie sekty?

- A niby na jakiej podstawie? - rozłożył ręce aspirant. - Nagranie to może być mocny dowód, ale...

- Jest mi teraz potrzebne, a poza tym nie zamierzam wystraszyć zwierzyny przed czasem.

- Tym bardziej. Nasze podejrzenia to trochę za mało, żeby podjąć radykalne kroki. Jak pan to sobie wyobraża?

- Tak tylko zapytałem, żeby się upewnić.

Machała pchnął dyktafon w kierunku Michała.

- Co pan chce zrobić?

- Działać dalej.

- A dokładniej?

- Dokładniej nie mogę powiedzieć. Liczę jednak na to, że kiedy przyjdzie odpowiednia chwila, pomoże mi pan.

Machała skrzywił się.

- Jak pan to sobie wyobraża?

- Powiem, kiedy będzie trzeba.

- To trochę nie fair.

Wroński spojrzał rozmówcy prosto w oczy.

- A to wszystko dookoła jest niby fair? Przecież sam pan widzi, jak to wygląda, jakie siły są tutaj zaangażowane. A trzeba pamiętać, że być może mamy do czynienia jedynie z wierzchołkiem góry lodowej.

- Przeraza mnie pan - rzucił aspirant.

- Sam jestem przerażony.

- A jeśli Legień opowie Wyczenie o pana wizycie? Będzie pan zupełnie spalony.

- Nie robi tego.

- Jest pan pewien?

- Oczywiście. Gdyby chociaż słowem napomknął, że coś jest nie tak, natychmiast odetną go od źródeł dochodu... pewnie nawet zlikwidują. Jest wrednym gnojem, ale nie idiotą.

Chwilę po skończonej rozmowie Michał wyszedł przed budynek wrocławskiej komendy. Padał drobniutki, dokuczliwy deszczyk. Kiedy

tutaj jechał, za oknami autobusu królowała złota polska jesień. Jeszcze kiedy wchodził na portiernię, promienie słońca tańczyły na ścianach i chodnikach. A teraz wiatr przygnał masę ołowianych chmur. Powietrze było chłodne, ale lepkie, dalekie od rześkości, jaką daje jesienny powiew. Zimno i duszno. To coś, czego nie cierpiał. Nie wiadomo wtedy, czy zapiąć płaszcz pod szyję, czy wręcz przeciwnie. Zdecydował się więc na kompromis - zapiął tylko dolne guziki, po czym ruszył ulicą, idąc niezbyt szybko, żeby się nie zgrzać. Jednak we Wrocławiu dość trudno zachować niespieszne tempo marszu. Ludzie dookoła gdzieś biegną, wymijają, a to sprawia, że odruchowo przyspiesza się kroku. Po kilku chwilach Wroński złapał się na tym, że idzie zbyt szybko i skutek był natychmiastowy - nieprzyjemne uczucie gorąca. Zawsze miał z tym problem. Należał do tak zwanych osób zimnolubnych. Nieraz śmiał się, że reprezentuje typ północny, który znakomicie znosi niskie temperatury. Niektórzy znajomi zazdrościli mu, bo zimą, kiedy chodzili opatuleni, owinięci szalikami, on paradował w zwyczajnej skórce, ledwie zasłonięty pod szyją, z gołą głową. Co też go dzisiaj podkusiło, aby wziąć płaszcz zamiast ulubionej kurtki. Musiał przejść kawałek, żeby dostać się na przystanek, na którym zatrzymywały się wahadłowe autobusy relacji Wrocław-Oleśnica.

Dotarł do przejścia podziemnego pod placem Dominikańskim. O tej porze ludzi było dużo, samochody stały w korkach. Wrocławianie są przyzwyczajeni do utrudnień komunikacyjnych. Każda informacja o pracach drogowych od niepamiętnych czasów wywoływała tu jedynie uśmiech niedowierzania i politowania. Kierowcy dużych pojazdów mieli nieco ułatwione zadanie, poruszając się w godzinach szczytu - wpuszczali się nawzajem, bardzo często po koleżeńsku trzymali dla siebie drogę, mogli też liczyć na bardziej uczynnych kierowców osobówek, którzy dawali pierwszeństwo autobusom, rozumiejąc, że siedzący za kółkiem wykonuje przecież swoją pracę. Było też, oczywiście, sporo chamów, wciskających się w każde wolne miejsce, ale tacy znajdują się zawsze i wszędzie.

- To ten - usłyszał głos z tyłu, kiedy zszedł po schodach.

W pierwszej chwili nie zwrócił uwagi na te słowa. Dopiero kiedy ujrzał dwóch rosyłych młodych mężczyzn, zaniepokoił się. Chciał się

zatrzymać, przepuścić ich, ale wtedy ktoś dźgnął go w plecy czymś cienkim i twardym. Mógł to być sękaty palec osiłka, ale równie dobrze lufa pistoletu. Wciągnęli go do maleńkiego pomieszczenia, trzasnęły drzwi, zaszumiała roleta. To było jakieś biuro. W tym miejscu dawniej wynajmowano lokale na sklepiki, bary kanapkowe i podobne usługi. Ostatnio zaś pełno było w centrum biur podróży.

- Czego chcecie? - spytał Wroński.

Zamiast odpowiedzi otrzymał cios w żołądek. Zgiął się, a wtedy kant pięści spadł mu na kark. Uderzenie rzuciło go na kolana.

- Nie wpięprzaj się w nie swoje sprawy - warknął ten, który eskortował porucznika, idąc z tyłu. Przed oczami Michała pojawiło się lśniące ostrze składanego noża, nazywanego motylkiem. To zapewne rączka tego przedmiotu udawała lufę broni palnej. Szkoda jednak, że nie zaryzykował ucieczki. - Jak będziesz za bardzo węszył, możesz nie pożyć zbyt długo - kontynuował bandzior. - Nakarmimy tobą rybki.

- O co chodzi? - wychrypiął Wroński.

Czuł się, jakby za chwilę brzuch miał mu eksplodować. Zarejestrował metaliczne lśnienie na palcach jednego z napastników. Kastet! Miał nadzieję, że gnojek nie uszkodził mu czegoś w środku.

- O co chodzi, pytasz, skurwysynu? Dobrze wiesz, o co! Słowem towarzyszyły kolejne razy. Michał ciężko przewrócił się na bok, żeby kopnięcia lądowały głównie na żebrach i przedramionach. Nie uniknął jednak kilku uderzeń w głowę i pachwinę. Wreszcie skończyli.

- Obszukajcie go - padło polecenie.

Przewrócili porucznika na plecy, brutalnie, drąc szwy wokół kieszeni, zaczęli je przetrząsać.

- Niczego ni ma. Tylko portfel, ale w środku cienizna. Bidak jakiś.

- Państwowym, kurna, słabo płacą - padła pouczająca uwaga.

Michał próbował wstać. Kolana mu drżały, oddychał z trudem, w ustach czuł smak krwi.

- Przekażcie radnemu, że to nie jest dobry sposób.

Bandyta z boku zamachnął się, ale szef, ten z „motylkiem”, powstrzymał go.

- Komu mam to niby powtórzyć?

- Nie udawaj. Nasłał was Legień. Powiedz mu, że jeśli nie chce, aby nagranie trafiło w widoczne miejsce, ma odpuścić. A wy, chłopcy, wracajcie lepiej do swojego miasteczka.

- Nie wiem, o czym gadasz - warknął „motylek”. - Jesteśmy z Wrocławia i nie znamy twojego radnego.

- Nie pieprz. - Michał usiłował się uśmiechnąć, jednak rozbite wargi zbyt bolały, aby mogło się to udać. - Po co mnie przeszukiwaliście?

- Nie lubimy takich, co przyjeżdżają i od razu się zadają z psami. Byłeś na komendzie. Żeśmy widzieli.

- Jasne. Ale nie jesteście stąd. Gdybyście byli, nigdy nie bralibyście mnie w przejściu. Lepiej na ulicy. Tutaj są zamontowane kamery. W każdej chwili może się zjawić patrol.

Bandyci spojrzeli po sobie niepewnie. Wyglądali niczym trojaczki - wszyscy krótko ostrzyżeni, szerocy w barach, o tępych twarzach.

- Gówno prawda - powiedział jeden.

- Tu jest kantor, bar zapiekankowy, wejście do Galerii Dominikańskiej. Naprawdę myślicie, że w takich miejscach nie instaluje się kamer?

- Ten pan ma rację - wtrącił drżącym głosem mężczyzna zza biurka obłożonego folderami. Michał dopiero teraz zauważył, że jest tutaj ktoś jeszcze. - Wszystko monitorowane.

- Spadamy - rozkazał „motylek”.

Zanim wybiegli, ten z kastetem uczynił ruch w stronę Michała. Porucznik wykonał unik i skontrolował. Trafił tamtego prosto w nos. Buchnęła krew. Bandzior wypadł za drzwi, klnąc głośno.

- Dziękuję - powiedział Wroński.

- Czym im się pan naraził?

- Im niczym. To tylko sługusy kogoś, komu się zdaje, że ma bardzo długie ręce.

Cieszył się, że zachował wszelkie środki ostrożności, aby Legień nie zobaczył twarzy Darii. W tej chwili groziłoby jej niebezpieczeństwo, bo radny zapewne gotów jest poruszyć niebo i ziemię, żeby dopaść sprawców swojego upokorzenia. Jedno Michał musiał przyznać - działał szybko. Gdyby poświęcił choć część zdolności organizacyjnych dla tak zwanego powszechnego dobra, można by mu po latach postawić pomnik.

- Wezwać pogotowie? - spytał z troską właściciel biura.

Michał potrząsnął głową. Nadchodził ból. Znajome, znieawidzone uczucie, kiedy od czoła aż po potylicę nasuwa się mdlący kask. To nie był objaw wstrząśnienia mózgu - zbyt słabo oberwał. Ale czasem tak się zdarzało po treningach dżudo, kiedy lądował na macie.

Także po długim pobycie w basenie przychodziły napady migreny. Kiedy się skarżył Jackowi, ten śmiał się. „Migrenę to może mieć pan hrabia albo jaśnie pani. A was, dobry człowieku, łeb zwyczajnie napierdala”.

- Wezwać pogotowie? - powtórzył pytanie mężczyzna za biurkiem.

- Nie trzeba. Poradzę sobie.

- To zadzwonię na policję.

Wroński skrzywił się.

- I co im powiemy? Że zostałem napadnięty właśnie u pana? Zaraz zaczną się interesować, dlaczego wybrali akurat to miejsce. Może coś pana z nimi łączy? Może udostępnia pan ten lokal gangom do załatwiania porachunków?

- No co też pan opowiada! - oburzył się gospodarz. - To nie jest pojęcie.

Porucznik uśmiechnął się. Ból w wargach zmniejszył się już na tyle, że mógł to zrobić. Jeszcze trochę pulsowały, ale wiedział przynajmniej, że nie nabawił się takich urazów, że czekał go szpital. Nie cierpiał być szyty. Wolał już stłuczenia, nawet poważniejsze, niż pojedynczy szew.

- Przecież nie mówię tego, co myślę - wyjaśnił - ale tak mogą kombinować gliniarze. Niech mi pan wierzy, można wśród nich spotkać naprawdę fajnych facetów, ale nieraz w patrolach chodzą straszne głaby, na dodatek okropnie podejrzliwe. Jak się ma pecha i trafi na takich, to z ofiary kradzieży zrobią sprawcę.

- Ale...

- Potrafi pan zidentyfikować tych typów? Zakładając, że mają w ogóle ich zdjęcia w kartotece.

- Oczywiście!

- Tak się panu teraz zdaje. Ale kiedy zacznie pan oglądać katalog z takimi łysolami i dresami, zaraz pojawią się wątpliwości. Oni wszyscy wyglądają, jakby ich odbijali od sztancy. A jak już tutaj zaczną panu

węszyc policjanci, krok tylko do kontroli skarbowej i takich tam różnych.

Tym razem Wroński trafił. Właściciel biura stracił nieco zapał.

- Może ma pan trochę racji - mruknął. - I tak bym ich nie dał rady rozpoznać...

- A do tego nie ma ich fotek w aktach wrocławskich i trzeba by jechać do jakiegoś Brzegu, Trzebnicy albo innej podobnej miejsciny.

- Właśnie - odetchnął z ulgą gospodarz. - Ale jest pan pewien, że...

- Jestem pewien. Dziękuję za pomoc

*

Pryszcłaty wpatrywał się w upstrzony gwiazdami sufit. Na ciemnognatowym tle błyszczały chyba wszystkie najważniejsze konstelacje. To był pomysł Sandry, jej wielkie pragnienie. Jemu samemu specjalnie się to nie podobało. Naoglądał się rozgwieżdżonego nieba, kiedy uciekał z domu dziecka, nocował na parkowych ławkach albo gdzieś w polu, zagrzebany w kopie siana. Ale życzenie tej dziewczyny zawsze było dla niego rozkazem. Od chwili, kiedy się poznali, nie odmówił jej niczego z wyjątkiem jednej rzeczy - nigdy nie powiedział prawdy o tym, w jaki sposób zarabia pieniądze. Nie dlatego, żeby jej nie ufał. Przeciwnie, miał pewność, iż jest to jedna z nielicznych osób na świecie, które nigdy go nie zdradzą. Nie chciał jej po prostu niepokoić. Chociaż, gdyby miał być sam ze sobą całkowicie szczerzy... raczej wstydził się. Mógł przypuszczać, co ukochana powie, jeśli się dowie, że jej mężczyzna jest kimś, kogo do niedawna śmiało można było nazwać gangsterem, a od niedawna regularnym mafiosem. Myśli na chwilę uciekły w stronę ostatnich zdarzeń.

Bankowiec został wreszcie rzucony na głęboką wodę. Miał skierować wolne środki w inwestycje i zakupić akcje na giełdzie. Dopóki się nie nauczy wszystkiego, co trzeba, chłopaka będzie pilnował Janek. Bankowiec jest zdolny, szybko złapie co i jak. Dobrze, że kiedyś przygarnął tego mikrogo chłopaczka, niewiele wartego w ulicznych walkach. Uratował go z rąk bandy wyrostków, stanowiących narybek śródmiejskiej organizacji. Wtedy zupełnie nie wiedział, dlaczego to zrobił, gdyż zasadniczo nie miał nic przeciwko

małemu mordobiciu i to niezależnie, czy sam w nim uczestniczył, czy był tylko widzem. Może sprawiły to oczy chłopaka - wielkie, przerażone, ale jednocześnie jakieś dziwnie twarde. Bankowiec nie pokorniał, nie próbował wzbudzać litości w prześladowcach. Przyjmował ciosy z dziwną godnością. Tak, kiedy Pyszczyty o tym myślał, uznał, iż właśnie dlatego wpadł ze swoimi chłopakami między gównażerę i rozsmarował gębę ich przywódcy na chodniku. Od tamtej pory Bankowiec stał się nieodłącznym towarzyszem, a jego wierności Pyszczyty mógł być stuprocentowo pewny.

- Nie śpisz? - zamruczała Sandra. Przytuliła się do niego mocniej, poczuł jej oddech na szyi.

Nie odpowiedział. Nie miał ochoty na rozmowę, a gdyby się zorientowała, że czuwa, chciałaby mu dotrzymać towarzystwa, nie zważając na ciężące powieki. Była dobra, co do tego Pyszczyty nie miał nigdy wątpliwości. Prawdziwie dobra, emanowało z niej wewnętrzne piękno. Ta dobroć zapewne nie pozwalała jej żywić najmniejszych podejrzeń w stosunku do partnera. A on wracał z mokrej roboty wprost w jej objęcia i kochał się z nią tak mocno, że graniczyło to z szaleństwem. I wcale mu nie przeszkadzało, że niedługo przedtem gościł wraz ze współpracownikami w domu publicznym. Sandra to było coś innego. Tak, jakby cały brud zostawał za progiem, jakby do mieszkania wchodził inny człowiek, zupełnie odmieniony Romek.

Znów zapatrzył się w sufit. Malarz był zdumiony, kiedy składali zamówienie. Patrzył na nich jak na wariatów, rzucił zgryźliwą uwagę, bo Sandra wręczyła mu uproszczoną mapę nieba z zaznaczonymi barwami poszczególnych gwiazd. Miał je wykonać lekko fosforyzującymi farbami, dokładnie według projektu. Kosztowało to majątek, ale dziewczynę zachwycił efekt. A ponieważ ona była zadowolona, Pyszczyty bez mrugnięcia uścił rachunek. Tyle że potem kazał chłopakom dać malarzowi nauczkę. To była zemsta za ironiczne spojrzenie i drwiące słowa. Sandra była zdumiona i zupełnie zszokowana, kiedy rzemieślnik przyszedł z ręką w gipsie i siną twarzą, aby przeprosić za swoje zachowanie.

Pyszczyty oczywiście udawał zdziwionego, wcisnął przerażonemu człowiekowi do kieszeni dodatkowe tysiąc złotych. „Na leczenie”.

- Jakiś ty dobry - zachwyciła się dziewczyna. - Ten biedak miał chyba jakiś wypadek.

- Może spadł z drabiny. - Roman miał ochotę się roześmiać, ale przecież nie mógł. - Malowanie to niebezpieczna praca, a malowanie sufitów w szczególności. Ciągłe zadzierasz głowę. Podobno mogą się wtedy blokować żyły, następuje niedotlenienie. A wtedy siup z drabiny na podłogę i złamanie gotowe.

- Ty kpisz - oburzyła się - a on taki poturbowany. Ale ty jesteś dobry. - Przytuliła się do niego. - Te pieniądze powinny mu wystarczyć na trochę.

- Powinno mu w zupełności starczyć, co z nas złupił - mruknął pod nosem.

- Co mówiłeś? - uniosła ku niemu twarz.

- Że masz całkowitą rację.

Przy Sandrze nie kłął. Nigdy. Nawet gdy się uderzył młotkiem w palec i zaczęła lecieć krew, pozwolił sobie tylko na bardzo oględny komentarz, chociaż miał ochotę bluzgać na cały świat. Dziewczyna nie cierpiała kuchennej łaciny, a on pragnął, by go kochała tak samo mocno, jak on ją. Dla niego porzuciła dom, nie zważając na błagania rodziców, wyjechała z ukochanej Łodzi. Dla niego wyrzekła się kontaktów z bliskimi. Jej ojciec był szanowanym lekarzem, matka pracowała w biurze projektowym. Nie życzyli sobie, aby córka wiązała się z jakimś przybłądą, o którego pochodzeniu niewiele było wiadomo. Bankowiec nazywał ich pieprzonymi mieszczuchami. Roman określał ich o wiele mocniej, ale nigdy nie powiedział przy dziewczynie złego słowa na ten temat. Nie zasłużyła sobie.

Pogładził ją po długich, miękkich włosach barwy starego złota. Pachniały delikatnie czymś, co przywodziło na myśl krem waniliowy, a może jabłka z cynamonem... Dbała o włosy, wiedząc, jak bardzo jej mężczyzna lubi ich dotykać. Palec Pyszczonego powędrował w dół, okrągłym ruchem ominął ucho, znalazł się pod brodą. Sandra poruszyła się lekko, westchnęła przez sen. „Zabij ją” powiedział Łazarz. Dla niego może byłoby to proste, ale czy on miał jakieś ludzkie uczucia? Czy w ogóle był człowiekiem? Po ostatniej rozmowie Romek czuł się, jakby przebywał z obcym - kosmitą, którego sposób myślenia jest zupełnie niezrozumiały.

- Ciebie miałbym zabić? - mruknął, przyglądając się ceniom, które na policzki uspionej rzucały niezwykle długie rzęsy. - Ja ciebie? Ten facet oszalał. I ja sam musiałbym oszaleć, żeby zamienić twoje życie na jego tajemnice, na całe bogactwo, jakie może mi zaofiarować.

Dużo rozmyślał o słowach Łazarza. Dla kogoś, kto postanowił wieść życie obok prawa i poza nim, perspektywa przejścia schedy po takim mistrzu była niezwykle kusząca.

Stary musiał mieć dojścia dosłownie wszędzie, na całym świecie, a przynajmniej w większej jego części. Nie jest tak łatwo znaleźć kontakty, aby sprawnie upłynnić każdą ilość trefnych towarów. Pryszczaty wiedział o tym doskonale, bo jemu znalezienie porządných, pewnych punktów zbytu wydawało się kiedyś drogą przez mękę. Dystrybucja szła jakoś, ale kanały co chwila się zatykały, trzeba było kombinować, magazynować gorący towar, starać się zdobywać nowych kontrahentów. A ledwie zjawił się Łazarz, robota ruszyła z kopyta.

Natychmiast zgłosiło się kilku poważnych ludzi z kraju i z Niemiec, a nawet jeden Czech.

Pewien prywatny bank udostępnił swoje konta i bankomaty, żeby puszczać w obieg zarobione na lewo pieniądze, stanowiące sumy, które mogły się wydawać niebotyczne komuś, dla kogo przez całe życie kilkaset tysięcy złotych było szczytem marzeń. To Łazarz sprowadził transporty uranu i plutonu, to on pod względem logistycznym zorganizował przerzuty, ustalił, komu i ile trzeba dać w łapę, żeby interes się kręcił. Do tej pory Roman nawet z grubsza nie zdawał sobie sprawy, jakie pieniądze wiążą się z materiałami rozszczepialnymi. Ale nawet nie o same pieniądze tu chodziło. Przemysłowcy tego towaru stanowili osobny, zwarty klan.

Można było mieć do nich w interesach pełne zaufanie. Nic dziwnego - taką działalność muszą prowadzić ludzie, którzy nie przestraszą się byle czego, muszą w razie wpadki liczyć się z najsurowszymi konsekwencjami, w tym torturami w celu wymuszenia zeznań i bezprawnym wyrokiem śmierci bez sądu, bez możliwości wykorzystania kruczków prawnych. Dopiero teraz do Pryszczatego dotarło, że przecież nieraz słyszał w radiu i telewizji o procesach handlarzy narkotyków, żywym towarem, fałszywymi dokumentami i

pieniężmi. Nie tylko zresztą słyszał o tym w mediach, ale dochodzenia i wyroki miało kilku jego znajomych.

Jednak niesłuchanie rzadko mówiono o sprawach przemytników materiałów promieniotwórczych. A przecież handel kwitł, na pewno zdarzały się wpadki, z całą pewnością policja wszystkich krajów miała z tym sporo roboty. Zapewne z jednej strony władze wołały nie ujawniać podobnych informacji, bo dotyczyły one kwestii bezpieczeństwa, a z drugiej także świat przestępczy wołał, by o tym głośno nie mówić. Może chodziło o takie ciche porozumienie... a raczej nie tyle porozumienie, co pewną zbieżność interesów. Im ciszej, tym bezpieczniej. Dla wszystkich zainteresowanych stron.

- Nie śpisz - stwierdziła nieoczekiwanie przytomnym głosem Sandra. Pewnie poruszył się, pogrążony w rozmyślaniach. - Coś się stało?

- Nic - uśmiechnął się. Jego palec wciąż spoczywał pod jej brodą. Kiedy uniosła nieco głowę, powędrował na krtań. - Wiesz, że gdybym teraz mocniej przycisnął, mógłbym cię udusić?

- A chciałybyś? Już ci się znudziłam? - spytała z udawanym smutkiem.

- Ależ skąd! - zaprotestował mocniej, niż wymagała tego sytuacja. Zmieszał się nagle, bo w głowie znów zabrzmiały słowa Łazarza. - Nigdy bym cię nie skrzywdził, wiesz przecież!

Przeciągnęła się niczym przebudzona, zadowolona kotka.

- Może się czegoś napijesz? Zrobię twój ulubiony koktajl.

- Jesteś aniołem - przytulił ją mocno.

Słuchał, jak dziewczyna krząta się po kuchni. Po chwili cicho zahaczał mikser.

Wróciła z dwoma pucharkami, w których buzowała mieszanka truskawek, ananasa, śmietanki i przypraw. Tyle że jego porcja była dodatkowo zaprawiona tequila.

- Mam nadzieję, że mój pan i władca jest zadowolony - z unizonym ukłonem podała mu napój.

- Owszem.

- A czy mogę spełnić jeszcze jakieś jego życzenia?

- Coś wymyślimy - pociągnął łyk. - Na razie usiądź przy mnie.

Posłusznie zajęła miejsce na skraju łóżka. Miała miękką, jedwabistą skórę bez skazy, jedynie pod lewą łopatką widać było mały pieprzyk. Dokładnie na takiej wysokości, na jakiej należałoby wbić nóż pod kątem prostym, żeby ostrze przebiło serce. Niechciana myśl przebiegła przez głowę Romka. Odetchnął głęboko.

- Kocham cię - powiedział.

- Ja ciebie też...

*

- Próbowałam - powiedziała Daria. Miała smutne oczy, opuszczone ramiona. - Naprawdę próbowałam, ale siostra nie chce nawet słyszeć o rozmowie z kimś obcym.

Michał spodziewał się takiej reakcji. Po zejściu z bandytami naślany przez Legienia zadzwonił do Darii z prośbą, aby mimo wszystko porozmawiała z siostrą na temat pomocy dla córki. Do Legienia też zresztą zatelefonował. Po tej rozmowie radny chyba wreszcie zaczął się naprawdę bać. Wroński bowiem nie silił się już na ironię czy udawaną uprzejmość, ale zwięźle zapowiedział mu, jakich może spodziewać się konsekwencji. Radny warczał, odgrażał się, ale w końcu wyraźnie spuścił z tonu i sflaczał. Nastąpiło to po tym, jak Michał kazał mu odczytać plik przesłany na adres mailowy, który można było znaleźć na stronach urzędu miasta, po czym rozłączył się i po kilkunastu minutach zadzwonił ponownie. Był to urywek rozmowy opatrzony wstępem i komentarzem porucznika.

- Jeśli coś mi się stanie, pewien notariusz przekaże nagranie, komu trzeba.

To „komu trzeba” w pierwszej chwili nie zrobiło na Legieniu większego wrażenia.

Dopiero kiedy Michał uświadomił mu, że wyrażenie „kto trzeba” to nie tylko prokuratura, ale przede wszystkim kumple i mocodawcy radnego, nastąpiła pełna kapitulacja.

- Wyobrażasz sobie, co z tobą zrobią, jeśli się dowiedzą, jak łatwo ich wszystkich sprzedałeś? Ty przecież byś im nie darował, więc i tobie nie odpuszczają.

Daria wyjęła z kieszeni chusteczkę. Porucznik z roztargnieniem patrzył, jak wyciera sobie oczy.

- Nie przejmuj się - powiedział, kładąc rękę na jej dłoni. Siedzieli w tej samej kawiarni, w której dwa dni wcześniej spotkali się z Machała.

- Dlaczego tak jest? - spytała z żalem. - Przecież chcemy tylko jej dobra, pragniemy pomóc. A ona zachowywała się, jakbym była jej wrogiem.

- Kiedy człowiek boi się tylko o siebie, łatwiej mu to przezwyciężyć niż wtedy, gdy przeżywa lęk o dziecko. Sam tego doświadczyłem.

- Ja nigdy nie miałam dzieci - odparła - więc nie wiem, jak to jest. Chciałam urodzić, ale nie wyszło. Pierwszy mąż był za wygodny, drugi okazał się bezpłodny, a z trzecim rozeszłam się, zanim zdążyliśmy pomyśleć o czymś poważniejszym.

- Miała pani... Miałaś aż trzech mężów?

- Dlaczego „aż”? - spytała przekornie. - Niektórzy mają żonę i trzy kochanki jednocześnie, a mnie żałujesz trzech legalnych partnerów? Poza tym żyłam jak zakonnica.

- Ciekawy zakon sobie wybrałaś - mruknął, zadowolony, że zapomniała o łzach. - Trzeba się ciebie bać.

- Dlaczego? - uniosła wysoko ładnie zarysowane brwi.

- Może jesteś kolekcjonerką męskich serc?

- Raczej męskiej złości. Ze wszystkimi rozstałam się dość gwałtownie i w bardzo nieprzyjemnej atmosferze.

- A to z jakiej przyczyny?

- Jakoś tak mi się za każdym razem zdarzało, że moi wybrańcy prezentowali typ niewyżytego koguta. Wiesz, o czym mówię?

- Wiem. Bardziej im smakowały kokoszki z zagrody sąsiada.

- Tak jest. A wracając do tematu, własnych dzieci nie mam. Może dlatego tak bardzo jestem przywiązana do chrześnicy.

Michał patrzył na nią dość długo. Coś mu przychodziło do głowy, wiedział, że powinien zadać jakieś pytanie. Jednak bliskość Darii, dolatujący od niej zapach dobrych perfum, trochę go dekoncentrowały. Drgnął, bo zorientował się, że wciąż trzyma rękę na jej dłoni, i niechętnie oderwał się od gładkiej skóry.

- Co się stało? - spytała zaniepokojona. Lekko się zaczerwieniła. Najwyraźniej do niej także dopiero w tej chwili dotarło, że przez dobrą minutę wyglądali jak para zakochanych.

- Nic, ja tylko... - zaczął i nagle uświadomił sobie, o co powinien zapytać. - Jak właściwie ma na imię ta twoja chrześnica? Rozmawiamy o niej tyle razy, a nigdy tego nie powiedziałaś.

- Pewnie dlatego, że siostra zaklinała mnie tysiącrotnie, żebym nikomu nie mówiła. To taki odruch. Jak to czasem nazywają - wdrukowanie.

- Może w końcu jednak powiesz.

Daria przymknęła oczy, przez jej twarz przeleciał grymas przykrości i żalu.

- Ewelina - szepnęła.

- Ewelina - powtórzył. - A dalej?

- Ewelina Kobrzycka.

Michał widział, że kobietę sporo kosztuje samo wspomnienie o dziewczynie.

- Może jednak masz pojęcie, jak to jest martwić się o własne dziecko - mruknął.

Nie odpowiedziała, podniosła filiżankę, upiła łyk parującego espresso.

- Co teraz? - zapytała, odstawiając kawę.

- Najpierw muszę z kimś jeszcze pogadać, a potem jadę do Warszawy - odpowiedział, lekko wzruszając ramionami. - Nic mądrzejszego nie potrafię wymyślić.

- Jedziemy - poprawiła go.

- Nie. To wykluczone. Tam w niczym mi nie pomożesz, a tylko... - urwał i spojrzał na nią bystro. - Tylko się niepotrzebnie zmęczysz podróżą.

- Tylko będę przeszkadzać, to chciałeś powiedzieć - skonstatowała bez złości. - Mogę się jednak przydać, chyba już się o tym przekonałeś.

- Nie - pokręcił głową z grobową miną. - Ta sprawa robi się coraz bardziej niebezpieczna. Jeśli mnie utną łeb, postarasz się dziewczynę jakoś wydobyć przy pomocy Machały. Jak się do niego naprawdę ładnie uśmiechniesz, nie będzie się zaślaniał przepisami.

- Co ty mówisz... - zaprotestowała.

- Daj spokój. Widziałem, jakie wrażenie na nim zrobiłaś. Gdybyś została sama, zupełnie osamotniona, jego rycerskie serce natychmiast zmięknie.

- Przesadzasz - powiedziała poirytowanym tonem, ale Michał widział, że jego uwagi sprawiły jej przyjemność. - A co może ci się w tej Warszawie stać?

Rozłożył ręce.

- Któż może wiedzieć, jaki człowieka czeka los - rzekł sentencjonalnie. - Jest takie powiedzenie, że jeśli się idzie do bitwy, trzeba tam zanieść także swoją głowę.

- O jakiej bitwie mówisz? Co właściwie zamierzasz?

- To tylko takie powiedzenie. Ale też nie do końca, tylko... Chyba zdążyłaś się już zorientować, że nie mamy do czynienia z drużyną harcerską bawiącą się w podchody.

Zacisnęła usta a, oczy jej pociemniały.

- Zauważyłam. To muszą być straszni ludzie. A ten, którego szukasz...

- Jeśli wydawało ci się, że radny Legień to gnój, swołocz i obrzydliwiec, to musisz wiedzieć, że przy tym, którego chcę dopaść, jest niewinną panienką.

Otworzyła szerzej oczy, wyraźnie poruszona.

- Żeby tylko twoja zemsta nie odbiła się na Ewelinie - zamruczała bardziej do siebie niż do niego.

- Nie bój się, najważniejsze to uwolnić dziewczynę i, jeśli się tylko da, skończyć z tym całym cyrkiem Świątyni Nowego Kościoła.

- Właśnie boję się, że możesz zapomnieć o wszystkim, kiedy poczujesz trop. Nie gniewaj się, ale czasem przypominasz polującego gończego psa. Nie, źle powiedziałam: nie psa, ale wilka. Gdy mówisz o tym swoim wrogu, rysy ci się wyostrzają, tak jakby twarz miała wydłużyć się w zwierzęcy pysk.

Roześmiał się głośno, nie zważając na jej gniewne syknięcie i zdziwione spojrzenia gości przy stolikach.

- Widzisz, jaki ze mnie wilkołak? - rzucił lekkim tonem, choć w sercu poczuł ciężar. Zaraz spowaźniał. - To nie takie proste. Ja tego człowieka naprawdę potrzebuję przede wszystkim po to, aby uratować przyjaciela.

- Tak, wiem. Ale czy to nie przesłoni ci...
- Przestań już - zirytował się. - Nie dość, że zgodziłem się pomóc, to jeszcze muszę wysłuchiwać takich uwag.
- Przepraszam - spuściła oczy.
- To ja przepraszam. - Pochylił się ku niej. - Jestem ciągle nakręcony, zdenerwowany. Przeżycia sprzed kilku miesięcy wciąż jeszcze potrafią mną mocno targnąć.

Skinęła głową i znów sięgnęła po chusteczkę. Michał westchnął w duchu. Prawdziwa fontanna na zawołanie, pomyślał ze złością, czując, że serce znów mu mięknie. Nie trzeba nawet wrzucać monet...

- Powiesz mi przynajmniej, z kim się chcesz spotkać, zanim wyjedziesz?

- Powiem.

- A dowiem się, co zamierzasz robić w tej Warszawie?

- Z grubsza - na pewno. A jeśli będziesz grzeczna i ładnie się uśmiechniesz, może powiem ci nawet coś więcej.

*

Niczym cień podążał za tym człowiekiem ulicami skąpanymi w światłach lamp, neonów i samochodowych reflektorów. Moskwa była zabiegana, zdyszana jak zwykle o tej późnej popołudniowej godzinie. Tłumy ludzi wlewały się do metra i wylewały z niego.

Obserwowany także zszedł pod ziemię. Mężczyzna, który go śledził, bardzo uważał, żeby nie rzucać się w oczy. Zjechał schodami, przepuszczając przed sobą kilka osób i nie śpiesząc się, wszedł na peron. Moskiewskie metro bardziej przypominało twierdzę niż cokolwiek innego. Nawet wspaniałe, marmurowe wykończenie niektórych stacji nie mogło tego ukryć. Te, które zbudowano w czasie zimnej wojny, skonstruowane zostały tak, by mogły służyć jako schron w razie konfliktu nuklearnego. Uważny obserwator, wchodząc na peron, bez trudu mógł zauważyć obrysowany w podłodze kształt, którego szczeliny dokładnie pasują do wymiarów mijanego właśnie wejścia. To coś w rodzaju grodzi na statku - można odciąć podziemne korytarze od powierzchni. Jeśli kiedyś ludzkość doprowadziłaby do samozagłady, korzystając z arsenału atomowego, ten, kto znajdzie się

w tym momencie w metrze, może mówić o szczęściu. Mężczyzna uśmiechnął się gorzko w duchu. Szczęściu? Czy aby na pewno? A cóż to niby za wielkie szczęście, patrząc na to z drugiej strony? Zagłada w tym miejscu nadejdzie po prostu nieco później. Przecież nikt nie zapewni masie ludzi aprowizacji ani obrony przed agresywnymi współtowarzyszami niewoli. A w dodatku swoje zrobią legendarne szczury, zamieszkujące tunele, a czasem wychodzące bezczelnie na perony. Niesamowitej wielkości zwierzęta, przerażające, zorganizowane o wiele lepiej niż jakiś spanikowany tłum... Sam tego nigdy nie widział, ale wielu ludzi mówiło mu, że te stworzenia osiągają rozmiary dużego kota, a nawet psa. Nawet jeśli było w tym trochę przesady, szczury i tak pozostawały realnym zagrożeniem dla kogoś, kto w tym miejscu zostałby odcięty.

Stał wpatrzony obojętnie w plecy jakiegoś urzędnika z czarną teczką. Obiekt znajdował się siedem, osiem kroków po prawej, zwrócony w stronę toru, na który za chwilę powinien wjechać pociąg jadący w kierunku Kwiatowego Bulwaru. Chwilę wcześniej rozległ się po drugiej stronie cichy świst i pojawił się skład jadący w przeciwnym kierunku. Obiekt ziewnął szeroko, zasłaniając niedbale usta. Jedni pasażerowie wysypali się z pociągu, inni przeciskali się do środka, przez chwilę panowało niewielkie zamieszanie. Lekki podmuch powietrza zwiastował pojawienie się właściwego składu. Nagle obserwowany człowiek odwrócił się i wskoczył do wagonu. Ten, który podążał za nim, zawahał się na mgnienie oka, a potem poszedł jego śladem, wybrał jednak inne wejście. W środku przecisnął się do drzwi na końcu wagonu i stanął przy szybie. Odetchnął z ulgą. Zobaczył tego, którego śledził: stał swobodnie, uwieszony lewą ręką na poprzeczce pod sufitem. Pociąg rozpędzał się, mknął w ciemnościach tunelu. Nagle obiekt poruszył się niespokojnie. Obserwator uciekł spojrzeniem w samą porę, żeby uniknąć wzroku tamtego. Mężczyzna ruszył ku przejściu. Nie śpieszył się, ostrożnie przechodził obok współpasażerów. Człowiek przy szybie stanął bokiem, lekko odwrócony tyłem, jakby zupełnie nie interesował go widok sąsiedniego pomieszczenia. Drzwi otworzyły się.

- Przepraszam - rozległ się cichy, niski głos.
- Proszę bardzo.

W tej chwili wagonem zarzuciło. Przechodzący poleciał całym ciężarem na mężczyznę, który go obserwował.

- Najmocniej przepraszam.

- Nie szkodzi...

Potrącony nie dokończył. Poczł straszliwy ból tuż nad biodrem. Ból, który sprawił, że stracił oddech, nie mógł wydobyć słowa.

- Pozdrowienia od Panajewa, glino.

Drugie ułucie, tym razem w okolicach nerek, nie było już tak bolesne, ale za to odebrało mu całą energię. Mężczyzna czuł, że długie, cienkie ostrze zagłębia się bezlitośnie na skos ku górze, aby zatrzymać się gdzieś w okolicach serca. Przelotnie pomyślał, że to zimno, które pełźnie od stóp, jest jeszcze gorsze niż świadomość zbliżającej się śmierci.

Skład właśnie wjeżdżał na stację, ludzie patrzyli na widok za oknami. Dlatego dopiero po chwili jakaś kobiecina w chustce zauważyła, że mężczyzna przy przejściu chwieje się, a potem opiera ciężko o ścianę i powoli osuwa na podłogę.

- Patrzcie - szturchnęła siedzącą obok znajomą - ledwie się robota skończyła, a taki już zdążył się urząnąć.

- A cholera go wie, Marfo Antonowna. Może w pracy się ubzdryngolił? Wypłatę dostał albo jakąś premię. Mój stary, jak mu co skapnie więcej, trzy dni do domu potrafi nie wracać, swołocz, dokąd wszystkiego nie przechła. Takie te chłopcy są.

- Tam żoneczka pewnie czeka, martwić się będzie, denerwować. Co za ludzie!

Mężczyzna gasnącym spojrzeniem odprowadzał zabójcę, który wysiadł, nie oglądając się na ofiarę. Chciał coś powiedzieć, poruszył ustami, ale straszny ból nadal nie pozwalał mu złapać tchu. Czuł, że serce bije coraz wolniej. Czym go zabito? Szpikulcem do lodu?

Znakomita broń. Ostrze sprawia, że następuje krwawienie wewnętrzne, a niewiele płynu wycieka przez ranę. Zanim ktoś zauważy, że milicjant nie żyje, może minąć jeszcze kilkanaście minut. Albo i więcej. Rosjanie są przyzwyczajeni do pijaków, którzy sypiąją w najróżniejszych miejscach.

Z żalem pomyślał, że na końcu podróży po tym świecie towarzyszą mu właśnie takie rozważania. I takie słowa, jakie padały z ust obserwujących go z niechęcią kobiet.

- Upije się taki, kopyta na pół podłogi wywali, a ty przechodź później nad chamem. Wiadomo to, co takiemu nagle strzeli do głowy? Mnie jeden kiedyś spódnice zadarł, łapę pod spód wsadził, a ludzi pełno, patrzą i się śmieją. Pijakowi nikt złego słowa nie powiedział.

- A bo u nas alkoholików się hołubi. Wyrozumiałość ma społeczeństwo dla tego draństwa. Milicja każdego takiego powinna zabierać na wytrzeźwiałkę i pałą po piętach dziesięć razy, żeby popamiętał jeden z drugim.

- Święte słowa, Zinaido Pietrowna, święte słowa.

Milicjant skończył w chwili, kiedy Marfa Antonowna skończyła mówić.

Ksiądz był najwyraźniej przestraszony. Michał dziwił się, widząc rozbiegane, niespokojne oczy. Tego się nie spodziewał. Duchowny, mający wsparcie potężnej hierarchii Kościoła katolickiego, powinien być bardziej pewny siebie, nawet jeśli na terenie jego owczarni dzieje się coś niedobrego. Kapłan jednak nie uważał, aby Zgromadzenie Serca Jezusa Świątyni Nowego Kościoła znajdowało się w jego jurysdykcji. Rozmawiał uprzejmie, jednak widać było, że przez cały czas jest czujny, napięty i waży każde słowo.

- Nie uważa ksiądz, że te sekty mają strasznie długie i skomplikowane nazwy? - spytał ze swobodnym uśmiechem Wroński.

- Widać ci, którzy je tworzą, pragną, aby odzwierciedlały od razu całość zamierzenia.

Miał łagodny, aksamitny głos. Porucznik pomyślał, że to w gruncie rzeczy na pewno bardzo miły człowiek, ale nie nadaje się na wojownika ani - tym bardziej - męczennika.

Zresztą we współczesnym Kościele niewielu można znaleźć ludzi, którzy byliby skłonni do takich poświęceń jak ich duchowi bracia z czasów krzewienia chrześcijaństwa.

- Oddać wszystko w paru słowach? - Michał wzruszył ramionami. - To takie... - chwilę szukał odpowiedniego określenia - nuworyszowskie i niedojrzałe, prawda? Coś w rodzaju szczeniackiej chęci popisania się przed kimś od razu wszystkimi swoimi możliwościami.

- Możliwe. Trudno mi powiedzieć, bo nigdy nie przebywałem w podobnym towarzystwie. - Odpowiedź była nieodmiennie ostrożna.

- Ale chyba jednak ksiądz coś wie o tej sekcji. Przecież to parafia księdza.

Duchowny potrząsnął głową.

- Nie, proszę pana. Ulokowali się praktycznie w szczerym polu. Wprawdzie w pobliżu wioski, która mi jeszcze podlega, ale na pewno poza jej granicami.

- Ale jest tam stara kaplica. Całkiem spora.

- Jest, ale to też nie moja sprawa. Budynek został swego czasu zamieniony na magazyn, wojsko sowieckie zbezczeszczyło teren świątyni, kiedy tam stacjonowały ich oddziały. Potem budynek należał do PGR-

u, jeszcze niedawno nikt nie pamiętał, że to dawny kościółek, a konkretnie postawiona fundacja książąt brzesko-świdnickich. Podobno zbudowanie świątyni miało związek z cudownym ocaleniem któregoś z nich w straszliwej bitwie wojny trzydziestoletniej.

Wroński miał na końcu języka złośliwą uwagę na temat rzekomej niepamięci władz kościelnych, które w różnych miastach Polski za wszelką cenę starały się odzyskać dawną własność. W Częstochowie swego czasu zlikwidowano nawet szpital położniczy pod Jasną Górą, aby oddać nieruchomość duchowieństwu. A tutaj piękna kaplica pozostawała w zapomnieniu. Coś chyba było nie tak z gospodarnością odpowiedzialnych za to księży. Darował sobie jednak. Doprosić się o rozmowę z przedstawicielem parafii było bardzo trudno. Jeśli go teraz zniechęci, na pewno nie dowie się niczego, co mogłoby się przydać.

- Rozumiem. Były po wojnie ważniejsze sprawy niż zajmowanie się zapomnianą ruiną.

- Właśnie. - Ksiądz odetchnął z ulgą. Chyba spodziewał się jakiejś ostrej wypowiedzi tego natręta o ostrym, przenikliwym spojrzeniu.

- A jednak w tej chwili kaplica wygląda bardzo dobrze - rzekł Michał.

- Została odnowiona przez ludzi z sekty - odparł z niechęcią kapłan.

- Uzyskali zezwolenie konserwatora zabytków, załatwił sobie w kurii upoważnienie, bo to mimo wszystko jednak dawny obiekt sakralny...

- Jak rozumiem, przywódca Zgromadzenia Serca Jezusa ma niezłe chody we władzach kościelnych.

- Nie mam pojęcia.

Ale ja mam - miał ochotę zawołać Wroński. Nie wie lewica, co czyni prawica!

Wyczenko z pewnością znał z dawnych czasów paru obecnych hierarchów. Posiadał także wiedzę o ich przeszłości i tajemnicach, przynajmniej niektórych. Przecież w seminarium ludzie muszą się przed sobą otwierać, nie da się żyć w izolacji. A to mogło oznaczać, iż brat Wojciech posiadał informacje, których ujawnienie miałyby dla któregoś duchownego decydujące fatalne skutki. Tutejszy księżulo otrzymał nakaz nie wchodzić zbyt głęboko w sprawy sekty. To było widać na kilometr. A w Kościele obowiązuje przecież nakaz bezwzględnej posłuszeństwa.

- Ale ma ksiądz jakieś pojęcie, co dzieje się na terenie Świątyni Nowego Kościoła?

- Modlą się. - Proboszcz rozłożył ręce. - Modlitwa to nic złego, nawet jeśli ktoś, kto ją prowadzi, nie jest uznany przez Rzym.

- Bardzo ciekawa postawa, proszę księdza. Cóż za tolerancja! Nie myślałem, że jakikolwiek pleban jest aż tak pokojowo nastawiony. Przecież to dla was konkurencja. Wpływy do kasy stają się mniejsze, sprawy materialne muszą ucierpieć.

- Pan prosił o rozmowę, żeby obrażać mnie i cały Kościół?

Michał zaklął w duchu.

Przekłety, nieposkromiony jęzor. Czasem miał ochotę wziąć ostry nóż i odciąć tę część ciała, która tak często wpędzała go w kłopoty.

- Nie zamierzam nikogo obrażać - odparł pojednawczym tonem. - A już najmniej duszpasterza. Dziwi mnie jednak obojętność, z jaką ksiądz podchodzi do sekty. Przecież tam może są także ludzie z tej parafii.

Duchowny poczerwieniał. Widać było, że ma ochotę odpowiedzieć ostro, wręcz niegrzecznie, ale powstrzymuje się z całych sił.

- Tam nie ma ani jednej osoby z wiosek, nad którymi sprawuję pieczę. Zadbalem o to, by moi parafianie nie ulegli zgorszeniu.

Wroński milczał. Gniew rozmówcy mówił więcej niż słowa.

- Nie mogę odpowiadać za wszystko, co się tutaj dzieje - ciągnął ksiądz. - Pan chyba to rozumie?

- Rozumiem - mruknął porucznik. - Liczyłem jednak na jakieś bliższe informacje o sekcje.

- A po co to panu potrzebne?

- Lepiej, żeby ksiądz nie wiedział. Tam, być może, dzieją się straszne rzeczy.

Duchowny przymknął oczy.

- Zdaję sobie sprawę, że tym ludziom nie chodzi tylko o modlitwę.

- To dlaczego nie podejmie ksiądz odpowiednich kroków?

Na Michała spojrzwały jasne, miękkie oczy. Tak, pomyślał, ten w sumie miły katabas nie lubi wtrącać się w nie swoje sprawy. Ciepła posadka, obiadek pod nos, może nawet ognista gosposia... Niektórym wystarczy to, co niesie codzienność, nie chcą wiedzieć więcej, niż potrzeba, aby jako tako wypełniać swoje obowiązki.

- A dlaczego pan nie zwróci się do moich przełożonych? - spytał kapłan. - Dlaczego nie wypyta pan chociażby proboszczów w Brzegu?

- Obawiam się - Wroński uśmiechnął się smutno - że mógłbym wśród nich trafić na kogoś, kto jest w porozumieniu z przywódcą sekty.

- No wie pan! - zawołał oburzony pleban. - To się nie mieści w głowie!

- A mieści się, że władze świeckie i kościelne tolerują istnienie podejrzonej organizacji religijnej?

- Widocznie nie jest aż taka podejrzana - mruknął ksiądz. Michał wstał, a duchowny poszedł za jego przykładem.

- Przykro mi, że tak ksiądz do tego podchodzi. Myślałem, że tutaj, w parafii położonej najbliżej sekty, znajdę więcej zrozumienia.

Kapłan nie odpowiedział. Na jego twarzy pojawił się wyraz rozterki. Ważył coś w sobie.

- Ja jestem za mały na to wszystko - rzekł w końcu bardzo cicho, jakby chciał usprawiedliwić się bardziej przed sobą niż gościem. - Wiem przecież, że tam się dzieją rzeczy, które dzieć się nie powinny... Różne wieści docierają do ludzkich uszu. Mimo że teren zgromadzenia otoczony jest płotem i drutem kolczastym, mimo iż strzegą go strażnicy i groźne psy, zawsze coś wycieknie na zewnątrz.

- Właśnie o takie przecieki mi chodzi. Podzieli się ksiądz swoimi wiadomościami?

- To tylko takie drobnostki, zupełnie nieistotne.

- Czasem to, co nieistotne, może się w ostatecznym rozrachunku okazać bardzo ważne, a nawet wręcz nie do przecenienia.

- Proszę w takim razie usiąść - westchnął kapłan. - Powiem wszystko, co wiem. Zakładam, że chce pan coś z tym wszystkim zrobić. Mam rację?

- Może mieć ksiądz taką nadzieję.

*

Pryszczaty przyszedł na spotkanie w paskudnym nastroju. Szefowie poszczególnych komórek czekali w komplecie, w pełnym milczeniu. Od kiedy nastały nowe porządki, przywódcy gangów stali się jakby poważniejsi, mniej skorzy do idiotycznych wygłupów.

Niektórzy wciąż jeszcze mieli w nozdrzach zapach krwi, a w uszach jęki rannych i krzyki bezlitośnie dobijanych. Musieli się pogodzić z utratą dużej części niezależności. Oczywiście zyski miały to wynagrodzić, ale nikt nie czuł ochoty na żarty. Może byłoby nieco swobodniej, gdyby obok Bankowca nie zasiadł obcy człowiek. Widzieli go po raz pierwszy. Miał gęste, czarne włosy i ciemnoniebieskie oczy. Patrzył na wszystkich z dystansem, badawczo, jakby ich oceniał. Atmosfera zgęstniała zaś jeszcze bardziej, gdy ujrzeni chmurne spojrzenie przywódcy. Tylko Bankowiec odważył się unieść pytająco brwi.

- Nic się nie stało - burknął Pryszczaty. - Łeb mnie boli jak jasna cholera. Pomieszałem wczoraj wodę z winem, a na dodatek wypaliłem dwie paczki fajek.

- Kac grzechotnik - kiwnął głową Bankowiec. - Człowiek się starzeje, wątroba już nie ta, co dawniej.

Roman spojrział na niego jak na wariata.

- Wątrobę mam w porządku. A od takiego pieprzenia łeb może mnie jeszcze bardziej rozboleć.

Powiódł spojrzeniem po obecnych.

- A wy co? Też macie kacora? Siedzicie jak na stypie. Uciekali spojrzeniami, jedynie Przerwa wytrzymał wzrok Pryszczatego i nieznacznie wzruszył ramionami.

- Rozumiem - mruknął Roman. - Obawiacie się, że mogę znów zrobić taki numer jak w magazynie, tak?

Nie odpowiedzieli, ale ich oczy mówiły wszystko.

- To było konieczne, doskonale o tym wiecie. Nie zamierzam się tutaj usprawiedliwiać, bo to była jedyna droga, aby pozbyć się niepotrzebnego i niepewnego elementu. Obiecać mogę jedno: dopóki łączą nas wspólne interesy, a wy nie wystąpicie przeciwko mnie, jesteście bezpieczni. Macie moje gwarancje. Wiecie, że dotrzymuję umów.

- Wiemy - odparł Makary, który po krwawej akcji nie tylko pozostał szefem Śródmieścia, ale przejął także część przyległych rejonów. - Jednak zawsze warto się upewnić.

- No to się, kurwa, upewniliście. A teraz do rzeczy.

- Masz krew na policzku - szepnął Bankowiec. - Mała kropelka, ale widać. Wytrzymaj dyskretnie. Zaciąłeś się?

Pryszczaty skinał lekko głową, usiadł, założył nogę na nogę. W tej chwili, siedząc w kręgu, bardziej mogli kojarzyć się z grupą terapeutyczną niż zebraniem przestępców.

- Kto zna niemiecki? - spytał Roman. Wyjął chusteczkę, poślinił, po czym nieznacznym ruchem potarł policzek. Spojrzał przelotnie na materiał. Wąskie maźnięcie przypominało ślad pędzla, na którym pozostała małeńka resztką farby. - Wiedziałem, że barszcz na obiad to kiepski pomysł - zauważył. - Zawsze się uswinię.

Odpowiedział mu niemrawy śmiech.

- Kto zna niemiecki? - powtórzył pytanie.

- Dobrze, średnio czy tak sobie? - spytał Przerwa.

- Im lepiej, tym lepiej - odparł Pryszczaty, dopiero po chwili zdając sobie sprawę, jak kretyńsko zabrzmiało to zdanie.

- Ja pracowałem w rajchu parę lat - odezwał się Grażek, nowy szef Kozanowa. - Ze szkopami dogaduję się bez trudu.

- I dobrze. Pojedziesz do Zgorzelca. Jutro o dwunastej spotkasz się z chłopakami z tamtej strony. Trzeba uzgodnić parę szczegółów. Po odprawie zostaniesz, powiem ci, co i jak. Sam bym pojechał, ale muszę dopilnować spraw na miejscu. Będziemy mieli następny przerzut towaru. Załatwisz z Niemcami przewóz tego ładunku na południe.

Te odprawy to też była nowość. Oczywiście dawniej również się spotykali, ale nikt tego tak formalnie nie nazywał, a poza tym bossowie rzadko przybywali w komplecie.

Trudno bowiem było w ogóle mówić o konkretnej organizacji - to było stowarzyszenie grup przestępczych, które łączyła wspólna korzyść. Bankowiec z pewnym podziwem patrzył na szefa. Miał jednak chłop charyzmę. Ujął w karby niekarnych watażków, potrafił ich przekonać do swoich racji. Właśnie - przekonać, a nie tylko zastraszyć. Przyjęli nowe zasady, zrobili czystkę w szeregach, wyrzucili i zlikwidowali wszystkich, którym nie mogli ufać.

Oprócz podziwu poczuł także niepokój. Nie kupił opowiadki o barszczu. To nie była plamka po zupie, ale z całą pewnością krew. Czyżby przed przybyciem tutaj Pryszczaty kogoś wykończył? Możliwe, bo dla niego zabić człowieka to było jak splunąć. Od zawsze.

Bankowiec był świadkiem pierwszego zabójstwa dokonanego przez kumpla. Wiedział już wtedy z opowieści innych, że po pierwszym takim uczynku sprawca wymiotuje. Naturalna reakcja fizjologiczna. A jeśli nawet nie wymiotuje, chodzi jak struty. Natomiast Roman patrzył na zabitego przed chwilą konkurenta wzrokiem bez wyrazu. Z poderżniętego gardła sączyła się jeszcze krew, której bryzgi zabarwiły posadzkę dookoła, osiadły na obu walczących, poplamiały przyglądających się pojedynekowi ludzi. Mdlący zapach surowizny wypełniał powietrze. A Pryszczaty tylko patrzył. Potem spokojnym głosem kazał sprzątnąć ciało. Zachowywał się, jakby przed chwilą zdusił obcasem mrówkę, a nie zabił człowieka.

Parę minut później śmiał się już i żartował. To był czas, kiedy mieszkali na jednej melinie.

Bankowiec spodziewał się, że w nocy dopadną przyjaciela koszmary, trzeba go będzie budzić, uspokajać. Przecież to by było jak najbardziej zrozumiałe. Tymczasem Roman spał jak zabity, smacznie pochrapując. Podobnie było także w następną noc. Bankowiec bardzo przeżywał tamto wydarzenie, to jego zaczęły dręczyć złe sny, takie, że budził się spocony i jęczał przez sen. Sam nigdy przedtem ani nigdy potem nikogo nie zabił. Błogosławił los, że dał mu talent

do komputerów, a teraz dostał nadzór nad operacjami giełdowymi. Dzięki temu jego status w grupie był wyższy niż zwyczajnego cyngla od mokrej roboty czy jakiegoś tępego osiłka. A poza tym był przyjacielem szefa. Teraz czuł się, jakby wsiedli razem do windy, a Romek przycisnął guzik z najwyższym numerem. Podniecenie i oczekiwanie mieszały się z obawami.

Wszyscy wielcy przestępcy zaczęli kiedyś od najniższych stopni hierarchii. To znaczy wszyscy ci, którzy nie odziedziczyli władzy po przodkach. Dlatego uwielbiał film „Ojciec chrzestny”. Vito Corleone przypominał mu Pryszczatego - miał w sobie tę samą determinację, tę samą drapieżność i gwałtowność, a zarazem umiejętność przyczajania się, przybierania wielu masek na użytek różnych ludzi. Tyle że Romkowi było znacznie trudniej. Miał twarz, która nie tylko nie budziła zaufania, ale w ogóle nie budziła żadnych pozytywnych uczuć.

Tym bardziej Bankowiec był zdumiony, gdy szef przywiózł pewnego dnia piękną dziewczynę, z którą zamieszkał. Jej zdawała się

nie przeszkadzać jego niewyobrażalna wręcz szpetota, która nie była nawet kwestią takich czy innych rysów twarzy, ale tych czyraków, skutków wiecznych uczuleń. Pyszczyaty wyglądał jak młodzi chłopcy, którzy regularnie zażywają amfę i ekstazę. A przecież nie brał narkotyków, nie licząc jakichś dawnych epizodów. Nie tolerował też narkomanów w swoim najbliższym otoczeniu. W końcu pracował kiedyś na ulicy, sprzedawał działki różnym typom, wiedział więc, iż uzależnionemu nie można nigdy zaufać. Na głodzie za najmniejszą działkę sprzedawał najbliższego przyjaciela.

- Roman, a co to właściwie za towar? - spytał przywódca z Krzyków.

- Co by to nie było, musi przejechać przez Monachium. Tam dołączyć do transportu jeszcze coś.

- Co? - spytał ten sam boss.

- A ty z policji jesteś, Cegła? Sam nie wiem, ale wystarczy mi, że dostaniemy za tę robotę ekstra premię. Jeszcze trochę, a będziesz sobie mógł wypchać materac pieniędzmi, i to nie tymi zarobionymi konkretnie, ale końcówkami, drobniakami, których nie opłaci się nawet inwestować.

Cegła uśmiechnął się zadowolony. Pieniądze stanowiły żelazny argument przetargowy w podobnych sytuacjach. Chciwość to cecha, dzięki której można zapanować nad każdym, kto ma ją dostatecznie rozwiniętą. A współpracownicy Pyszczyatego posiadali ją aż w nadmiarze.

- Dobrze, panowie. Przejdźmy do konkretów. Co słyhać na dzielnicach?

- Psy węszą - rzeki ponuro Makary. - Chyba trochę przesadziliśmy z tamtą rzeźnią. Gliny latają wkurzone jak osy.

- Polatają, polatają, a potem umorzą dochodzenie. Na razie muszą się wykazać, bo w gazetach huczy od domysłów i różnych idiotycznych komentarzy. Najbardziej podoba mi się pomysł jednego pismaka, że to była próba przejęcia lokalnego rynku narkotykowego przez ukraińską mafię. Dobrze, co Mykoła? - Pyszczyaty zwrócił się do mężczyzny siedzącego nieco z boku.

- Dobrze - odparł tamten poważnie. - I niech tak myślą jak najdłużej. Postaraliśmy się już o to. Jutro powinni znaleźć trupa jednego takiego z

naszym paszportem. Podpadł chłopakom, haraczu nie chciał płacić na bazarze, policją groził.

- Doskonale. - Pyszczytaty zatarł ręce, uśmiechnął się. - Poznajcie Mykołę, naszego przyjaciela zza wschodniej granicy. To przez niego idą przerzuty z Ukrainy. Mykoła, mam nadzieję, że współpraca ułoży nam się doskonale.

Ukrainiec kiwnął poważnie głową. Wąskie wargi nawet nie drgnęły w odpowiedzi na uśmiech Romana. Ten zresztą najwyraźniej na to nie czekał, bo z miejsca przystąpił do omawiania szczegółów operacji.

*

Michał wysiadł na Dworcu Centralnym, czując w sercu dziwne ciepło. Przywykł do Warszawy, pokochał ją, choć gdy tu zamieszkał, na początku kłął to miasto w żywy kamień.

Teraz jednak tęsknił do stolicy. Przecież wyjechał stąd niedawno, nieobecność trzeba było liczyć na dni, a nie miesiące. Ale tyle się przez ten czas wydarzyło, że miał wrażenie, jakby upłynęło przynajmniej pół roku. Wyszedł na przystanek pod hotelem Marriott, odetchnął jesiennym, zimnym powietrzem przesyconym wonią spalin i innych miejskich zapachów. W tej chwili Oleśnica wydawała się odległym, nierealnym światem. Często słyszał zarzut, że władze zachowują się, jakby Polska kończyła się na tabliczce z napisem „Warszawa”. Coś w tym było. Poczucie, że wszystko, co najważniejsze, znajduje się w tym miejscu, wkręcało się w umysły mieszkańców, takie przekonanie tkwiło gdzieś głęboko. Nic dziwnego, że niektórzy mogli stracić rozeznanie.

Wsiadł do autobusu linii 175 i pojechał w stronę lotniska Okęcie. Na skrzyżowaniu przy Wawelskiej wysiadł, stanął przed rozkładem jazdy, rozglądając się dyskretnie, czy nie jest obserwowany. Nie zauważył nikogo podejrzanego. Daria, zanim wyruszył w drogę, błagała ze łzami w oczach, żeby był ostrożny. Jego plan zrobił na niej wrażenie, jednak nie ze względu na swoją genialność, ale raczej ryzyko, które oceniała jako zbyt wielkie.

- Przyzwyczajony jestem - machnął lekceważąco ręką. - Byle mi nikt nie przeszkodził, nie włąził w drogę, jakoś sobie poradzę.

Nie wtajemniczał jej we wszystkie szczegóły, tak jak nie opowiedział dokładnie o tym, czego dowiedział się od księdza. Nie było zresztą tego zbyt wiele. Duchowny raczej potwierdził już zgromadzone informacje, niż przekazał cokolwiek nowego. Jednak Michał nie chciał mówić zaniepokojonej krewnej Eweliny, iż nie zdarzyło się jeszcze, aby ktokolwiek wyszedł z terenu sekty, nie będąc jej zaprzysiężonym, gotowym na wszystko, fanatycznym wyznawcą, pełniącym działalność misyjną.

- Na pewno robią tam pranie mózgu - mówił ksiądz cichym, przytłumionym głosem.

Bał się. Wroński doceniał to, że zastraszony człowiek mimo wszystko zdecydował się mówić.

Zastanawiał się tylko, jak długie macki ma przestępcza ośmiornica, skoro zadbano nawet o to, by zablokować jakąkolwiek aktywność podrzędnego, niewiele znaczącego i jeszcze mniej mogącego kapłana. Duchowny był zadowolony, że ci ze Świątyni Nowego Kościoła nie zastawiają sidła na jego parafian. Może czuł się nawet poniekąd ich dobroczyńcą i zbawicielem? Niektórzy tłumaczą swoją bierność na najróżniejsze sposoby. - To muszą być straszni ludzie. Widział pan te ich budynki? Przecież wyglądają jak jakaś warownia, a nie miejsce, w którym znaleźli się wierni pełni dobrej woli, aby prosić Boga o zmiłowanie nad światem.

Pranie mózgu? Na pewno było przeprowadzane fachowo. W końcu Wojciech Wyczenko uczył się sztuki manipulacji w najlepszych ośrodkach radzieckich służb wywiadowczych. Fachowcy KGB potrafili przekonać człowieka do wszystkiego i to wcale nie stosując tak brutalnych metod jak w Orwellowskim świecie z Roku 1984. Michał uczył się o podobnych metodach. Trochę o nich wspominał pewien wykładowca w Szczytnie, ale gruntowną wiedzę miał okazję zdobyć podczas szkolenia organizowanego w szkole kontrwywiadu. Różne bywały stopnie intensywności oddziaływań. Często chodziło nawet nie o samo przekonanie obiektów do takich czy innych racji, ile manipulowanie nimi, żeby odpowiedni bodziec budził odpowiednią reakcję. Najprostszym przykładem było oddziaływanie na członków szturmowych oddziałów ZOMO podczas specjalnych zgrupowań. Rano w koszarach budziły ich megafony nadające ogłuszające odgłosy z

manifestacji. Podobnie przykre doznania towarzyszyły im przez cały dzień, szczególnie w chwilach, kiedy mogli liczyć na odpoczynek. To wywoływało gwałtowne reakcje nie tylko podczas ćwiczeń, ale przede wszystkim na akcjach przeciwko demonstrantom. Z kolei towarzysom, którzy miewali nieprawomyślne poglądy i nie potrafili się z nimi należycie kryć, fundowano pobyt w sanatoriach, gdzie nadawano bez przerwy przemówienia luminarzy komunizmu czy - jak nazywał ich ojciec Michała wzorem Andrzeja Rosiewicza - kołędników gwiazdy pięcioramiennej. Zajęcia indoktrynujące w położeniu z ciągłym sączeniem w uszy socjalistycznych aksjomatów potrafiły zdziałać cuda. Nieprawomyślny towarzysz wracał na łono partii, działając z o wiele większym entuzjazmem niż kiedykolwiek przedtem, mocniej ugruntowany w jedynie słusznych poglądach, człowiekiem manipulować jest bardzo łatwo, jeśli tylko jest on w najmniejszym choćby stopniu podatny na odpowiednie techniki. Nawet nie do końca chodzi tu o podatność psychofizyczną, ale o sferę durową - najłatwiej prac mózgi tym, którzy sami tego chcą, są nastawieni na przyjmowanie indoktrynacji. W sekcie manipulator ma zalanie znacznie ułatwione, bo przychodzą tam ludzie przekonani, że jest on mędrcem, guru, najwspanialszym z ludzi. Poza tym można ich sobie odpowiednio dobierać, obserwować podczas wstępnych spotkań. Jeśli nie wykazują należytych predyspozycji, dyskretnie się zniechęca ich i uprzejmie splewia. Zaś ci, którzy znajdują się na terenie sekty, przestają mieć jakiegokolwiek szanse na samodzielne myślenie. Nawet jeśli zdarzy się coś, co spowoduje, że pojawią się w ich umysłach wątpliwości, łatwo sobie z tym poradzić, zmanipulować, a w ostateczności po prostu zabić.

Westchnął ciężko. Widok Warszawy sprawił, że zatęsknił nagle za pracą. Tą dawną pracą, w której zajmował się grzebaniem w na wpół zapomnianych historiach. Nawet złośliwie przydzielona robota dotycząca Wilczego Szańca szalonego Adolfa wydawała się teraz niezwykle pociągająca i inspirująca. Może trzeba było trzymać język za zębami, spróbować jakoś przetrwać wybryki nowego szefa.

- Cudze chwalicie, swego nie znacie - mruknął do siebie, korzystając z tego, że jego głos utonął w pisku hamulców wjeżdżającego na przystanek autobusu.

Ruszył Wawelską w stronę Grójeckiej. Musiał teraz złapać jakiś tramwaj do centrum. To może być długa noc. Ta i następna, a może i jeszcze jedna... Zależy, jak ułożą się sprawy.

Przetrwac nowego szefa - wrócił do przerwanej myśli. No tak, ale przecież Jacek czekał na ratunek. Nikt poza Michałem nie pośpieszy z pomocą wyklętemu. To niebezpieczne i źle widziane przez ludzi z góry. Ciekawe, czy tolerują poczynania porucznika, czekając, aż zrobi coś, co pozwoli go ostatecznie zniszczyć, czy też po prostu darowali sobie obserwację jego osoby po fiasku rozmowy z rosyjskim ambasadorem. Jeśli to pierwsze, niebawem dostarczy wrogom znakomitego pretekstu. Jeśli drugie, to znakomicie. Kontrwywiad miał takie niespodziewane pomysły, chwile wahań, a nawet zaniechania spraw czasem bardzo istotnych. Prywatne śledztwo pracownika przebywającego na urlopie może faktycznie nie interesować wierchuszki. To, co się dzieje w polityce, cały ten polski burdel, jest dla zwyczajnego porucznika znakomitą tarczą, zabezpieczeniem przed zakusami złośliwych przełożonych.

Aspirant Machała z obrzydzeniem patrzył na stos papierów zalegających na jego biurku. Sprawa rzezi w podziemiach magazynu na Wagonowej była priorytetem.

Wykorzystano wszelkie dostępne siły i środki, by ją rozwiązać. Co z tego? Zidentyfikowano wprawdzie ofiary, ustalono personalia. Każdy z trupów miał na koncie długą listę wykroczeń i przestępstw, wszyscy albo już siedzieli, albo mieli wyroki w zawieszeniu, albo czekali na rozprawy za rozboje, gwałty, pobicia, współdział w zabójstwach. Niczego więcej ze sprawy nie można było jednak wykrzesać. Prerażeni informatorzy milczeli jak zakłęci. Sebastian miał takiego jednego pewniaka, który zawsze wiedział, co w trawie - to znaczy w mieście - piszczy. Miał do powiedzenia tylko jedno: „Kochany władzuchno, ja chcę żyć. Przyszedł teraz taki gieroj, co złapał wszystko za mordę. Niebezpiecznie kapować, pytać nawet niebezpiecznie. Może za jakiś czas coś panu skapnie, ale nie teraz”. Policjant prosił i groził.

„Za jakiś czas” było stanowczo zbyt odległym terminem. Informator potwierdził jedynie, że to nie mogły być zwyczajne porachunki między grupami przestępczymi. Wyglądało na to, że w mieście wyrosła rzeczywiście nowa siła, która może ująć w karby rozbite środowisko. Tego tylko brakowało! W dodatku coś się ruszyło także wśród Ukraińców, Rosjan i Litwinów.

Zaczęły się wewnętrzne rozliczenia, sypnął się trup. To jednak był margines w porównaniu ze skalą hekatomby dokonanej przez rodzimych bandziorów. Krwi było tyle, że nawet doświadczeni technicy i lekarze sądowi kręcili z niedowierzaniem głowami. Na próżno szukali chociaż jednego gangstera, który dawałby jakieś oznaki życia. Ci, którzy nie odnieśli śmiertelnych ran podczas strzelaniny, zostali później bezlitośnie i metodycznie wykończeni strzałami w czoło albo tył głowy, zależy, jak który leżał. Część trupów miała tylko takie rany, co świadczyło o dokonaniu zwyczajnej egzekucji na tych, którzy czymś podpadli albo mogli się okazać niebezpieczni. Było jeszcze coś. Policja rzeczna odnalazła w Odrze torbę z bronią.

Ale ten ślad także niewiele dawał. Pistolety i rewolwery zostały dokładnie wytarte z odcisków palców, potraktowano je nawet kwasem

solnym. Nie trzeba było czekać na ekspertyzy, żeby się domyślić, iż za pomocą właśnie tej broni dokonano zbrodni. To znalezisko było sygnałem, że coś się zmienia. Jeśli miejscowi przestępcy rozstają się z tak poszukiwanym towarem, jak porządne pistolety, musieli mieć dojścia albo pieniądze na zakup nowych. A najprawdopodobniej mają i dojścia, i pieniądze.

Zadzwoił telefon. Na pewno komendant. Co dwie godziny obdzwaniał wszystkich kierowników grup pracujących przy sprawie, żądając ścisłych raportów. Ścisły raport Machały zaś od dłuższego czasu brzmiał podobnie:

- Nic nowego, ale pracujemy nad tym szefie. Staramy się.

Potem następowała połajanka. Zmęczonym ruchem podniósł słuchawkę.

- Aspirant Machała melduje się...

- Daj spokój, synu. Co słychać?

Machała powtórzył to samo, co zawsze.

- Szlag jasny! Co z was za gliny? - Komendant zaczął się powoli rozkręcać. Sebastian zastanawiał się, czy stary wrzuca takie gadki każdemu, czy powinien się poczuć wyróżniony.

- Macie ślady, macie tropy, płacimy kapu... to znaczy informatorom, całe laboratorium do waszej dyspozycji - i nic?!

Zadzwoiła komórka aspiranta. Komendant usłyszał to, zamilkł, a po chwili powiedział.

- Odbierz, człowieku! Może to coś ważnego. Zadzwonię później.

Machała odetchnął, spojrzął z wdzięcznością na dzwoniący aparat. Jednak spochmurniał, gdy zerknął na wyświetlacz.

- Słucham - burknął.

- Zły dzień? - rozległ się z drugiej strony głos Wrońskiego.

- Jak wszystkie w ostatnim czasie. Co się stało?

- Nic. To znaczy jeszcze nic. Ale mam pewną prośbę.

Sebastian skrzywił się.

- Zaczynam się bać.

- Ależ to nic takiego. Chciałbym, żeby na pojutrze przygotował mi pan całą dokumentację dotyczącą sekty. Te zdjęcia, mapki, raporty z obserwacji.

- To poufne papiery!

- Wiem. Gdyby tak nie było, poszedłbym do pana przełożonego i grzecznie o nie poprosił. To bardzo ważne.

- Co pan kombinuje?

- To nie jest rozmowa na telefon. Ale mam zamiar zageścić ruchy, jak mawia mój syn. To co, mogę liczyć na pana?

Machała wypuścić ze świstem powietrze.

- Jakoś to załatwimy. To wszystko? Mam masę pracy. Posiedzę w robocie najmarniej do północy.

- Szkoda. Bo, widzi pan, chciałem też prosić, żeby podjechał pan pod sektę i sprawdził, czy dzisiaj w nocy nie przyjadą tam jakieś samochody.

- Nie da rady. Jestem tylko człowiekiem. A co - zainteresował się, nie bacząc, że to może być dla Wrońskiego powód, aby naciskać - ma pan jakiś cynk?

- Mam przecucie - padła poważna odpowiedź.

- Przecucie? - prychnął aspirant. - Pan po prostu chce mieć tam obserwatora na wszelki wypadek. O przecuciach proszę opowiadać pani Darii.

- Ona też by nie uwierzyła - mruknął Michał. - No nic, cześć pracy. Ale gdyby znalazł pan jednak trochę czasu...

Tym razem aspirant zirytował się naprawdę.

- A kiedy będę mógł się przespać, co?!

- Tak tylko powiedziałem. Trzymaj się, policjancie, nie daj się zjeść. Pamiętaj, twój przełożony to wróg gorszy od bandy bejsboli.

Sebastian chciał się jakoś ostro odciąć, ale połączenie zostało już przerwane.

*

Ewelina poszła na wspólne nabożeństwo pierwszy raz od czasu, kiedy została przeniesiona do ścisłego kręgu wtajemniczonych. Pierwszy też raz od pamiętnej nocy zobaczyła brata Roberta. Stał pod ołtarzem, z prawej strony kapłana, i wpatrywał się w dziewczynę przenikliwym, hipnotyzującym spojrzeniem. Spokój, który zaczął do niej wracać, w jednej chwili zniknął bez śladu. Wrócił koszmar niedawnych przeżyć, poczuła ból w dole brzucha, w pogryzionych i

pogniecionych piersiach. W oczach prześladowcy widziała groźbę i drwinę jednocześnie. Przywodziły na myśl straszliwe sceny, kojarzące się z przedstawieniem piekła na obrazach najwybitniejszych malarzy, które oglądała w szkole na zajęciach ze sztuki - zimne okrucieństwo w tryptyku Hansa Memlinga i zupełne wynaturzenie u Hieronima Boscha. Uciekła oczami, skuliła się, nie chciała, żeby ten człowiek dotykał ją nawet wzrokiem. Nagle poczuła się naga i bezbronna, zupełnie jak wtedy, kiedy brał ją wbrew woli, oszołomioną narkotykami, nie w pełni świadomą tego, co się dzieje, ale przekonaną, że to na pewno nic dobrego. Brat Wojciech wznosił ręce w charakterystycznym geście. Kiedyś miała wrażenie, że kapłan jakby unosi się ku Bogu, przebija wzrokiem sufit i mierzy się świetlistym spojrzeniem ze Stwórcą. Już nie potrafiła przywołać tego uczucia.

Długie rozmowy z przewodnikiem sprawiły, że odzyskała do niego nieco zaufania, ale teraz była przekonana, że jest on takim samym człowiekiem jak inni. Może nawet gorszym od innych. Ale czyż Pan nie może wlać szlachetnej duchowej substancji w niegodne ciało? Czy Zgromadzenie Serca Jezusa przez niedoskonałość przywódcy musi być automatycznie przekreślone? Spotkała tu przecież wspaniałych ludzi, dla których wiara i chęć zbawienia ludzkości są sprawą najważniejszą, gotowych dla idei na największe poświęcenia. A świat zewnętrzny jest taki zawistny, tak nienawidzi tych, którzy chcą mu pomóc. To dlatego od samego początku trzeba było wprowadzić zbrojne straże, pilnować, aby nikt niepożądany nie dostał się do środka. Tak przynajmniej myślała jeszcze kilkanaście dni temu. Teraz wcale nie była pewna, czy strażnicy nie mają przede wszystkim pilnować, aby nikt się nie wydostał z terenu zgromadzenia.

Wreszcie brat Robert odwrócił wzrok. Wiedziała to od razu, bo nagle zelżało w niej poczucie zażenowania i strachu. Za to zaczęła swędzieć ją skóra na twarzy. Ewelina podrapała się odruchowo. A potem nadciągnęła niepowstrzymana fala mdłości. Dziewczyna wybiegła z kaplicy, w ostatniej chwili zdołała dopaść do umywalki we wspólnej łazience, w skrzydle dobudowanym bezpośrednio do świątyni. Wstrząsana torsjami myślała w panice, co to może oznaczać.

Czy możliwe, żeby... Boże kochany... czy możliwe, żeby była w ciąży? Czy nie za szybko na pierwsze objawy?

Ktoś wszedł, stanął za nią, delikatnie dotknął włosów.

- Nic mi nie jest - jęknęła, myśląc, że to któraś z kobiet. - To tylko taka niedyspozycja.

- A może coś więcej.

Zmartwiała. To był męski głos. Na dodatek doskonale znany. Znowu wrócił ból w dole brzucha i piersiach.

- Masz przesrane, dziwko - powiedział Robert. - Nie, nie bój się, nie mam zamiaru cię teraz zerznąć. Masz przesrane z innego powodu.

Zapytałaby, co ma na myśli, gdyby nie bała się, że kiedy tylko otworzy usta, mdłości powrócą z nową siłą. I gdyby nie paraliżujący strach.

- Trzymaj się zdrowo, dzdziro - rzucił jeszcze. - Fajna z ciebie dupa, szkoda będzie.

Trzasnęły drzwi. Ewelina zamknęła oczy. Nad wszelkimi innymi uczuciami zapanowało jedno - ulga, że prześladowca poszedł, nie robiąc jej żadnej krzywdy. Co miał na myśli, mówiąc, że będzie szkoda? Czyżby zamierzał ją zabić? Chyba nie. Mógł to zrobić teraz, kiedy wszyscy przebywali w kaplicy. Mógł ją udusić i stwierdzić, że zachłysnęła się wymiocinami. W głowie miała chaos i pustkę zarazem. Przelatywały niekontrolowane myśli, odległe skojarzenia. Nagle ujrzała przed oczami scenę z dzieciństwa. Roześmiana twarz ojca, zbliżająca się i oddalająca. Podrzucał ją wysoko, pod sufit. Pamiętała to łaskotanie w dole brzucha, uczucie strachu, ale i radości, pełnego zaufania do mężczyzny, w którego rękach spoczywało jej życie. Cudowne wspomnienie. Po ostatnich przeżyciach nigdy już nikomu nie będzie umiała w pełni zaufać. Boże... Z oczu popłynęły łzy. Ileż by dała, żeby wrócić do czasów beztroski, albo chociaż te kilka miesięcy wstecz, wiedząc to, co wiedziała teraz. Z trudem wyszła z łazienki, powlokła się korytarzem. Nagle drzwi kaplicy otworzyły się.

Ewelina spojrzała zdumiona. Już po nabożeństwie? Wydawało jej się, że przebywała w toalecie tylko parę minut. Może straciła na chwilę przytomność? A może to zwyczajne w tym stanie zaburzenia poczucia czasu?

Chyba czytała o czymś podobnym. Ale kiedy i gdzie? Obok zamajaczyła jakaś postać.

- Mam cię zaprowadzić do przewodnika.

- Karol? - spróbowała zatrzymać wzrok na twarzy mężczyzny.
- Tak, to ja. Źle wyglądasz.
- Domyślam się. Czego chce brat Wojciech?
- Nie mam pojęcia. Mnie się przecież nie tłumaczy.

Podtrzymywana przez Karola, wyszła na zewnątrz. Pokoje kapłana znajdowały się w budyńeczku umiejscowionym w samym środku kompleksu. Ewelina odetchnęła świeżym, rześkim powietrzem jesienno poranka, który nasączał świat złotymi promieniami słońca i optymizmem. Wyprostowała się.

- Już mi lepiej - powiedziała. - Możesz mnie puścić.

Karol jednak nie uwolnił jej ręki. Czyżby się bał, że ucieknie? Dlaczego miałyby to zrobić? Przecież wśród zabudowań, na terenie otoczonym płotem i drutem kolczastym nie miała żadnych szans. A poza tym brata Wojciecha nie musiała się chyba obawiać.

Wreszcie dotarli do kwatery przewodnika. Siedział za biurkiem, pogrążony w studiowaniu jakichś dokumentów. Kiedy weszli, podniósł wzrok znad papierów, gestem kazał mężczyźnie odejść i wskazał dziewczynie krzesło.

- Co się stało? - spytał z troską. Zdjął okulary, wpatrzył się uważnie w jej twarz. - Chora jesteś?

- Nie wiem - odparła cicho, z pewną nieśmiałością. Wbrew wszystkiemu, wbrew rozsądkowi i okropnym wspomnieniom, kiedy przebywała z nim sam na sam, wciąż czuła nabożny respekt przed Wojciechem, zdawał jej się postacią oderwaną od całego zła. Miał to w oczach, w szczerym, jasnym spojrzeniu. Wbrew rozsądkowi nie potrafiła go odrzucić. - Nie wiem - powtórzyła. - Nagle poczułam straszne mdłości. Może... - zająknęła się. - Może jestem...

- Trzeba będzie to zbadać. Jeśli Bóg pobłogosławił cię dzieckiem, zapewnimy i jemu, i tobie należyłą opiekę. Zaraz przyjdzie siostra Marietta, zna się na rzeczy, bo pracowała jako pielęgniarka.

Ewelina nie wiedziała, czy to przypadek, czy może kapłan przycisnął pod stołem jakiś guzik, ale w tej samej chwili weszła kobieta.

Dziewczyna zawsze podziwiała jej piękną, choć zarazem surową twarz i nienaganną sylwetkę. Jednak od czasu „wtajemniczenia”

odczuwała przed Mariettą strach prawie tak silny, jak przed bratem Robertem. Prawa ręka przewodnika zbliżyła się ze strzykawką.

- Nie bój się, to tylko zastrzyk wzmacniający - powiedział uspokajającym tonem Wojciech. - Glukoza, witaminy, jakieś mikroelementy. Jeśli chcesz, siostra najpierw wstrzyknie część zawartości sobie, a potem zmieni igłę i poda ci odpowiednią dawkę.

- Nie trzeba.

Ewelina obawiała się, że jeśli teraz nie okaże zaufania, Marietta zemści się jeszcze tego samego wieczoru. Przecież zawsze może jej wyznaczyć jakąś uciążliwą pracę albo zwyczajnie zmusić do obrzydliwego lesbijskiego seksu, co czyniła w przypadku opornych i buntujących się dziewczyn. Igła weszła w pośladek prawie bezboleśnie. Dziewczyna była nawet zdziwiona, że niewiele czuje, choć kobieta podawała środek dość szybko.

- Za parę minut powinnaś poczuć się nieco lepiej - uśmiechnął się kapłan. - A teraz powiedz, jak ci się podoba nowe zajęcie?

- Jestem zadowolona, bracie Wojciechu. Czy to będą moje stałe obowiązki?

- Na razie tak. Oczywiście, jeśli nie będziesz chora. Wtedy wyznaczę do tej pracy inną dziewczynę.

Ewelina przeraziła się, że jeśli to nastąpi, po powrocie do zdrowia będzie musiała pracować z innymi, narażona na spotkanie z Robertem.

- Już mi lepiej - odpowiedziała stanowczo. - Mogę zacząć choćby zaraz.

- Nie trzeba. Dzisiaj odpoczniesz. Po prostu nie ma pracy - dodał szybko, widząc, że dziewczyna chce zaprotestować. - Jutro otrzymasz nową partię materiałów.

Odetchnęła z ulgą. Wojciech spojrział na Mariettę. Ta ujęła Ewelinę pod rękę i wyprowadziła z gabinetu. Za drzwiami puściła jej ramię, pociągnęła mocno za włosy.

- Pójdiesz do siebie - rzekła niskim, lekko zachrypniętym głosem. - Będę cię obserwować. Jeśli zobaczę, że z kimś rozmawiasz po drodze, przyjdę do ciebie w nocy.

Ewelina skuliła się. Przebiegła truchtem przez podwórze i znikła w baraku zajmowanym przez grupę najwyższego wtajemniczenia. W

swoim pokoju rzuciła się na łóżko, ukryła twarz w poduszce i rozpląkała się. A potem nagle nadciągnęła ciemność.

Chwyciły ją torsje, zdawały się wyrwać wnętrzości. Chciała zawołać o pomoc, ale nie była w stanie.

*

Znów ten przeklęty mrok. Nie cierpiała spotkań z człowiekiem, który od lat był jej pracodawcą, a którego w głębi duszy serdecznie nie znosiła. Za drzwiami stali ochroniarze.

Jak zawsze przed rozmową została przeszukana.

- Mam dość tego braku zaufania - powiedziała z wyrzutem do zarysu postaci mężczyzny. Mdłe, nędzne światło zza jego pleców sprawiało, że widziała jeszcze mniej niż zazwyczaj.

- Ja nie mam zaufania do nikogo - odparł spokojnie. - Zbyt często oglądałem zdradę.

- Zbyt często sam pan w niej uczestniczył.

Nie powinna wypowiadać tych słów, zdawała sobie z tego doskonale sprawę. Szef nie cierpiał podobnych uwag. Jednak tym razem nie zareagował gwałtownie.

- Widzisz, maleńka - powiedział bez złości - właśnie dlatego nie pokazuję twarzy. To by stanowiło komplikację w sytuacjach konfliktowych. Mogę cię teraz skarcić za bezczelność, mogę odesłać do wszystkich diabłów, zerwać współpracę bez najmniejszych konsekwencji. Ale jest jeszcze coś: gdybyś mogła widzieć moją twarz, spojrzeć prosto w oczy, stworzyłoby to między nami pewną więź. Nie!
- Uciał w zarodku jej niewypowiedziany protest. - Nie chodzi o zafascynowanie drugą osobą i seks. To rzecz bardziej ulotna, zupełnie niekonkretna, oderwana od samej pracy. Tobie może byłoby w sumie wszystko jedno, ale ja miałbym trudności z samym sobą, powierzając ci pewne zadania.

- Myślałby kto, że taki pan wrażliwy. - Tego też nie powinna mówić, ale złość w niej buzowała zbyt mocno, aby mogła się powstrzymać. - Wrażliwi nie pchają się do tej roboty.

- Nie? - usłyszała w jego głosie uśmiech. - A ty? Jesteś przecież taka wrażliwa, a jednak pracujesz dla mnie.

Pokręciła głową, rozłożyła ręce.

- Ja nie mam wyjścia. Zostałam usidlona, moje zagmatwane życie tak się zemściło.

- A skąd wiesz, że i ja swego czasu nie zostałem podobnie schwytyany w wywiadowczą sieć? A twój przyjaciel, którego znasz pod imieniem Paweł...

- On nie jest moim przyjacielem!

- Dobrze, w takim razie twój kochanek...

- Nie jesteśmy...

- Jesteście - przerwał jej ostro mężczyzna. - A w każdym razie przez jakiś czas byliście! Miałś nadzieję, że to się przede mną ukryje? Nie ma takiej możliwości.

Milczała przez chwilę, zbierając myśli. Kilka epizodów dwojga spragnionych odrobiny ciepła ludzi. Nie miały większego znaczenia, wydarzyły się przecież lata temu. A jednak zostały rozpracowane i zapamiętane.

- To on, tak? - spytała jadowitym tonem. - Doniósł o wszystkim, żeby się przypodobać?

- Nie, nie on, moja droga. W każdym razie nie do końca. Po prostu wtedy jeszcze nie wiedział, że jego mieszkanie pozostaje nie tylko pod ścisłą obserwacją, ale zamontowano w środku kamery. Teraz już wie. Dlatego nie musi do mnie biegać z każdym raportem. Czasem wystarczy, że odda się w swoim azylu głośnym rozważaniom.

Zesztywniała, próbowała wzrokiem przebić mrok otaczający rozmówcę, za wszelką cenę spojrzeć mu w oczy.

- Czy to znaczy, że ja... że w moim mieszkaniu także...

- Tego nie wiesz i na razie nie będziesz wiedziała.

- Aż tak mi pan nie ufa? - spytała gorzko.

- Mówiłem już, że nie ufam nikomu. Naszą komórkę powołano nie po to, żeby świadczyć sobie uprzejmości i dusery, ale w celu skutecznego działania. Dlatego nie wie o nas nikt z wyjątkiem kilku wtajemniczonych osób. Ale skończmy już tę jałową dyskusję. Czekam na raport, jak się zachowuje figurant.

Wzruszyła lekko ramionami.

- Tak jak do tej pory. Węszy, szuka, na pewno jest coraz bliżej celu. Obawiam się tylko, że może przy tej okazji stracić życie.

- Obawiasz się? - spytał czujnie. - Czyżby obserwacja stworzyła niebezpieczną więź? To się czasem zdarza.

Potrząsnęła głową.

- Po prostu niejasno się wyraziłam. Podjął bardzo niebezpieczną grę, która może się dla niego źle skończyć.

- Wszyscy podejmujemy takie działania, przynajmniej od czasu od czasu. A nasz obiekt chyba nawet to lubi. A przynajmniej nie ma nic przeciwko. Dobrze, to był wstęp. Teraz poproszę o pełny raport.

*

Posel Antoni Stefanik siedział w swoim warszawskim biurze od dobrych dwunastu godzin. Wertował papiery, żądał od pracowników coraz to nowych dokumentów. Asystent wniósł kolejny plik teczek i bez słowa położył go na biurku. Posel podniósł głowę, spojrzął za okno.

- Cholera, już ciemno - mruknął. - Idźcie do domu. Niech zostanie tylko Ewa. Mogę potrzebować jej pomocy. Powiedz, że zapłacę nadgodziny co do grosza. Zresztą wszyscy dostaniecie premie.

Asystent uniósł brwi w wyrazie zdziwienia, ale nie odezwał się, kiwnął tylko głową.

Wyszedł do sekretariatu. Stefanik nacisnął klawisz umieszczony pod blatem biurka.

- Ewa - usłyszał głos pracownika - stary kazał wszystkim oprócz ciebie iść do domu. Ale jest coś nowego - dodał, bo najwyraźniej jego słowa nie zrobiły na kobiecie należytego wrażenia. - Obiecał zapłatę za nadgodziny i jakąś premię. Stary kutwa w życiu nie dał złamanego grosza za harówkę po nocach. Pamiętasz, ile razy siedzieliśmy, czekając, aż komisja skończy obrady? Jak zapieprzałem z papierami po nocy, bo jaśnie wielmożnemu coś się przypomniało? A tutaj zobacz, ledwie o parę godzin przedłużył nam robotę, a gada o pieniądzach. Coś się stało?

Sekretarka chwilę milczała.

- Ludzie się zmieniają, Mareczku - odezwała się wreszcie. - Może postanowił stać się lepszy?

- On? - asystent prychnął. - Chyba że stanął nad grobem, a na to nie wygląda. Dobra, idę do domu. A ty się trzymaj, nie daj się zajeździć.

- Postaram się. Pa.

Posel nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, ale z głośnika docierały jedynie odgłosy odległych rozmów, krzątania wychodzących pracowników. Wreszcie zapadła cisza przerywana stukaniem palców sekretarki po klawiaturze komputera. Stefanik nacisnął drugi guzik.

- Ewuniu - powiedział. - Możesz przyjść do mnie na chwilę?

- Oczywiście, szefie.

Obite wytłumiającą hałas gąbką drzwi otworzyły się i stanęła w nich kobieta po trzydziestce, średniego wzrostu, w dopasowanym kostiumie, o długich blond włosach, ujętych z tyłu w efektowną kaskadę spiętą hiszpańskim grzebieniem.

- Słucham.

- Moja droga. - Stefanik odchylił się na fotelu. - Poinformujesz jutro kolegę Marka, że jego kariera jako mojego asystenta dobiegła końca. Otrzyma miesięczne wynagrodzenie i wilczy bilet.

- Dlaczego tak ostro? - zdumiała się sekretarka.

- Nie podoba mi się jego stosunek do pracy. Zresztą nie muszę się nikomu tłumaczyć - dodał nieprzyjemnym tonem.

- Oczywiście. - Kobieta uciekła spojrzeniem.

Posel Stefanik bywał wybuchowy i nieobliczalny, jeśli napotykał na opór albo objawy niesubordynacji ze strony podwładnych. Dlatego lepiej było niepotrzebnie się nie narażać.

- Cieszę się, że to zrozumiałaś - rzekł miękko mężczyzna. - Czekam na bardzo ważny telefon. Zwolniłbym cię do domu, ale może się okazać, że trzeba wysłać jakieś faksy, sprawdzić wiadomości w poczcie. Wiesz, że nie bardzo sobie radzę z tą całą informatyką.

Skinęła głową. Posel radził sobie doskonale z nowinkami technicznymi, ale nieodmiennie obnosił się ze swoją pogardą dla postępu. Otoczenie nieraz śmiało się z niego za plecami, że próbuje naśladować pewnego znanego działacza z Krakowa, który swego czasu chwalił się, jakoby nie posiadał komputera ani nawet telefonu komórkowego.

- Czy coś panu podać? Kawę i ciasto?

- Tak, kawę na pewno. Może też coś przegryzę i do tego poproszę mój ulubiony zestaw.

Sekretarka skinęła głową.

- Naprawdę zamierza pan wylać Marka? - spytała jeszcze. - Myślałam, że jest pan z niego zadowolony.

- Dziecko drogie - roześmiał się Stefanik. - Gdybym chciał go naprawdę wyrzucić, sam bym mu to powiedział i kazał przygotować papiery. Nie odmówiłbym sobie przyjemności zobaczenia jego miny. Chcę mu po prostu udzielić życiowej nauki. Jak już się porządnie na mnie naklnie i trochę pomartwi, przyślesz go, a ja okażę łaskę. A teraz idź, zrób tę kawę. Pośpiesz się. Nie chcę zbyt długo czekać na zestaw obowiązkowy. Aha, nie zapomnij zamknąć drzwi wejściowych. Strzeżonego... i tak dalej.

*

Marek jechał windą. W przedwojennej kamienicy jej szyb był umiejscowiony pośrodku przestrzeni, którą otaczały schody. Asystent Stefanika mieszkał na drugim piętrze, zabytkowy mechanizm poruszał się powoli, więc piechotą byłby na miejscu o wiele szybciej, ale lubił wjeżdżać kabiną, z której mógł obserwować oddalającą się podłogę holu, belki wzmacniające, przesuwane się poręcze. Po kilkudziesięciu sekundach winda zatrzymała się.

Korytarz, w którym znajdowało się mieszkanie Marka, był ukryty w mroku. Mężczyzna zaklął pod nosem. Znów przepalona żarówka. Nieraz zastanawiał się, jak to jest, że żarówki zakładane przez administrację tak często się przepalają. Zrozumiał to, kiedy sąsiad uświadomił mu, iż założenie nowej jest rozliczane w kosztach bieżących wspólnoty, a trwająca pół minuty usługa kosztuje lokatorów kilkanaście złotych. Najwyraźniej więc zarządca dba, aby zakupywany towar nie był najwyższej jakości.

- To wszystko kręci się zupełnie tak, jak w całym naszym kraju - roześmiał się wtedy.

- Kto może, nacina naiwniaków. Sprytnie, sprytnie. Na naszej klatce wymienia się pewnie z piętnaście żarówek rocznie, lekko licząc, a takich klatek jest kilkaset pod jednym zarządem. To naprawdę niezły obsuw dla firmy. Niby złodziejstwo, a nie można im nic udowodnić.

Takich numerów zapewne mają w zapasie dużo więcej.

Sąsiad spojrział dziwnie. Najwyraźniej nie podzielał zachwyty nad sprytem ludzi czuwających nad wspólnotą mieszkaniową. Nie czuł jak Marek, o co w tym wszystkim chodzi. Płynność gotówki, stały przepływ pieniędzy to siła, która napędza cały świat.

Nieważne, czy się ukradnie, czy zarobi. Najważniejsze to puścić forszę w ruch, reszta zrobi się sama. Wiedział to od dawna, ale pracując u posła Stefanika, miał okazję bezpośrednio obserwować, jak to się dzieje.

Wyjął klucze, pochylił się, żeby w panującym półmroku trafić do zamka. Światło lamp z górnego oraz dolnego piętra było bardzo nikle. Ledwie przekręcił klucz i nacisnął klamkę, jakaś siła pchnęła go do środka mieszkania. Uderzył głową w przeciwległą ścianę, przed oczami zatańczyły gwiazdy. Tymczasem drzwi zatrzasnęły się. Napastnik szarpnął asystentem, postawił go na nogi. W oczy przestraszonego mężczyzny uderzyło ostre światło latarki.

- Dawaj klucze.

Marek, choć oszołomiony, zdumiał się tym żądaniem tak bardzo, że na chwilę zapomniał o bólu i strachu.

- Po cholere? Przecież jesteś już w środku...

Napastnik nie odpowiedział. Kopnął go w pachwinę. Asystent zgiął się w pół, przeciągle jęknął. Wypuścił pęk z dłoni. Klucze upadły z brzękiem na miękką wykładzinę.

- Grzeczny chłopczyk - padły drwiące słowa. - A teraz wypijesz na kolację coś pożywnego i smacznego.

Marek odzyskał oddech.

- Kurwa twoja mać - wyrzęził.

- Mylisz się, moja mama jest bardzo cnotliwą kobietą. - W głosie napastnika nie było gniewu, ale niespodziewanie kolejny cios spadł na kark asystenta. - Pij! - To już było powiedziane rozkazującym, ostrym tonem.

Wcisnął Markowi plastikową buteleczkę.

- Co to jest? Jakaś trucizna? - Przerażony mężczyzna odepchnął naczynie. Zaraz tego pożałował, bo straszny ból przeszył całe ciało od lewego ucha aż do stóp. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że było to mierzone, fachowe uderzenie tuż za małżowinę.

- Jakbym chciał cię zabić, kretynie, tobym ci kark skrzył i upozorował wypadek, a nie bawił się w pojenie niemowlaka. To tylko na lepszy sen. Chyba że obiecasz mi, że nikomu o tym nie powiesz, nigdzie nie będziesz dzwonił aż do jutrzejszego południa.

- Tak, tak. - Asystent gorliwie pokiwał głową, nie zważając na ból. - Przysięgam, nikomu nic...

- Masz mnie za idiotę? Tak tylko powiedziałem. Nie wyczułeś ironii? Nie dość, że złodziej, to jeszcze głupek? Pij!

Marek przestał się bronić. Musi udać, że pije, i wszystko zaraz wypłuć. Potem trzeba będzie coś wymyślić... Posłusznie przechylił butelkę. W tym momencie napastnik chwycił go za głowę. Zakrył mu usta i ścisnął nos.

- Tak jest - rzekł zadowolony, kiedy ofiara przelknęła płyn. - Grzecznie i bez niespodzianek. Widzę, że można się z tobą dogadać. Teraz poczekamy parę minut, aż prochy zaczną działać, i położę cię lulu.

*

Limuzyna na dyplomatycznych rejestracjach podjechała pod stację benzynową.

Kierowca otworzył od środka klapkę wlewu, wysiadł i spojrzał na dystrybutor, po czym wziął przewód z najdroższym paliwem. Otworzyły się drzwi od strony pasażera i z auta wysiadł siwy mężczyzna w drogim garniturze. Rozejrzał się i przeciągnął leniwie. Zerknął na logo „Lukoilu”, odbijające się w mokrej jezdni.

- Chwila przerwy, Miszka - powiedział do kierowcy, po czym wszedł do pawilonu handlowego.

- Gdzie znajdę ubikację? - spytał po ukraińsku.

Sprzedawca bez słowa wskazał korytarz z lewej strony, podał klucz. Siwy rzucił mu monetę. Mężczyzna za ladą spojrzał na nią obojętnie, potem zerknął na klienta znikającego za drzwiami toalety. Wtedy wszedł następny człowiek. Podał banknot, a monetę ostrożnie zawiązał w kawałek folii. Położył palec na ustach.

Siwy stanął przy pisuarze i wyjął telefon.

- To ja - powiedział po polsku. - Za pół godziny zadzwonicie, że można odebrać towar. Na pewno - warknął. - Wiesz, jak nie lubię niepotrzebnych pytań.

Wyszedł z ubikacji, nie myjąc rąk. Przechodząc obok kasy, uśmiechnął się samymi kącikami ust.

- Przekaż im, że nie muszą się trudzić. Na monecie nie znajdują odcisków palców. Nigdzie ich nie znajdują.

Sprzedawca w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami. Patrzył na odjeżdżające auto.

Kiedy znikło w ciemnościach, przed pawilonem pojawił się ten sam człowiek, który zabrał monetę. Wyjął z kieszeni małą buteleczkę z atomizerem i spryskał tę część dystrybutora, której dotykał kierowca. Sprzedawca wyszedł na zewnątrz, zbliżył się do mężczyzny.

- O co chodzi? On kazał wam powiedzieć...

- Wiem, wiem. Idź do środka. Niczego nie widziałeś, niczego nie słyszałeś. Chyba że chcesz mieć małą wizytę w środku nocy.

Pracownik stacji czym prędzej się oddalił.

- Trzeba lepiej pilnować pracowników, panie Panfilów - mruknął mężczyzna przy dystrybutorze. - Po nitce wreszcie dotrzemy do kłęбка.

*

Michał wszedł do gabinetu pośła, z rozmachem otwierając drzwi. Stefanik siedział w fotelu za biurkiem, odchyłony daleko do tyłu, z przymkniętymi oczami. Na jego twarzy widać było wyraz rozmarzenia. Podskoczył, kiedy ciężkie skrzydło uderzyło o blokadę i załomotało głucho. Nad blatem biurka ukazało się przestraszone oblicze ładnej kobiety. Wroński uśmiechnął się do niej. Kobieta natychmiast pozbiierała się, zaczęła w pośpiechu zapinać guziki bluzki, odruchowo otarła usta. Pośel skulił się, gorączkowo gmerając przy spodniach.

- Nie trudź się, przyjacielu - powiedział Michał tonem uprzejmej konwersacji. - Zajmę tylko chwilkę, a potem będziecie mogli wrócić do przerwanych czynności służbowych.

- Kto... Coś ty za jeden? - wykrztusił Stefanik.

- Wpadłem na chwilę. Zobaczyłem z dołu zapalone światło. Oho, myślę, czyżby filar polskiego parlamentaryzmu poświęcał się o tak

późnej porze pracy dla ogólnego dobra? A tak źle się niektórzy wyrażają o wybrańcach narodu. No to przyszedłem zobaczyć ten precedens.

- Ale przecież... Zamknęłaś drzwi? - Stefanik zwrócił się do sekretarki. Ta pokiwała głową. - Na pewno? - Znow gorliwe potwierdzenie. - Jak wszedłeś?

- Dostałem klucze od twojego asystenta, Anteczku. To bardzo miły i uczynny koleżka. Nie, nie zabiłem go. Podobne metody pozostawiam takim, z którymi na co dzień współpracujesz. Marek śpi jak niemowlę i szybko się nie obudzi. A my mamy czas na małą pogawędkę.

Poseł zdołał już nieco ochłonać.

- To... to najście! - wybuchnął. - Ewa, dzwoń po ochronę, sprowadź policję...

Michał zatrzymał kobietę zdecydowanym gestem.

- Na twoim miejscu - rzekł groźnie, patrząc na posła - nie byłbym taki szybki, żeby wzywać organy ścigania. Najpierw bym porozmawiał z kimś, kto przychodzi do biura poselskiego i grzecznie prosi o posłuchanie.

- Kim ty w ogóle jesteś?

- Powiedzmy, że twoim sumieniem, panie pośle. Twoim pierdolonym sumieniem, o którego istnieniu dawno zapomniałeś. Może to banalny i wyświechtany tekst, ale oddaje istotę sprawy.

- Ewa... - zaczął Stefanik, ale zamilkł na widok skierowanego w jego stronę pistoletu.

- To jest glock - powiedział swobodnie Michał. - Kaliber dziewięć. Robi bardzo fajne dziury w dowolnym miejscu. Można za jego pomocą przewietrzyć umysł, można trafić nawet do serca. Zanim zaczniesz znowu szaleć, powiem tylko jedno nazwisko: Wojciech Wylenko. Mówi to panu coś, że zacytuję ulubione powiedzenie jednego bohaterów serialu „Dom”?

Swoboda i naturalność intruza zupełnie zbijają z pantałyku posła.

- Co za Wojciech Wyczenko? - spytał.

- To ja powinienem zadać takie pytanie. Wracają duchy przeszłości, nieprawdaż, panie pośle? O ile zdążyłem się domyślić, miał pan coś wspólnego z księdzem Wojciechem w dawnych czasach, kiedy inwigilował środowiska emigracyjne. Nie ma co się oburzać i

zaprzeczać. Jestem na sto procent przekonany, że kolega Wyczenko jest posiadaniem materiałów, które mogą pana pograżyć.

- Ewa, wyjdź! - rzucił ostro Stefanik.

- Tylko bez numerów - ostrzegł Wroński, chowając pistolet. - Wydaj jej odpowiednie dyspozycje, Antosiu, bo gotowa nam tutaj sprowadzić policję i sprawy się mocno skomplikują.

- Słyszałaś? - Poseł spojrział na kobietę. - Siedź u siebie i zajmij się papierami. A w ogóle nic tu nie zaszło. Wpadł do mnie stary znajomy na pogawędkę. Jasne?

Sekretarka nie odpowiedziała.

- Jeszcze do niej nie dotarło, co się tutaj dzieje - zauważył Michał.

- Jasne?! - powtórzył groźnie Stefanik.

- Tak, jasne - wyjąkała.

Wyszła, odprowadzana ciężkim wzrokiem przełożonego i rozbawionym Michała.

- Zostaliśmy sami - zauważył beztrosko Wroński. Jego lekki ton kontrastował ze świdrującym spojrzeniem, którym przewierał rozmówcę. - Dobrze, panie pośle - powiedział cicho. - Nadszedł czas, by spłacić dług.

- Jaki znów dług? Kto cię nasłał? Banki zaczęły wynajmować takich... takich... egzekutorów?

- Nie jestem niczym cynglem. Już powiedziałem, jestem twoim sumieniem. A ono domaga się spłaty długu. Widzę, że nie pojmujesz. Przez lata stania przy korycie odzwyczaiłeś się od pewnych spraw. Na przykład od tego, że długi są nie tylko finansowe. Istnieją także długi moralne, a ty je masz w stosunku do społeczeństwa.

Stefanik prychnął pogardliwie.

- Pieprzenie.

- Być może. Jednak moje pieprzenie ma związek z twoim stanowiskiem. Komisja służb specjalnych to nie byle co, prawda? Ilu kolegów musiałeś wygryźć, żeby się tam znaleźć i zostać przewodniczącym? Ilu podstawileś nogę przez ten czas pracy w tym organie? Jakie plecy i jakie dojścia uzyskałeś?

- O czym ty...

- O wszystkim - nie pozwolił mu dokończyć porucznik. - A najważniejsze są dla mnie twoje powiązania z Wyczenką i jego pomagierem, Łazarzem.

- Jakim znów Łazarzem?! Nie znam takiego! Z Biblią ci się chyba coś popierdoliło!

- Taaaak? - rzekł przeciągle Michał. - Ciekawe sformułowanie. Z Biblią się coś popierdoliło. A jak zestawienie tych słów brzmi w duszy człowieka, który co niedzielę lata do kościoła? Którego widać na uroczystościach w Częstochowie tuż obok głowy państwa? Żadnego dysonansu? Zupełnie nic?

- Ty jakiś nawiedzony jesteś? Kto cię nasłał?

Wroński powoli okrążył biurko. Stał nad posłem, który skulił się, oczekując ciosu.

Jednak uderzenie nie nastąpiło. Za to zabrzmiały ciężkie słowa, wypowiedziane pogardliwym tonem.

- Jesteś żalosny, wybrańcu narodu. Zwyczajnie żalosny. Powiedz, jakich podłości dopuściłeś się w ostatnim czasie? Jak wykorzystujesz daną ci władzę? Oszustwa, szalbierstwa, narkotyki, lewe interesy, fałszywa forsa, niszczenie ludzi i diabli wiedzą, co jeszcze. Gdyby nie to, że jesteś mi potrzebny, nie wahałbym się ani chwili, żeby oddać cię razem z dowodami winy w ręce odpowiednich władz.

- Nie masz żadnych dowodów winy - wykrztusił Stefanik.

- Mam pewne nagranie. Porozmawiałem sobie z twoim kumplem, radnym Legieniem. O, widzę, że nazwisko nie jest ci obce. To było bardzo interesujące i pełne treści spotkanie.

Posel oddechał szybko, nieco chrapliwie. Michał wrócił na poprzednie miejsce z drugiej strony biurka.

- Gównu ci powiedział! Leszek nie z tych.

- Nie, nie z Tych. Z Brzegu - zakpił Wroński. - A w ogóle mówi się z Tychów. A pan Lesław okazał się bardzo rozmownym, uczynnym facetem. Nawet nie wiesz, jak chętnie składa zeznania człowiek w pewnych sytuacjach, które pobudzają szare komórki.

- To znaczy, że zeznania zdobyłeś przemocą! Są więc bezprawne!

- Na nagraniu tego nie widać - odparł spokojnie Michał.

- Żaden sąd tego nie uzna!

- Ach, o to ci chodzi? Masz mnie za idiotę? Nawet przez pół sekundy nie miałem zamiaru dawać prokuraturze. Są w tym kraju gazety, stacje radiowe i telewizyjne. A pan radny mówił ciekawe rzeczy.

Posel chwycił się za pierś. Jego oddech stał się jeszcze bardziej chrapliwy, twarz mu poczerwieniała.

- Pogotowie - wyrzeźił. - Wezwij pogotowie.

- Co wiesz o Łazarzu? - Porucznik nie poruszył się.

- Nie znam żadnego Łazarza!

- Twój kumpel, Wojciech Wyczenko, nie przedstawił cię swojemu staremu przyjacielowi?

- Wezwij pogotowie... Ja nic nie wiem...

Michał zajął pod biurko, wyprostował się.

- Owszem, wiesz, robaczku - powiedział z krzywym uśmiechem - wiesz wszystko, czego mi trzeba. I zaraz usłyszę całą prawdę.

- Nic nie usłyszysz. Ja umieram, mam zawał... Ewa! Ewa!

Wroński przyskoczył do niego, uderzył na odlew w czerwony policzek. Powtórzył cios z drugiej strony.

- Przestań udawać - warknął. - Zawał masz tylko od pasa w górę? Bo twoje nogi jakoś nie wykonują żadnych gwałtownych ruchów.

Jeśli do tej pory miał jeszcze wątpliwości, czy parlamentarzysta udaje, teraz pozbył się ich zupełnie. Z bliska zobaczył w oczach Stefanika zawód i wściekłość. Posel jeszcze próbował symulować atak, ile kolejnie dwa uderzenia skutecznie go zniechęciły.

- Czego chcesz? - spytał ze złością.

- Zapnij już rozporek - zaśmiał się Michał. - Fiutek dawno zmiękł, spokojnie poradzisz sobie z ułożeniem go w gaciach. A czego dokładnie chcesz? Pomocy, panie pośle. Przyszedł do ciebie wyborca w obywatelskiej sprawie i zamierza uzyskać obywatelską pomoc. Chociaż raz zrobisz coś dla innych. Kaldun już napchałeś, pora trochę ruszyć ciężki zadek i popracować dla dobra publicznego. Od twojej postawy zależy, czy skończysz karierę polityczną w atmosferze skandalu, czy odejdziesz z godnością, ze względu na zły stan zdrowia. Stop! - Podniósł rękę, tłumiąc w zarodku sprzeciw rozmówcy. - Trzeciego wyjścia nie ma. Zdaję sobie sprawę, że Wyczenko ma na ciebie haka,

zapewne niejednego, ale jeśli uda mi się doprowadzić sprawę do końca, nie zdoła ich użyć.

- Dlaczego to robisz? Jeśli tyle o mnie wiesz, mógłbyś...

- Mógłbym zbić na tym fortunę, tak? Szantażować cię, korzystać z poparcia, a może w ogóle wejść do spółki. Nie interesuje mnie to. A jeśli chcesz wiedzieć, dlaczego to robię, powiem z przyjemnością. Z trzech zasadniczych przyczyn, a właściwie dla trzech osób. Jedna z nich nie żyje. Przysiągłem sobie, że dopadnę drani, którzy stali za jej śmiercią. Pierwszy już gryzie ziemię. Dopadłem go tam, gdzie najmniej się spodziewał. Za granicą, w Budapeszcie. Złapałem go tak, jak ciebie dzisiaj, z fujarą na wierzchu, tyle że on przynajmniej zapłacił kurwie za usługę, a nie zmuszał do seksu swoją pracownicę.

- Ja Ewy do niczego...

- Druga z tych osób - Michał nie słuchał tłumaczeń - to piękna kobieta, która mnie poprosiła o pomoc, a że tak się złożyło, iż jest mi z jej sprawą po drodze, nie widzę powodów, by odmówić. I wreszcie trzecim człowiekiem jest mój przyjaciel, który został uwięziony z powodu machinacji skurwysynów podobnych do ciebie, Wyczenki i Łazarza.

- Co ty z tym Łazarzem? - jęknął Stefanik. - Kto to w ogóle jest?

Wroński spojrzał uważnie na przestraszonego mężczyznę.

- Jestem w zasadzie całkowicie pewien, że przebywa na terenie sekty. Na pewno też nie jest podrzędnym jej członkiem, musi się kręcić przy samym szefie. Morda pobrużdżona, oczy szaroniebieskie. Widać w nich całe skurwysyństwo świata. Ale dla ciebie to żadna wskazówka. Ty wciąż masz do czynienia z takimi typami. Sam do nich należysz.

Stefanik przymknął oczy. Widać było, że waży w sobie jakąś decyzję.

- Jest przy Wojciechu jeden człowiek - zaczął i zamilkł.

- O, widzisz, doskonale! - ucieszył się Michał. - Nareszcie przestałeś udawać dziewicę orleańską. Mów, mów. To bardzo ciekawe.

- Ale nie bardzo pasuje do twojego opisu. Widać, że starszy facet, jednak twarz ma gładką, wręcz nienaturalnie, taką jakąś opuchniętą, a oczy brązowe.

Wroński przygryzł wargę.

- Mów dalej. Jeśli to nie ten, mówi się trudno. Ale tak czy inaczej, dorwę twojego Wojtusia i wyduszę z niego informację, gdzie się ukrywa Łazarz.

- Nie dasz mu rady - powiedział twardo poseł. - Do niego nie wejdiesz jak tutaj, nie podprowadzisz kluczy od głównej bramy. Nie zbliżysz się nawet do płotu.

- Nie bój się, przyjacielu. Mam znakomity pomysł, jak dostać się do siedziby sekty bezkrwawo i bezstresowo...

Zamilkł, bo drzwi otworzyły się. Do pokoju wpadło trzech policjantów i człowiek z ochrony. Natychmiast rzucili się na Michała, wykręcili mu ręce, szczęknęły kajdanki.

- Panie pośle - powiedział funkcjonariusz w stopniu sierżanta - mam nadzieję, że nic się panu nie stało.

Wroński patrzył spokojnie na Stefanika. Widział, jak ten bije się z myślami.

Uśmiechnął się do niego samymi kącikami warg.

- Wiesz, gazety, prasa, telewizja... - szepnął prawie bezgłośnie.

- Ewa! - zawołał poseł. Sekretarka weszła. Była błada i przerażona. - Ewa, coś ty wymyśliła? Przecież ten pan jest moim dobrym znajomym, wpadł odwiedzić kolegę. Dlaczego wezwwałaś policję?

Kobieta wyglądała, jakby sufit zawałił się jej na głowę.

- Kiedy ja - wydukała - kiedy mnie... mnie się wydawało...

- To niech ci się na przyszłość nie wydaje! - warknął Stefanik. - Proszę uwolnić mojego przyjaciela.

- Jest pan pewien? - spytał policjant. Ważył w dłoni pistolet odebrany Michałowi.

- Jestem.

- W takim razie poproszę o pozwolenie na broń - zwrócił się do porucznika. - I jakiś dokument tożsamości.

Michał wymownie poruszył skutymi rękami. Na znak dowódcy policjant otworzył kajdanki. Porucznik sięgnął do kieszeni, by wydobyć stamtąd zaświadczenie i dowód osobisty. Bystry wzrok sierżanta dostrzegł w portfelu legitymację z odcisniętym orłem.

- A to co? - wyciągnął rękę.

- A to już nie pana sprawa. - Wroński spojrzał funkcjonariuszowi prosto w oczy. - Dowód i pozwolenie wystarczą.

Sierżant zmarszczył brwi, ale skinął głową.

- Wystarczą albo nie. Zaraz zobaczymy.

Długo studiował dokumenty. Wreszcie oddał je właścicielowi.

- A tamto - wskazał kieszeń, w której zniknął portfel - to podstawa wydania pozwolenia, nieprawdaż? Mógłbym zobaczyć?

Michał pokręcił głową.

- Jak pan chce, proszę zabrać spluwę. A rano ją po prostu odzyskam. Nie mam ochoty...

- Mogę też pana zatrzymać do wyjaśnienia - podniósł głos policjant.

Michał westchnął. Kolejny niedowiarek podobny do komendanta z Ostrowa Wielkopolskiego.

- Dajcie spokój - wtrącił się Stefanik. - To mój gość. Jeśli pan chce, sierżancie, proszę zatrzymać jego broń. Ale gościa mi zostawcie.

- Dobra - machnął ręką funkcjonariusz, podając Michałowi glocka. - Poręczenie pana posła w zupełności wystarczy.

Wroński widział wyraźnie zawód na twarzy gospodarza. Na pewno wołałby, aby pistolet jednak został zabrany, ale w zaistniałej sytuacji nie bardzo mógł coś w tej sprawie zrobić. Policjanci i ochroniarz wyszli. Sekretarka próbowała wycofać się cichaczem, ale powstrzymał ją ostry głos posła.

- Ewa! Powiedziałem wyraźnie, że masz się zająć papierami! Co ty sobie wyobrażasz?

- Ale ja myślałam...

- Na przyszłość nie zajmuj się tak skomplikowanymi czynnościami jak myślenie! Masz przede wszystkim słuchać i wykonywać polecenia. Inaczej się rozstaniemy. Zrozumiałaś?

- Tak - szepnęła, a potem zatrasnęła drzwi.

Michał dostrzegł jeszcze łzy, które popłynęły jej z oczu.

- Powinieneś ją pochwalić i dać premię - powiedział w przestrzeń. - Przecież zrobiła to dla ciebie, stary capie. Niedobry jesteś.

Stefanik parsknął, ale nie odpowiedział. Przyglądał się intruzowi z nowym zainteresowaniem.

- O jakiej legitymacji mówił ten glina? Co tam chowasz? Kim naprawdę jesteś?

- Nie twoja sprawa. Ważne jest nie to, kim jestem, ale czego od ciebie chcę. I właśnie o tym teraz rozmawiamy.

Coś go niepokoiło, nie dawało spokoju. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że przecież ci gliniarze powinni go zatrzymać. Mimo wszystko, bo prośba posłała to trochę mało, żeby tak sobie puścić uzbrojonego człowieka, który w dodatku ewidentnie ma coś do ukrycia.

Ale nie tylko to powodowało, iż czuł się cokolwiek nieswojo.

- Taaak - powiedział przeciągle, patrząc na Stefanika i zastanawiając gorączkowo, jaka jest przyczyna tego nagłego zamętu w głowie. - Porozmawiamy...

„Ładujesz się w jakiś kanał, człowieku” - mówił wewnętrzny głos. „Wpieprzasz się w coś, co cię może przerosnąć”. Przed oczami szybko przemknęły obrazy - przerażony i zarazem wściekły radny, zastraszonego księdza, zagubionego Machała, zapłakana Daria... Tak, chyba to ostatnie wspomnienie niosło ze sobą jakąś szczególną nutkę niepokoju. Coś przegapił. Gdzie tkwił błąd w rozumowaniu? Przydałoby się teraz spokojnie przeanalizować wszystkie wydarzenia, zapomnieć o starych, nieaktualnych w większości wnioskach, skupić się na wyciąganiu nowych... I po raz kolejny postawić sobie fundamentalne pytanie „dlaczego?”. Dlaczego wokół niego dzieje się to wszystko? Zapłakana Daria... Nagle poczuł szarpnięcie, znajome doznanie, które nawiedzało go, kiedy fragmenty skomplikowanej łamigłówki zaczynały się układać w logiczną całość. To jeszcze nie było wszystko, brakowało kilku elementów, ale coś już zaczynało się klarować. Gdyby tak jeszcze zwilżyć wyschnięte gardło orzeźwiającym łykiem piwa, najlepiej gęstego, pszenicznego, wtedy tok myślenia z pewnością nabrałby przyspieszenia. Jednak i bez tego uświadomił sobie, że to, co się zaczyna wykluwać, jest bardzo interesujące... i niepokojące.

- Ale ze mnie kretyn - mruknął pod nosem.

- Słucham? - parlamentarzysta nadstawił uszu. Ten człowiek przerażał go i zarazem zastanawiał, a teraz zdawał się dziwnie nieobecny.

- Nic, kochasiu - uśmiechnął się Michał. - Doprowadzę sprawę do końca, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu. Niech sobie różni mądrale myślą, że jestem frajerem, bezwolną marionetką w ich brudnych rękach. Czułeś się kiedyś totalnie oszukany... co tam oszukany. Totalnie wyruchany? - Nie czekał na odpowiedź, udzielił jej

sobie sam. - Nie. Na pewno nie. Bo to ty oszukujesz i wykorzystujesz wszystkich dookoła.

- O co panu właściwie chodzi? - Stefanik był coraz bardziej zaniepokojony.

- O twoją pomoc, polityku od siedmiu boleści. Mam propozycję nie do odrzucenia: chociaż raz w życiu zrobisz coś dla innych. Dla dobra publicznego, którym tak lubisz wycierać sobie gębę.

*

Pryszczaty stał w otwartych drzwiach samochodu, paląc papierosa. Drogi garnitur wydawał mu się tak niewygodny, jakby zrobiono go z betonu.

- Kurwa - mruknął do towarzyszącego mu zwalistego osiłka - nie ma nic wygodniejszego niż dresowe gacie. Jak ludzie mogą wytrzymać w takim gównie? Nic dziwnego, że mają potem wrzody na żołądku i różne choroby krążenia. To nie od pracy, tylko od tych cholernych krawatów. Zgadzasz się ze mną?

- No - odparł osilek. Odruchowo podrapał się między nogami.

- Nie rób tak, Łysy - zirytował się Pryszczaty. - I tak wyglądasz jak małpolud, a jak sobie jeszcze skrobiesz jajka... Obrzydliwe.

- To co mam robić? - Goryl wytrzeszczył oczy. - Swędzi mnie. W dresie włożysz łapę do kieszeni i sięgniesz, a tu się nie da.

- Bo też musiałeś wziąć takie ciasne spodnie!

- Nie mieli luźniejszych. Na mnie prawie nic nie pasowało.

- Trzeba było zreć mniej sterydów, tobyś tak nie spuchł.

Łysy nie odpowiedział. Obejrzał się za przechodzącą po drugiej stronie ulicy prostytutką.

- Fajna dziwka - zauważył. - Pewnie dorabia w tym hotelu. - Wskazał rozświetlony gmach kilkadziesiąt metrów dalej. - Jakiś frajer ją zamówił, bo nie może zasnąć. Też bym się zabawił - westchnął tęsknie. - Jak skończymy tutaj, skoczę do burdeliku.

- Jak tutaj skończymy, głąbie, musimy jechać do Brzegu - dobiegł z wnętrza auta męski głos.

- Romek, powiedz mu coś. - Ochroniarz spojrział na Pryszczatego. - Ciągłe nazywa mnie głąbem albo kretynem. A ty nie pozwalasz go stuknąć.

- Bankowiec, nie obrażaj Łysego - powiedział Pryszczaty. - A ty, Łyso, nie jęcz jak dziecko. Za mądry nie jesteś, to chyba wiesz sam.

- Ale co innego, jak ty mi powiesz, a co innego ten szczypior.

- Cisza już - warknął Pryszczaty. - Chyba jadą. Pustą ulicą zbliżał się czarny mercedes. Przyhamował i wjechał na parking. Wysiadło z niego dwóch ludzi w garniturach.

Kłapa bagażnika odskoczyła.

- Do roboty - powiedział Pryszczaty.

Łyso natychmiast przeszedł na tył samochodu. Z mercedesa wysiadł trzeci mężczyzna.

- Reszta należności przelewem tam, gdzie zwykle - powiedział. - Ma być dokładnie za trzy godziny. Inaczej nici z kolejnej dostawy.

Pryszczaty kiwnął głową, wyjął telefon.

- Dotrze za kwadrans. Ale jeśli z towarem coś nie tak, będą problemy.

- Posłuchaj. - Mężczyzna podszedł bliżej. - To nasze pierwsze spotkanie, więc daruję ci tę uwagę. Trzymaj przy mnie mordę na kłódkę, bo nie zdążysz wydać swojej działki.

Pryszczaty przełknął gorzką gulę w gardle. Miał ochotę wyjąć pistolet i strzelić temu typkowi między oczy.

- A teraz spieprzaj do szefa - dodał mężczyzna. - I żeby ci do głowy nie przychodziły żadne głupoty. A przelew ma być za trzy godziny, ani wcześniej, ani później. Jakbym chciał inaczej, wiedziałbyś o tym. Schowaj komorę, wsiadaj w auto i wieź to na miejsce.

Naoglądałeś się durnych filmów, czy jak? Jeśli nie trzeba dzwonić, nie należy tego robić. Twój szef mówił mi, że jesteś zdolny, ale musisz się jeszcze dużo nauczyć. Nie wiem, czy masz talent do tej roboty, ale rzeczywiście uczyć się musisz.

- Jaki szef? Nie mam żadnego szefa. - Pryszczaty najwyraźniej poczuł się dotknięty. - Ja tutaj dowodzę.

- No to twój zleceniodawca - wzruszył ramionami mężczyzna. - Szkoda, że nie masz nad sobą nikogo. Przydałaby się kontrola takiemu młokosowi.

- Nie potrzebuje... - zaczął Pryszczyty. Uciszył go zdecydowany gest ręki.

- Nieważne. Teraz rób swoje, a ja za trzy godziny sprawdzę, czy forsa dotarła.

Łysy siedział już za kierownicą, czekał na koniec rozmowy. Trzeba było ruszać, bo im dłużej tu stali, tym łatwiej mogli wzbudzić zainteresowanie ochrony hotelu albo nawet policji.

Jednak goryl wolał milczeć. Od czasu jatki w podziemiach magazynu nie wychylał się z pomysłami i radami. „Nigdy nie wiesz, kto do ciebie strzeli”. Tak mówił Czacha, który wtedy zostawił znaczną część swojego mózgu na betonowej podłodze.

Ciemnoniebieskie audi wjechało na plac zwany przez mieszkańców dziedzińcem.

Rzeczywiście, bardziej przypominał wewnętrzną przestrzeń w warownym zamku niż cokolwiek innego. Wrażenia nie łagodziły nawet rozmieszczone dookoła klomby. Było w tym miejscu jeszcze coś, co przywodziło na myśl plac apelowy w koszarach albo...

- Wygląda jak obóz koncentracyjny - mruknął siedzący obok posła Stefanika człowiek w ogromnych ciemnych okularach, nad którymi czerniała burza atramentowych włosów. Całości dopełniał długi płaszcz z postawionym kołnierzem i kilkudniowy zarost.

- Przymknij się - warknął parlamentarzysta. - Masz mnie ochraniać, a nie wydziwiać i rzucać uwagi, zapamiętaj to sobie.

Kierowca zerknął w lusterko wsteczne i uśmiechnął się zjadliwie. Chociaż raz jego szef wyżywa się na kimś innym. Droga z Warszawy upłynęła w milczeniu, przerwany jedynie telefonicznymi rozmowami Stefanika. Nowy ochroniarz zdawał się podrzemywać, kilka razy nawet zachrapał, ale przy każdym większym wstrząsie budził się i czujnie rozglądał. Na katowickiej autostradzie pędzili jak szaleni, prawie sto osiemdziesiąt na godzinę. Dla posła nie istniały foto-radary i jakieś tam patrole policji. Kierowca nie wiedział tego z całą pewnością, ale miał niejasne wrażenie, że Stefanik załatwił sobie coś, co w lotnictwie nazywa się korytarzem powietrznym, to znaczy wszędzie, gdzie się pojawił jego samochód, policjanci ślepli i głuchli, podobnie jak ich sprzęt. Toteż kiedy skręcili z trasy, wydawało się, że samochód wlecze się niczym żółw, choć prawie cały czas jechali ponad setką. Poseł kręcił się niespokojnie, wyraźnie zniecierpliwiony, jednak nic nie mówił, bo trudno było zmuszać kierowcę, aby dociskał gaz. Kiedy wreszcie znaleźli się przed płotem Świątyni Nowego Kościoła, Stefanik uspokoił się nagle i oklapł, jakby uszło z niego powietrze. Za to ożywił się ochroniarz. Nic dziwnego, przecież na jego barkach spoczywała odpowiedzialność za bezpieczeństwo parlamentarzysty.

Drzwi od strony posła otworzyły się - klamkę nacisnął usłużny strażnik.

- Brat Wojciech już czeka - oznajmił uroczyście, jakby zapowiadał audiencję u koronowanej głowy.

Z przeciwnej strony wysiadł ochroniarz. Strażnik zmarszczył brwi, spojrzął pytająco.

- Ten pan zostanie w wozie - powiedział ostro. - Obcym nie wolno bez pozwolenia wkraczać na teren.

- Ten pan pójdzie ze mną - odparł równie ostro Stefanik. - Po ostatnich doświadczeniach postanowiłem mieć przy sobie ochronę, czy to się komuś podoba, czy nie.

- Nie mogę na to pozwolić - warknął strażnik. - Muszę spytać o zgodę brata Wojciecha.

- W takim razie pytaj, a my zaczekamy. Upprzedzam jednak, że jeśli odmówi wpuszczenia mojego człowieka, odjeżdżam natychmiast, zrywam kontakty i niech sam się martwi, co dalej zrobić.

Strażnik odszedł na bok i wyjął z uchwytu przy pasie walkie-talkie.

- Niezły mają sprzęt - mruknął ochroniarz Stefanika. - Hekler-Koch, dziewiątka, czeski skorpion... Prawdziwa oaza spokoju.

Posł rzucił mu ostre spojrzenie, ale nic nie powiedział, bo podszedł do nich strażnik.

- Jest zgoda - oświadczył z miną, która wskazywała, iż najchętniej wyrzuciłby natrętów za bramę. - Oczywiście wszelka broń zostaje tutaj.

- Skinął ręką na towarzysza posła. Ten wyjął z kabury pod pachą pistolet, pozwolił się zrewidować, a potem starannie poprawił ciemne okulary. - Dobra. Chodźmy.

Ruszyli za nim ramię w ramię. Ochroniarz rozglądał się czujnie, uważnie śledząc wszelkie ruchy dookoła. Trudno było jednak dostrzec coś podejrzanego - plac był pusty, tylko gdzieś za okalającymi go budynkami przemykały ludzkie postacie, śpiesząc w jakichś swoich sprawach.

Kierowali się w stronę starej kaplicy, która stanowiła centrum osady. Jednak nie weszli do środka, bo tuż przed schodami strażnik skręcił, prowadząc gości do postawionego obok świątyni baraku.

- W środku przejmie was mój człowiek - powiedział przewodnik. - Miłego pobytu w naszych skromnych progach.

Stefanik rzucił mu ironiczne spojrzenie, jakby chciał powiedzieć „daruj sobie, człowieku”, a jego ochroniarz skinął obojętnie głową. Za

drzwiami czekał rosty, barczysty typ, wyglądający na zapaśnika wagi ciężkiej. Przyboczny posła wydawał się przy nim mikry niczym dziecko stojące obok dorosłego mężczyzny.

- Czekają na was.

Te słowa zostały wypowiedziane nieoczekiwanie głosem zbyt wysokim jak na tak wielkiego mężczyznę. Wskazał im uchylone lekko drzwi w końcu korytarza. Poszli tam. Stefanik chciał wejść pierwszy, ale powstrzymał go ochroniarz. Wsunął się do środka.

- Cóż za brak zaufania! - doleciał z pokoju głos Wojciecha. - Panie Antoni, zapraszamy! Nie przygotowaliśmy żadnych niespodzianek!

Stefanik wszedł, rozglądając się czujnie. Ochroniarz stał obok drzwi, czekając na polecenia.

- On niech wyjdzie - rzucił brat Wojciech. - Po co te wygłupy?

- On zostaje - odparł zdecydowanie poseł. - Was jest dwóch, więc nie widzę powodu, żebym miał czuć się jakoś niedowartościowany. A poza tym nie chcę, aby ten typ znów mnie sponiewierał. - Wskazał Łazarza, rozpartego w fotelu z paskudnym uśmiechem na twarzy, której rysy nieco się już wyostrzyły, wyglądała więc nieco normalniej niż ostatnio. Co nie znaczy, że przestała być przerażająca - prawie cała groza czaiła się w oczach, zniekształcenia tylko to podkreślały.

- Mamy zamiar omawiać szczegóły, o których nie powinien wiedzieć nikt poza naszą trójką.

Stefanik wydał wargi.

- Kiedy przejdziemy do takich spraw, mój człowiek wyjdzie. Na razie zajmujemy się kwestiami bezpieczeństwa, a o tym wiedzieć powinien.

- Nie! - Łazarz wstał. - Chcesz się z nim dzielić informacjami, działaj na własną rękę.

- Albo zrobisz, jak każemy, albo spieprzaj i nie wracaj. Ale wtedy...
- zawiesił groźnie głos.

Poseł oklapł. Przed chwilą był gotów walczyć, ale bezlitosny, zniewalający wzrok Miguły zrobił swoje.

- Wyjdz - mruknął. - Jakby co, wezwę cię. - Wyjął z kieszeni czarne pudełeczko. - To rodzaj pilota - wyjaśnił Wojciechowi i Łazarzowi. Jeśli któryś się do mnie zanadto zbliży, zdązę nacisnąć przycisk.

Kapłan roześmiał się głośno.

- Przyjechałeś do nas jak na wojnę. Nie musisz się obawiać, nic złego cię dzisiaj nie spotka.

Ochroniarz wyszedł. Łazarz zaczekał, aż zamkną się drzwi, a potem powiedział syczącym głosem:

- Co ty, kurwa, kombinujesz, gnoju?

- Spokojnie - zmitygował go Wojciech. - Nasz gość ma prawo chronić swoją cenną osobę za pomocą takich środków, jakie uważa za stosowne. Przejdźmy lepiej do rzeczy.

- Tak jest - kiwnął głową Stefanik. - Im dłużej tutaj jestem, tym gorzej. Dostatecznie dużo narobiło się już zamieszania. Pewien człowiek był u Leszka, nieźle go nastraszył. Ten sam facet odwiedził także mnie.

Łazarz zerwał się z fotela, uczynił dwa kroki w kierunku posła, ale zaraz machnął tylko ręką i wrócił na miejsce. Trzeba chwilę poczekać, aż strażnik na korytarzu unieszkodliwi ochroniarza parlamentarzysty, należy zachować najdalej posuniętą ostrożność.

Komplikacje to ostatnia rzecz, jakiej sobie teraz życzyli.

- Wiemy, że coś jest na rzeczy - powiedział. - Mieliliśmy wiadomości od naszych ludzi we wrocławskiej komendzie. Ktoś węszy, interesuje się nami zbyt mocno. Wiem nawet kto. Ciekawe, czy to ten sam gość.

- Nie ukrywał się z nazwiskiem - wzruszył ramionami poseł. - Porucznik Michał Wroński.

Widział, że zrobiło to na Łazarzu piorunujące wrażenie.

- Trzeba było go zatłuc - mruknął. - Był czas i była okazja, zaniedbałem to. Wystarczyło go rozwalić zwyczajnie, strzałem w łeb, a nie podkładać ładunek pod samochód.

- Tak - rzekł z lekkim uśmiechem Stefanik - odniosłem wrażenie, że się znacie. Ale on mnie wypytywał o jakiegoś Łazarza, a nie brata Roberta. Dlatego czułem się nieco zagubiony.

- Łazarz to ja, nie załapałeś od razu?

- Masz mnie za kretyna? Ale czasem lepiej udawać głupiego, niż głupio się podstawiać, udając mądrego.

- Święte słowa - wtrącił Wojciech. - Ale wiemy także, że facet działa prywatnie. Popadł w niełaskę, pożarł się z nowym szefem, jest na urlopie i prowadzi dochodzenie bez wiedzy i zgody przełożonych.

- Tym gorzej - odparł Łazarz. - Bo to znaczy, że nie przejmuję się żadnymi regulaminami, ma w dupie procedury. Zresztą zawsze miał je właśnie tam. Jego kumpel, dowódca wiele razy ukrywał różne rzeczy przed władzami.

- Dobry jest? - spytał Wojciech.

- Bywa świetny. Niby zwyczajny łaps, taki co do trzech ledwo potrafi zliczyć, ale miewa takie fazy, że kojarzy fakty lepiej niż zaprogramowany komputer. Poza tym ma coś, co się nazywa nosem. cholerne szczęście.

- Rozumiem, że może mieć do ciebie słuszny żal? - To pytanie zadał poseł.

- Jak wielu innych ludzi. Można powiedzieć, że zabiłem mu kobietę.

- Super - skrzywił się Stefanik. - To znaczy, że nie spocznie, aż cię dopadnie, tak?

- W przybliżeniu. A przy okazji będzie próbował skasować wszystkich, którzy się ze mną zadają.

Przez chwilę panowało milczenie. Przerwał je Wojciech.

- To znaczy, że mamy zwiijać interes, czy co?

- Nie. Każdy ma jakiś słaby punkt. Nasz przyjaciel Wroński także.

- A konkretnie?

- Jego rodzina mieszka w Londynie. Na starej może mu specjalnie nie zależeć, ale jest też szczeniak.

- Co planujesz?

- Zagramy z panem Wrońskim w szachy. To znaczy, postawimy mu mata.

Znów zamilkli.

- Jak chcesz to zrobić?

- Moja sprawa. Mam ludzi, którzy sobie poradzą. Nie powinniście zbyt dużo wiedzieć. Po naszym spotkaniu załatwię, co trzeba. A teraz omówimy sprawę następnego przerzutu. Żaden cholerny pies nie zdoła pokrzyżować nam szyków.

*

Pryszczaty czekał niecierpliwie na telefon. Co kilkanaście sekund zerkał na zegarek, tak jakby mogło to cokolwiek przyspieszyć.

Bankowiec siedział przy włączonym laptopie, z nudów grał w kulki, nie zwracając uwagi na niechętnie spojrzenia szefa. Wykazy kont i szczegóły transakcji czekały zrzucone na listwę. Był dumny ze swojego dzieła - sporządził dokumenty tak, że nikt postronny nie mógł w nie zajrzeć, nie niszcząc plików. Może jakiś genialny informatyk, ale ten także musiałby wiedzieć, że w ogóle jakieś podejrzanе pliki znajdują się na twardym dysku i w którym komputerze. Laptopów mieli dwadzieścia, z czego osiemnaście zawierało fikcyjne dane, jeden służył do bezpośrednich działań, a jeden pozostawał w rezerwie. W dodatku we wszystkich zostały założone małe ładunki wybuchowe, które paliły i rozrywały twardy dysk, płytę główną i pamięć. Można je było odpalać po kolei albo wszystkie naraz. Bankowiec z początku czuł się jak bohater taniego filmu akcji. Dopiero kiedy przekonał się, na jaką skalę zaczął działać Pryszczyty, jakie sumy wchodzi w grę i jakie przepływają informacje, przestał kręcić nosem na tak daleko posunięte środki ostrożności.

Wreszcie komórka zadzwoniła. Roman natychmiast odebrał. Słuchał przez chwilę, co mówi człowiek po drugiej stronie.

- Rozumiem - powiedział po kilkudziesięciu sekundach. - Zaraz przelewamy i zacieramy ślady.

Odłożył telefon, przez dłuższą chwilę wpatrywał się w przestrzeń przed sobą.

- Rób swoje - mruknął.

Palce Bankowca zatańczyły na klawiaturze.

- Jak skończysz - ciągnął Roman - całą dokumentację przewal na płytki i zniszcz wszystko.

- Coś się stało? - Bankowiec, zaskoczony, podniósł wzrok znad komputera.

- Nie wiem. Nasz przyjaciel jest wyraźnie zaniepokojony. Słyszałeś, co mówiłem. Mamy zatrzeć ślady. Mówił po prostu o skasowaniu wszystkich informacji, ale coś mi się zdaje, że musimy zrobić więcej. Dlatego po wszystkim zrobisz formatowanie dysku...

- Romek, przecież wszystko szlag trafi!

- Zrobisz formatowanie - powtórzył z naciskiem Pryszczyty. - Na tym i zapasowym lapku. A potem... - Pstryknął wymownie palcami.

- Chcesz je zniszczyć? - zdumiał się Bankowiec. - On kazał?

- Głuchy jesteś? - w głosie Romana zabrzmiała irytacja. - On kazał tylko skasować spisy transakcji. Ale ja czuję, że dzieje się coś niedobrego, a strzeżonego Pan Bóg strzeże. Płytki włożysz do naszego pojemnika i dasz mnie.

Bankowiec kiwnął głową. Ten pojemnik to była kolejna niespodzianka. Jego ścianki zostały wypełnione żrącym kwasem. W razie spadki wystarczyło albo wpisać krótki kod na małej klawiaturze mieszczącej pod klapką, albo zdalnie uruchomić mechanizm zaworu. Substancja chemiczna niszczyła wtedy zawartość pudełka w ciągu kilku sekund.

- Wywalimy w powietrze wszystkie kompy - ciągnął Pryszczaty.

- A jeśli się okaże, że to fałszywy alarm?

- Wtedy to ja będę się tłumaczył - oznajmił twardo boss. - Ciele niech głowa nie boli.

W ostatnim czasie Roman stał się bardziej drażliwy niż zazwyczaj. Bankowiec nieraz przekonał się, że nawet niewinne wypowiedzi wyprowadzały go z równowagi. Tak jak ostatnio, kiedy zapytał Sandrę, której nie widział dość dawno.

- Gówno cię obchodzi, co u niej - uniósł się natychmiast Pryszczaty.

- Zakochałeś się, czy jak?

- Rozstaliście się? - Bankowiec zaryzykował to pytanie, nie wietrząc, czy nie przeciąga struny.

W jednej chwili pokryta bliznami i pryszczami twarz szefa stała się czerwona, szczęki zacisnęły się tak, że było słyhać cichy zgrzyt zębów.

- Można tak powiedzieć - padła nieoczekiwanie spokojna odpowiedź. Ton ostro kontrastował z wyglądem mówiącego. - Więcej o nią nie pytaj, bo możesz kiepsko skończyć.

Bankowiec wzruszył ramionami.

- Chciałem być miły.

- Mam to w dupie. - Tym razem głos Pryszczatego ociekał jąłem. - Rób, co do ciebie należy, albo wypierdalaj.

Bankowiec skulił się. Romek naprawdę bardzo się zmienił. Potrafił być uprzedzająco grzeczny, zaczął chodzić w garniturach, przestał co drugie słowo rzucać mięsem, a jednocześnie stał się jeszcze groźniejszy niż przedtem. Tak jakby pod maską uprzejmości skrywało się w nim

dzikie zwierzę, co prawda okielznane, ale potrafiące czasem wymknąć się spod kontroli. A kiedy takie stworzenie zerwie łańcuch, nie zna litości. Bankowiec myślał o tym wszystkim, wstukując dane i obserwując, co dzieje się na ekranie.

- Zrobione - powiedział, uderzając w klawisz „enter”.

- Dobra. To teraz wypalaj płyty i zrobimy sobie małe fajerwerki.

*

Podczas całej rozmowy telefonicznej Łazarz nie spuszczał oka ze Stefanika.

- Tak, panie pośle - powiedział, chowając telefon do kieszeni. - Przez kolegę radnego i przez ciebie musimy przenieść się z częścią interesów, a niektóre zwinąć. Skończy się wasze eldorado, pozostaną jedynie gołe pensyjki. Nie wątpię, że zaraz znajdziecie sobie innych frajerów i rozkręcicie następne szemrane interesy, ale na pewno nie będą to już takie kokosy, jak przy nas.

- Ja tam mam dość - wymamrotał Stefanik. - W ogóle nie będę kombinował. Kończę z sejmem i całą polityką. Zajmę się wreszcie rodziną, wnukami...

- Chcesz odejść na zasłużoną emeryturę? Obawiam się, że to nie będzie takie proste. Brudna przeszłość zawsze gdzieś wylezie, upomni się o swoje. Prawda, Wojtek?

Wojciech poważnie skinął głową.

- Nigdzie nie odejdiesz - powiedział stanowczo. - Możesz nam być jeszcze kiedyś potrzebny. Pamiętaj, że mamy niezłe materiały na twój temat.

- Jak będę już poza polityką, możecie to sobie w dupę wsadzić.

- Niezupełnie - uśmiechnął się krzywo Łazarz. - Bo oprócz tej teczuszki, która powinna się znajdować teraz w IPN, mamy sporo do przekazania o twoich obecnych przekrętach. Prokuratura z pewnością chętnie na to zerknie.

Stefanik zagryzł wargi. Powinien się czegoś takiego spodziewać.

- A jeśli coś ci się nie podoba - Miguła wstał i rozprostował ramiona - zaraz mogę przypomnieć, że zawsze jeszcze może boleć.

- Nie zbliżaj się! Bo wezwę mojego człowieka!

Łazarz roześmiał się głośno.

- Twój człowiek dawno już leży z rozwalonym łbem! Myślisz, że jesteśmy idiotami? Strażnik dostał wyraźne rozkazy, kiedy tylko dowiedzieliśmy się, że przyjdiesz z obstawą. Nawet nie ja będę cię dzisiaj oprowiał, tylko on. Nauczyłem go paru sztuczek.

Stefanik zbladł, na czoło wystąpiły mu krople potu. Z przerażeniem patrzył, jak Wojciech naciska klawisz przywołania. Drzwi otworzyły się prawie w tej samej chwili. Pośel zamknął oczy.

- Co jest, kurwa? - usłyszał zdumiony głos. - Co to ma znaczyć? Gdzie Radek?

- Leży sobie grzecznie na korytarzu - padła pogodna odpowiedź. - Jak to się mówi, nie zachował należytej ostrożności. Panowie podniosą łaskawie rączki do góry.

Huk wystrzału mało nie przyprowadził posła o zawał. Otworzył oczy. Zobaczył Łazarza trzymającego się za krwawiącą dłoń i strzaskany pistolet leżący pod jego nogami.

- Kim jesteś? - spytał Wojciech lekko drżącym głosem. - Dlaczego nachodzisz spokojnych ludzi w ich świętej siedzibie?

- Och, daruj sobie te drętwe gadki - odparł ochroniarz. Zdjął okulary, z ulgą zrzucił perukę.

- To ty - syknął Miguła.

- To ja. Witaj, skurwysynu.

- Kto to jest? - spytał w tej samej chwili kapłan.

- Porucznik Michał Wroński we własnej osobie - wyjaśnił Łazarz. Spojrzał na Stefanika. - A do ciebie się jeszcze dobierzemy, ty...

- Jakoś tego nie widzę - przerwał mu Michał. - Na razie to ja dobrałem się do was.

- Czego chcesz? - spytał Wojciech.

- Jaja sobie robisz? - prychnął Wroński. - Jego chcę. Łazarza. Możesz sobie fundować operacje plastyczne - zwrócił się do rannego - możesz zakładać szkła kontaktowe. Ale twoje wredne oczka zawsze pozostaną takie same. Oszukać możesz kogoś, kto cię dobrze nie zna. - Spojrzał na Wojciecha. - A ty mnie interesujesz o tyle o ile, zresztą pan pośel także. Jednak Łazarz to nie wszystko. Przebywa tutaj pewna dziewczyna, niejaka Ewelina Kobrzycka. Mam zamiar ją zabrać.

Wojciech i Łazarz wymienili znaczące spojrzenia. Michał to zauważył.

- Żeby nie było nieporozumień i niespodzianek - rzekł bardzo spokojnie - musimy dwie sprawy natychmiast uregulować.

Zanim mężczyźni zdołali się zorientować, huknęły dwa strzały. Po pierwszym na podłogę zwałił się Wojciech, po drugim poseł, obaj z przestrzelonymi nogami: kapłan miał zgruchotaną rzepkę, a Stefanik draśniętą łydkę.

- Nie mam ochoty na niespodzianki - oznajmił porucznik. - Ty... ty...

Słowa, które popłynęły z ust rannego, stanowiły stek najgorszych przekleństw. Był tak wściekły, że przeplatał polskie inwektywy z rosyjskimi.

- To nie licuje z godnością kapłana - zauważył Wroński. - Nieładnie, panie Wyczenko. Ale widzę też, że lata spędzone w rizańskiej szkole nie poszły na marne. Przynajmniej nauczyłeś się tam ładnie kłąć. Trzeba przyznać, że bluzgi w wykonaniu naszych wschodnich sąsiadów brzmią dużo lepiej niż rodzime.

Parlamentaryzista jęczał, leżąc na boku i trzymając się za krwawiącą nogę. Zdumiony słuchał słów wypowiedzianych tonem towarzyskiej konwersacji. Wojciech oddychał chrapliwie, z trudem powstrzymując okrzyk bólu. Michał podszedł spokojnie do Stefanika, sięgnął mu do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął cyfrowy dyktafon. Miguła śledził jego poczynania z mieszaniną ciekawości i złości.

- Wiesz, że masz przesrane? - spytał spokojnie. - Zdążył już odedrzeć kawałek koszuli, zawiązać sobie na przedramieniu opaskę uciskową. - Nie wyjdiesz stąd żywy.

- Zobaczymy. - Michała najwyraźniej nie opuszczała pogoda ducha. - Potrzebuję cię stąd wyprowadzić, więc w twoim interesie jest, abym przeżył. Inaczej... - zawiesił głos. - A z tego, na ile zdołałem cię poznać, mogę wnioskować, że nie zamierzasz poświęcać życia. Jeśli tylko zdołasz przetrwać, będziesz kombinował.

- A jeśli się mylisz?

- Nie myślę się. Teraz zwiążesz obu panów. - W stronę Łazarza poleciał zwój sznura do bielizny.

- Jak? Uszkodziłeś mi dłoń!

- Dasz radę, nie udawaj, nie jest tak źle. Zawsze możesz pomóc sobie zębami.

Klnąc pod nosem, Łazarz zabrał się do roboty.

- Doskonale - powiedział Wroński. - Jak skończysz, wezwiesz dziewczynę. Razem opuścimy to piękne miejsce.

- A my? - jęknął Stefanik. - A ja? Przecież pomogłem ci tutaj wejść...

Michał spojrział na niego z obrzydzeniem.

- Mam gdzieś, co się z tobą stanie. Nie pomogłeś mi z dobrej woli, tylko ze strachu o własny tyłek. Zanim was ktoś znajdzie, możecie sobie pogadać z jego wielebnością Wojciechem na tematy filozoficzne i religijne. Kto wie, może nasz kapłan nawet cię wypowiada i udzieli rozgrzeszenia. Byłeś przecież wyświęcony, prawda, Wojteczku? - Podszedł bliżej, szturchnął Wyczenkę. Ten zawył krótko, zagryzł wargi aż do krwi. - Chociaż, z drugiej strony patrząc, nasz przewodnik duchowy jest w kiepskiej formie, by pełnić posługę. No nic - zawołał rzeško. - Poradzicie sobie jakoś.

Popatrzył na Łazarza. Gdyby nie spodziewał się w tym miejscu właśnie jego, wbrew temu, co powiedział wcześniej, mógłby nie rozpoznać wroga. Na ulicy minąłby go obojętnie.

Przecież w normalnej sytuacji człowiek nie patrzy innym ludziom głęboko w oczy, a chirurg plastyczny, który zmienił rysy Miguły, wykonał kawał dobrej roboty. Może twarz wyglądała nieco nienaturalnie, ale nie przypominała oblicza dawnego pracownika kontrwywiadu.

- Wezwij dziewczynę.

Łazarz wzruszył ramionami.

- To nie będzie takie proste.

- Nie żyje? - spytał groźnie Wroński.

- Żyje. Ale nie przyjdzie tutaj sama. Jeśli chcesz ją zabrać, musimy do niej pójść.

*

Przynieśli ją we czterech, zostawili pod drzwiami. Ostatnią rzeczą, jaką Michał zamierzał zrobić w tej sytuacji, było skorzystanie z

propozycji Łazarza i pójście z nim gdziekolwiek. Widział, że Miguła jest zawiedziony, choć starał się pokryć to pogardliwym wyęcieniem warg. Na pewno liczył, że gdzieś po drodze zdoła wywinąć jakiś numer. A zamiast tego pólleżał ze zranioną dłonią przywiązaną do prawej kostki.

- Nieźle - mruknął z uznaniem, kiedy czekali, aż strażnicy wykonają polecenie Wojciecha. - Szybko się uczysz. Żadnej szlachetności, litościwych odruchów. Bzowski postawił na ciebie i miał rację. Szkoda, że tak marnie skończy, a ty razem z nim.

- Twoja mało szanowna osoba posłuży mi do oczyszczenia go z zarzutów. Jeszcze do ciebie nie dotarło, że żyjesz tylko dlatego, że jesteś mi potrzebny?

- Dotarło, dotarło. - Łazarz wzruszył ramionami na tyle, na ile pozwalała niewygodna pozycja, i zaraz skrzywił się z bólu. - Ale to nie będzie takie łatwe. Moje zeznania niekoniecznie muszą oczyścić twojego kumpla.

- Nie bój się - prychnął Michał. - Potrafię z ciebie wydusić wszystko.

- O! - Łazarz uniósł brwi. - Czyżbyś zamierzał stosować tortury? Podobno ludzie, którzy stosują takie metody, budzą w tobie obrzydzenie.

- Więc będę się brzydził samym sobą. Przynajmniej przez jakiś czas. Ale ty opowiesz wszystko od A do Z.

- Zobaczymy.

- Zobaczymy.

Rozległo się pukanie. Michał spojrzał na Wyczenkę.

- Odpraw ich. - Uchylił lekko drzwi.

- Odejdźcie! - zawołał Wojciech, wściekle łypiąc na wycelowany w niego pistolet.

Michał czekał, aż na korytarzu ucichną kroki i trzasa drzwi. Potem zbliżył się do Łazarza, zniechęcony kopnął go w głowę. Miguła padł na plecy, skręcony pod dziwnym kątem, bo uwięziona ręka nie pozwoliła mu się wyprostować. Wojciech splunął. Wroński spojrzał na niego jak pies na muchę.

- Wezwij pogotowie - jęknął Stefanik. - Wykrwawię się.

- Już drugi raz mnie o to prosisz w ciągu niedługiego czasu - powiedział ironicznie porucznik. - Ale tym razem przynajmniej naprawdę coś ci jest. Nie bój się, gnoju, przeżyjesz. Ludzie w przychodniach i szpitalach oddają więcej krwi. Honorowo.

Otworzył drzwi, pochylił się i z wysiłkiem wciągnął do pokoju nosze. Leżąca na nich dziewczyna miała twarz pokrytą ranami, przypominającymi duże, nabiegłe krwią lizsaje albo paskudzące się oparzeliny. Michał patrzył przez chwilę osłupiały. O tym, że Ewelina jest chora, już wiedział, ale nie spodziewał się, że wygląda aż tak źle.

- Co jej jest? - popatrzył na Wyczenkę. Ten znowu splunął.

- Jeżeli zrobisz to jeszcze raz, odstrzelę ci jęzor razem ze szczęką - spokojnie rzekł Wroński głosem, w którym słycać było jednak pasję i żądę mordu. - Jeśli uda ci się przeżyć, będziesz nauczał głuchoniemych! Co jej zrobiliście?

Wojciech nie odpowiedział. Michał wyprostował się, stanął nad nim, przekręcił mu głowę, przyłożył lufę lekko na skos ku przodowi.

- Kula rozpieprzy ci wszystko w środku, złotousty kaznodziejo - warknął wściekle. - Do usranej śmierci będą cię karmić przez słomkę albo dostaniesz wlew prosto do żołądka.

- Nie wiem - odpowiedział kapłan. - To jakieś świństwo.

Dziewczyna poruszyła się. Michał natychmiast zostawił Wyczenkę, pochylił się nad nią.

- Dziecko. - Ze współczuciem i rozpaczą patrzył na zdające się gnić za życia ciało nieszczęsnej. - Zabiorę cię stąd.

- Kim jesteś? - wyszeptała z trudem.

- Przyjacielem. Twoim i twojej matki chrzestnej.

- Mojej matki chrzestnej?

- Tak. Mam cię stąd zabrać na jej prośbę.

Ewelina przymknęła oczy, znów pogrążyła się w nieświadomości. Michał zacisnął zęby, wrócił do Wojciecha.

- Gadaj, co jej zrobiłeś? To nie jest zwyczajna choroba!

- Mówiłem, nie wiem! Może się puszczała i złapała jakąś francę!

Ledwie wypowiedział te słowa, pożałował. Kolba pistoletu wylądowała prosto w jego ustach. Buchnęła krew, wypłynęły połamane zęby.

- To był wstęp - oznajmił zimno Wroński. - A teraz zrobię ci prawdziwe kuku! Nie będziemy się rozdrabniać.

Wyczenko patrzył przerażony na zbliżającą się do ust lufę. Wybełkotał coś.

- Mów jak człowiek!

Wojciech wypluł krew oraz resztę naruszonych zębów.

- Choroa pooniena - wykrztusił z trudem.

- Co?

- Choroa poroniena - odparł nieco wyraźniej.

Michał jednak nadal nie mógł zrozumieć.

- Przetkać ci mordę jeszcze raz? - spytał groźnie.

- Choroba popromienna - rozległ się głos Łazarza. Odzyskał przytomność chwilę wcześniej i z zainteresowaniem przyglądał się poczynaniom wroga. - Ta dziewczucha ma chorobę popromienną. Gdybyś przyłożył do niej licznik Geigera, zaczęłby grać niczym orkiestra wiedeńska w Nowy Rok.

Michał odwrócił się ku niemu.

- Obawiam się, że czegoś nie rozumiem.

- Jak się trochę postarasz, zrozumiesz. Włącz to swoje sławetne kojarzenie. A może straciłeś pazur? Chyba nie, bo bez niego nie dałbyś rady mnie znaleźć.

Wroński skrzywił się. Gdybyś wiedział, ile w tym odnalezieniu jest dziwnych przypadków - pomyślał, patrząc z nienawiścią w twarz Miguły. Ale nie wiesz. Myśl sobie, że sam do wszystkiego doszedłem, będzie łatwiej cię zastraszyć i skłonić do mówienia.

- Kazali mi zawijać takie dziwne kawałki czegoś. Wyglądały jak metal... - doleciał słaby głos dziewczyny. - Niedługo potem zaczęłam się źle czuć. Myślałam, że jestem w ciąży, bo mnie ciągle mdliło...

Wroński zazgrzytał zębami. Dopiero teraz do niego dotarło z całą ostrością, o czym mowa.

- Handlujecie uranem i plutonem, tak? Sprowadzacie towar z Rosji i Ukrainy? I kazaliście dziewczynie przy tym pracować?

- Brawo. - Miguła był najwyraźniej bardzo zadowolony. - Ktoś to musiał robić.

- Dlaczego właśnie ona?

Odpowiedziała mu cisza.

- Dlaczego? - powtórzył.

- Nie chciałam, żeby on mnie dotykał - dziewczyna podniosła blady, prawie przezroczysty palec znad noszy i skierowała ku Łazarzowi.

Michał nie musiał pytać o nic więcej.

- Nie bój się, dziewczyno, spotka ich zasłużona kara.

- Co z tego? - szepnęła. - Co mi z tego? Przecież umieram...

Wrońskiemu zrobiło się wstyd. Rzeczywiście, konającej opowiada o zemście. Ona na pewno chętnie by się jej wyrzekła, byle dalej żyć.

- Zaraz cię zawiozę do szpitala, pomogą ci. A twoja chrzestna się ucieszy.

Ewelina spojrzała na niego z uwagą.

- Nie wiem, o jakiej mojej chrzestnej pan znowu mówi. Ona nie żyje od paru lat...

- Naprawdę? - spytał. - Czy jesteś tego absolutnie pewna?

Miguła ze zdziwieniem zauważył, że Wroński zadał to pytanie tak, jakby z góry znał odpowiedź. Tymczasem porucznik ciągnął dalej, chcąc się upewnić, a może raczej przekonać o czymś samego siebie:

- Coś ci się pomyliło, dziecko. To ona mi wskazała to miejsce, prosiła, żebym ci pomógł. Nie pamiętasz własnej ciotki?

- Jak ma na imię?

- Daria.

- Nie znam. Naprawdę nie znam nikogo takiego. Nie mam żadnej ciotki Darii.

Michał pokiwał tylko głową.

Łazarz wciąż obserwował go uważnie. W tej chwili miał przed sobą nie zagubionego faceta, zaślepionego żądzą zemsty i pragnącego za wszelką cenę udowodnić niewinność przyjaciela, ale tego Wrońskiego, którego pamiętał z czasów pracy w kontrwywiadzie: groźnego osobnika, który doskonale potrafił wykorzystać nagle porywy swojej błyskotliwej inteligencji.

- Co ze mną będzie? - szepnęła dziewczyna. - Czy to, że ta... że to nie jest moja krewna... Czy pan...

- To wszystko nieważne. Tylko ty się liczysz w tej chwili. Nie ma najmniejszego znaczenia, komu złożyłem obietnicę, choćby samemu diabłu... Zamierzam ją wypełnić co do joty - Zamilkł, czując, że wypowiedane słowa brzmią zbyt pompatycznie. - Tak czy inaczej,

zabieramy się stąd. A kolega Łazarz i kolega Wojciech pomogą nam w tym. Na razie jednak muszę wykonać dwa krótkie telefony.

Aspirant Machała stał przed obliczem rozgniewanego komendanta.

- To się nazywa samowola - warczał oficer. - Panu się zdaje, że ten budynek to pański prywatny folwark?

Musiał być naprawdę wściekły, skoro nie zwracał się do podwładnego po imieniu.

Formy grzecznościowe zawsze rezerwował do wykorzystania w sytuacjach skrajnych, kiedy trzeba było „należycie” potraktować pracownika.

- Pan miał się zajmować sprawą rzezi na Wagonowej, a nie spiskować pod moim bokiem z jakimś niedorobionym oficerkiem kontrwywiadu! A teraz, proszę bardzo - jak trwoga to do Boga, co?

Sebastian nie odzywał się. Czekał, aż burza przeminie. Szef łatwo się wściekał, ale też w miarę szybko wracał do równowagi.

- Mam ochotę przełożyć cię przez kolano jak jakiegoś gówniarza i wrzepić parę pasów, ale sprzączką, żebyś na dłużej zapamiętał! Co ty sobie myślałeś, idąc na współpracę z tym człowiekiem? Ze zrobisz coś dla ojczyzny? Gówno zrobisz dla ojczyzny, bo gość chce ewidentnie załatwić jakieś swoje sprawy. Gdyby było inaczej, skorzystałby ze sposobów, jakie mają w tych cholernych służbach. Nie pomyślałeś o tym? Gadaj, nie stój jak słup soli, bo możesz mnie tylko jeszcze bardziej wkurzyć.

Przejdźcie na „ty”, mimo iż ton nadinspektora się nie zmienił, było sygnałem, że można się odezwać.

- Są sprawy prywatne i sprawy prywatne.

- Bardzo inteligentnie. - Szef z kpiącą miną zaklaskał w dłonie. - Pięknie to ująłeś. To znaczy, że co? Ze nasz kontrwywiadowca zamierza prywatnie zbawić świat, nie oglądając się na nic?

- To znaczy, że chce komuś pomóc.

Komendant patrzył uważnie na aspiranta.

- Jak rozumiem, nie powiedziałaś mi jeszcze wszystkiego.

Machała zacisnął zęby. Ten telefon od Darii... Była przerażona, pewna, że Michał wdał się w awanturę, z której nie wyjdzie żywy. Prosiła o pomoc, o działanie za wszelką cenę. A niedługo potem alarm ze strony samego Wrońskiego. Aspirant powinien stanowczo odmówić,

udawać, że o niczym nie wie. Przecież ujawnienie faktu, iż wdał się we współpracę z postronnymi osobami, stanowiło wielkie zagrożenie dla jego dalszej służby.

- Czy mogę liczyć na pomoc? - zapytał, patrząc szefowi prosto w oczy.

- Możesz liczyć na karę dyscyplinarną - spokojnie odparł komendant. - A teraz opowiesz mi wszystko, co wiesz. Wtedy zastanowię się, czy wystąpić tylko o odebranie ci stopnia, wyrzucenie ze służby, czy zgłosić twoją sprawę prokuraturze. Na nic więcej nie licz.

- Ale ten człowiek...

- Ten człowiek, skoro wdepnął w gówniane bagno, niech sam się w nim chłapie. Jesteś gliną, a nie doktorem Judymem. Obowiązuje cię dyscyplina pracy, powinieneś przestrzegać prawa. A teraz przystąpisz do spowiedzi wielkanocnej. Mamy wprawdzie jesień, ale oczekuję szczerości jak w Wielki Czwartek. Amen! - warknął, widząc, że podwładny zbiera się do riposty. - Drugiej szansy nie będzie.

*

Wyjście z budynku nie stanowiło problemu. Łazarz zdrową ręką podtrzymawał Wojciecha. Najpierw, zanim ich rozwiązał, Michał przeciągnął nosze z Ewelina pod drzwi.

Kiedy samochód podjedzie, kierowca przeniesie dziewczynę i położy na rozłożonym przednim siedzeniu. Wystarczy, że wyjadą za bramę, parę kilometrów dalej, we wsi, powinno już czekać pogotowie. To był pierwszy z telefonów, jaki Wroński wykonał, zanim zabrał się do realizacji reszty planu. Karetka jechała z Wrocławia na polecenie Sebastiana Machały. Do miejscowych łapiduchów porucznik nie mógł mieć przecież zaufania. Nigdy nie wiadomo, kto sprzyja sekcji o tak wielkich wpływach.

Jednak na zewnątrz okazało się, że sprawa nie będzie taka prosta. Barak został otoczony przez strażników. Każdy trzymał pistolet maszynowy albo karabinek, a wszystkie lufy zostały skierowane w stronę wychodzących. Wroński natychmiast wciągnął ich do środka.

Nie miał ochoty prowadzić negocjacji z bandą uzbrojonych ludzi, stojąc na widoku.

- Za ten numer - mruknął, pochylając się do ucha Wojciecha - powinienem teraz przestrzelić ci drugie kolano.

- Cholera, nic nie wiedziałem - jęknął Wyczenko. - Sami musieli się czegoś domyślić.

- Sami? - Michał szturchnął lufą Łazarza. - Jak znam życie, ten coś wykombinował.

Migęła wzruszył ramionami.

- A o kierowcy Stefanika nie pomyślałeś? Może on wzbudził jakieś podejrzenia.

Michał spojrział przez maleńkie okienko w drzwiach w stronę placu, na którym stał samochód.

- Wątpię - rzekł grobowym głosem. - A nawet jeśli, od niego już się niczego nie dowiemy.

Przy limuzynie leżał na plecach skręcony w przedśmiertnym skurczu szofer. Nawet z tej odległości było widać, że ma poderżnięte gardło. Przy zwłokach stała wysoka kobieta, patrząc w stronę budynku.

- No to mamy pata - powiedział Wyczenko.

- Mylisz się. Rozgrywka toczy się dalej, bo trzymam was na muszce.

Łazarz prychnął.

- Wiem, co planowałeś. Samochód miał tutaj podjechać zgodnie z ostatnim poleceniem Wojtka. Zanim ktoś by się zorientował, załadowalibyśmy się do środka i staranowali bramę. Oczywiście zaraz ruszyliby za nami, ale to nie amerykański film. Nie tak łatwo trafić ściganego z pędzących samochodów, szczególnie jeśli uciekający ma jakąś przewagę. Swoją drogą mogłeś wymyślić coś lepszego. Chociaż... to wariactwo mogłoby się udać.

- Nie gadaj tyle. Wojtunio wyda im teraz odpowiednie rozkazy i wyjedziemy sobie stąd spokojnie, bez zbędnych nieporozumień.

Migęła roześmiał się.

- Wojtek może sobie wydawać rozkazy, jakie chce. Na wypadek podobnej sytuacji strażnicy wiedzą co robić. Mają strzelać i koniec.

- Błefujesz.

- Chcesz się przekonać? Spróbuj nas wyprowadzić. Widziałeś tamtą babę przy limuzynie? To Marietta, wierna suka naszego duchowego

przewodnika. Ale wierna tylko do momentu, w którym ten nie zaliczy wpadki. O ile się orientuję, jest poszukiwana przez większość policji Europy, jeśli nie świata. Nie liczyłbym na jej dobre serce albo kobiecą wrażliwość.

Michał przygryzł wargę. Tego nie przewidział. Zresztą gdyby nawet, i tak musiałby spróbować coś zrobić. Na pomoc Machały nie miał co liczyć - podczas rozmowy aspirant dał mu do zrozumienia, że skierowanie wrocławskiego pogotowia w pobliże siedziby sekty to jedyna rzecz, jaką może zrobić. Był wdzięczny i za to. Jednak teraz ta wdzięczność nie miała zupełnie żadnego znaczenia.

- Wracamy do pokoju! - Porucznik założył na drzwi żelazną sztabę. Nikt inny nie wejdzie do środka. - Łazarz pociągnie ze mną nosze, a Wyczenko jakoś doskacze na jednej nóżce. No już!

W złotym tempie zmierzali ku uchylonym drzwiom. Łazarz zdrową ręką trzymał jeden drażek noszy, Michał ciągnął za drugi, idąc nieco bokiem, bo lufę pistoletu trzymał w ustach Miguły.

Stefanik patrzył na nich zdumiony, kiedy weszli bolesnym konduktem.

- Twoi kumple zdołali mnie przechytryć - oznajmił Michał. - Zadałeś się z prawdziwymi grzechotnikami. Chociaż nie, to by obrażało grzechotniki. Twoi kumple okazali się godni siebie i takich jak ty.

- Bardzo ładnie - odezwał się Łazarz. - Ale teraz pogadajmy jak rozsądni ludzie. Widzisz jakieś wyjście z sytuacji poza tym, żeby się poddać? Zagwarantuję ci, że zostaniesz wypuszczony. Możesz nawet zabrać ze sobą tę laskę, chociaż nic z niej już nie będzie. Szkoda, bo potrafiła zrobić chłopu dobrze, chociaż nie dało rady jej dosięść, jeśli nie była naćpana. A i wtedy wierzgała. Lubię takie jędrne klaczki.

Michał zacisnął zęby, palec zadrżał na spuście.

- Jeśli teraz wystrzelisz - rzekł spokojnie Miguła - tamci na zewnątrz otworzą ogień. Na nic ci się nie przydadzą moje rewelacyjne zeznania, drogi przyjacielu, kiedy wszyscy będziemy martwi.

- Mam to w dupie - syknął Wroński. - Jeśli tamci zaczną strzelać, rozwalę ciebie i Wyczenkę, żeby mieć gwarancje, że przynajmniej wy nie wyślizgacie się kolejny raz.

*

Daria niecierpliwie spoglądała na zegarek. Karetka wjechała do wsi kilka minut wcześniej. Lekarz był zdziwiony, ale nie zadawał zbyt wielu pytań. Telefon od funkcjonariusza komendy miejskiej stanowił spore zaskoczenie, jednak nagłe wezwania ze strony policji się zdarzały, więc dyspozytor nie spierał się z aspirantem, któremu najwyraźniej bardzo zależało, żeby wysłać karetkę dość daleko poza rejon działania stacji pogotowia.

- Gdzie chory? - spytał sanitariusz.

- Zaraz powinni dowieźć tę dziewczynę - odparła.

Dopiero po dwudziestu minutach lekarz zaczął się niecierpliwić.

- Wie pani, że nasz czas jest drogi?

- Tu chodzi o ludzkie życie.

- Codziennie ratujemy życie, i to niejedno. Uśmiechnęła się przepraszająco.

- Proszę jeszcze o odrobinę cierpliwości.

Wyjęła z kieszeni telefon i odeszła na bok. Lekarz widział, jak z kimś rozmawia, najwyraźniej poruszona, może nawet rozgniewana. Po chwili zbliżyła się do karetki, kiwnęła głową.

- To naprawdę nie potrwa już zbyt długo.

*

- Twój genialny umysł nie podpowiada ci jakiegoś rozwiązania? - zakpił Łazarz, patrząc prowokująco na Michała. - Wiem, że geniusz dopada cię tylko od czasu do czasu, ale w tej chwili chyba właśnie nadszedł czas zwany najwyższym.

Wroński nie próbował mierzyć się spojrzeniem z Migułą. Z roztargnieniem podrzucał w dłoni telefon komórkowy. Taki wspaniały wynalazek, przeleciało mu przez głowę. Można dzięki niemu porozmawiać praktycznie z każdym, a jednak jeśli druga strona nie zechce pomóc, cała technika nie ma żadnego znaczenia. Bo w ostatecznym rozrachunku liczą się tylko człowiek i jego dobra wola.

- Boże, noga mi całkiem zdrętwiała - jęknął Stefanik.

Porucznik spojrzął na posła obojętnie.

- Nic ci nie będzie, Toleczku. To normalne. Ludzie wychodzą nie z takich rzeczy...

Mówił coraz wolniej, oczy mu błysnęły.

- Ale jest pewien sposób, żeby cię stąd wydobyć. To znaczy: sam możesz się wydobyć.

- Co to za sposób?

- Masz dwa wyjścia. Jedno to pewna śmierć, bo w razie czego ciebie też zastrzelę, chociaż na samym końcu, zawsze to będzie dodatkowa sekunda, aby zrobić rachunek sumienia i pożałować za grzechy. Drugie wyjście to odsiadka, a może nawet tylko wyrok w zawiasach. Masz przecież wszędzie przyjaciół. Już chyba pozbyłeś się złudzeń, że łatwo się wywiniesz? Nie masz raczej wątpliwości, że proces w twojej sprawie musi się odbyć. A przecież Miguła ma bardzo dużo do opowiedzenia.

- Na razie gówno masz - prychnął Łazarz.

- Mam nagraną waszą rozmowę i wszystko, co potem mówiłeś. - Michał podszedł do posła, sięgnął do kieszeni jego marynarki i wydobył na zewnątrz przewód zakończony małym mikrofonem.

- Co z tego? - Miguła wzruszył ramionami. - Przecież toto nie opuści tego miejsca. A jeśli zginiemy - machnął ręką - nie będzie to miało znaczenia.

- Jednak jeśli mi się uda, wszelkie twoje sprawy i mataczenia się skończą.

- Nie doceniasz mnie. - Łazarz skrzywił się, bo przestrzelona dłoń zaczęła mu mocniej dokuczać. - Czy zginę, czy nie, zdołałem zabezpieczyć te moje, jak je nazywasz, mataczenia.

Michał patrzył na niego przez dłuższą chwilę.

- Dobra. Nieważne, nie wciągniesz mnie w rozmowę, nie zyskasz na czasie. Panie posle - zwrócił się do parlamentarzysty. - Wykonasz teraz telefon. Jestem pewien, że członek sejmowej komisji ma większe możliwości działania niż zwykły glina.

- Gdzie mam niby zadzwonić? Na policję do Wrocławia? A jak udowodnię, że ja to ja?

- Naprawdę jesteś taki tępy czy to tylko takie udawanie? Do ministra dzwoni! Do szefa służb specjalnych! Oni chyba rozpoznają kumpla, co?

Rzucił w stronę Stefanika komórkę.

- I co powiem? - spytał poseł z rozpaczą w głosie.

- Prawdę, kurde mol. Ze potrzebujesz pomocy. Żeby spowodowali, aby jednostki szturmowe z Wrocławia zjawily się tutaj jak najszybciej!

Stefanik wziął aparat, ale wahał się. Michał wbił w niego ciężkie spojrzenie.

- Inaczej zdechniesz tutaj razem ze mną. Nie uwierzyłeś chyba, że jeśli się poddam, Łazarz daruje mi życie. Ja nie mam drogi odwrotu. A to oznacza, że ty też nie. Jedyłą szansą jest sprowadzić pomoc.

Na chwilę spuścił z oczu Migułę, dosłownie na moment. Musiał złapać kontakt wzrokowy z posłem, usidlić jego oczy chociaż na sekundę, sprawić, by zobaczył determinację w źrenicach porucznika. To wystarczyło. Stary agent, nie bacząc na ból, przetoczył się przez ramię i w mgnieniu oka znalazł przy noszach. Jeden krótki ruch i krzesło o cienkich, stalowych nogach powędrowało nad dziewczynę. Jeden z pretów spoczął na jej gardle.

- Wystarczy, że się teraz oprę - zawarczał Miguła, zawieszony nad siedzeniem, z ręką na oparciu - a laska zginie. Przewentyluję jej szyjkę. Rzuć broń, jeśli nie chcesz zaraz zobaczyć krwi tej suki.

- Nie wygłupiaj się. - Wroński wycelował w głowę wroga. - Jeśli to zrobisz, strzełę.

- Wtedy nikt nie wyjdzie stąd żywy. A ty nie dowiesz się prawdy o swoim przyjacielu Bzowskim.

- Powiedzmy, że przestało mi na tym aż tak zależeć. Dodajmy, że mam w tej chwili ważniejszy cel.

- Panie pośle, proszę odłożyć telefon! - zawołał Miguła.

- Ani się waż - krzyknął Michał. - Dzwon i to już!

- Zabiję ją! - wrzasnął Łazarz wysokim głosem.

Wroński spojrział na nieprzytomną dziewczynę. Co też jej wylazło na skórę? Nagle do głowy wskoczyło właściwe określenie. Jak to bywa w podobnych skrajnych sytuacjach, pojawiła się informacja do niczego w tej chwili niepotrzebna, przyszły słowa, których daremnie szukał przez ostatnie kilkanaście minut. Tak, to skaza krwotoczna, nieomylny symptom ostrej choroby popromiennej. Im dłużej będą zwlekać, tym dziewczyna ma mniejsze szanse na przeżycie. O ile w ogóle jeszcze jakieś ma...

- Dobra, wygrałeś - westchnął Michał, opuszczając broń.

Migula rozluźnił się nieco. To była chwila, na którą czekał porucznik. Poderwał pistolet, huknął strzał. Odrzucony energią pocisku Łazarz mimo wszystko próbował rzucić się na krzesło, więc Wroński poprawił, i jeszcze raz, i jeszcze... Migula odskoczył do tyłu, zaległ bezwładnie pod ścianą. Michał spojrzał na Stefanika.

- Dzwon, kurwa - ryknął. - Jeśli ten chuj mówił prawdę, zaraz zacznie się piekło!

Wojciech skulił się na dywanie. Czekał na kulę. Przecież ten człowiek zapowiedział, że rozwali go zaraz po Łazarzu. Ale Wrońskiemu nie w głowie było wykonywanie wyroku.

Kilka sekund po drugim strzale, ściany baraku przeszły kule. Rzucił się na ziemię tuż obok Eweliny. Ludzie na zewnątrz rzeczywiście mieli wydane dyspozycje. Słyszał rozpaczliwe wrzaski Stefanika, który zdołał się z kimś połączyć. To na nic - chciał powiedzieć - nikt już nie zdąży ich uratować. Przez wybite okno wpadł do środka granat dymny. Po chwili wylądował następny i jeszcze dwa. Wroński skulił się. Straszliwy huk zdawał się rozrywać bębni. Najwyraźniej strażnicy zamierzali uratować swojego szefa. Inaczej użyliby granatów odłamkowych, a nie ogluszających. Świat wirował. Michał po raz drugi w życiu czuł taką bezradność. Podobnie było w podziemnych korytarzach Oleśnicy, kiedy leżał ranny, a dookoła szalała strzelanina. To była jego pierwsza wspólna akcja z Jackiem Bzowskim, zanim jeszcze zaproponowano mu pracę w kontrwywiadzie. Ale wtedy wszyscy strzelali do wszystkich, a tutaj on był głównym celem. Nie słyszał kanonady. Granaty hukowe okazały się bardzo skuteczne. Wiedział, że otoczenie gotuje się pod gradem pocisków, ale w dzwoniącej ciszy wszystko wydawało się dziwnie odległe, nierealne.

Szkoda, pomyślał, że tak się to kończy. Zostało jeszcze parę ważnych spraw do załatwienia. Gdzieś tam ludzie żyją sobie normalnie, o strzelaninie na terenie sekty dowiedzą się z mediów. Jeśli w ogóle się dowiedzą.

Zobaczył, że drzwi wejściowe wypadają z zawiasów. Zaroilo się od ludzi w czarnych strojach i kominiarkach. Ktoś szarpnął go za ramię. Boże, co za ból! Michał osunął się w objęcia nieświadomości.

Błogosławionej nieświadomości. Miał tylko nadzieję, że zastrzelą go właśnie w tym stanie, nie będą próbowali budzić. Po co?

*

Ocknął się nagle, czując na twarzy delikatny dotyk. A jednak nie pozwolił mu odejść w spokoju, oprawcy chcą spojrzeć w oczy ofierze. Może nawet będą go przed śmiercią męczyć. Otworzył oczy. Zamiast twarzy zasłoniętej czarnym materiałem albo zakazanej mordy jakiegoś ochroniarza ujrzał oblicze ładnej kobiety. Przez chwilę zbierał myśli, przypominając sobie, kto to jest. Skołatany umysł nie potrafił dopasować rysów do konkretnego imienia, skojarzyć ich z kimś znanym. Gdzieś ją widział, ale gdzie? W głowie wciąż huczało. Do uszu docierały jakieś przytłumione dźwięki, z trudem przebijając się przez wszechobecny szum. Jak by nie było, zaraz nadejdzie śmierć. W głowie Wrońskiego kołatała się ta jedna myśl. Nieważne, czy Stefanik zdążył się dodzwonić do swoich przyjaciół. Pomoc nie miała najmniejszych szans dotrzeć w trakcie strzelaniny. Ale może przyjdzie, zanim Wojciech zostanie ewakuowany przez swoich wiernych gwardzistów. No i jeszcze jedna rzecz została na pocieszenie. A właściwie dwie. Łazarz leży gdzieś tam postrzelany jak sito.

Przecież wpakował w niego pół magazynka. Może pozostali winni ujdą karze, ale przynajmniej ten gad nikogo więcej nie ukąsi. A druga rzecz to nadzieja, iż Zgromadzenie Serca Jezusa Świątyni Nowego Kościoła przestanie istnieć.

- Zabierzcie go - głos kobiety brzmiał, jakby został przepuszczony przez specjalne urządzenie do zmieniania barwy i wysokości, był spowolniony, Michał z trudem rozróżniał poszczególne słowa, a ich sens docierał do niego z wielkim opóźnieniem.

Poczuł, że jego ciała dotykają jakieś ręce, podnoszą je, a potem składają na czymś miękkim. Jego ciało... tak, to było dobre określenie. Nie miał bowiem poczucia, że te doznania dotyczą jego jako osoby, ale właśnie tego, co mógł nazwać własnym ciałem. Może już nie żyje? Może wszystko, co dzieje się dookoła, odbiera już tylko jego dusza, która nie zdążyła się jeszcze całkowicie odłączyć od ziemskiej powłoki?

- Powinien mieć urządzenie nagrywające - znów niski, przefiltrowany alt. - Sprawdźcie.

Tak, to pierwsze, co powinni zrobić. Zdobycie tego nagrania to dla paru osób najważniejsza rzecz pod słońcem.

- Jest mikrofon, ale kabel urwany. Zaraz... mam. O to chodzi?

- Tak. Trzeba to natychmiast zabezpieczyć.

„Raczej zniszczyć” miał ochotę podpowiedzieć porucznik. Chyba że kumple Łazarza i Wojciecha zechcą nagranie jakoś wykorzystać.

Chociażby do szantażowania Stefanika. To by było nawet zrozumiałe i konsekwentne.

Czy to jednak któryś ze strażników jest taki rozsądny, czy też Wojciech odzyskał siły? Na to pytanie nie potrafił ani nawet nie chciał znaleźć odpowiedzi. Skoro wszystko się kończy w taki sposób... Trudno. Niech teraz inni zajmą się ściganiem tych niegodziwców. Nagle przypomniał sobie, kim jest kobieta, która go ocuciła. Poczul w sercu przykry skurcz. Niech to wszystko szlag trafi... Podniósł głowę, usiłując zobaczyć poczynania ludzi uprzętających pobojuwisko, ale natychmiast stracił przytomność.

Czekała przed szpitalem.

- Dlaczego nie chciałeś ze mną rozmawiać?

- Badali mnie na wszystkie strony - burknął. - Myślałem, że wyjmą ze mnie flaki i obejrzą pod rentgenem.

- Nieprawda. - Oczy zaszyły jej łzami. - Wiem przecież, że dwa dni leżałeś tylko na obserwacji, miałeś mnóstwo czasu.

Spojrzał na nią z niechęcią.

- Daj spokój. Nie nabiorę się więcej na te twoje niewysychające źródółka. Wykorzystałaś mnie! Kim jesteś? Masz przynajmniej na imię Daria?

Przełknęła ślinę, otarła ostrożnie oczy.

- Dlaczego mi to robisz?

- Nie udawaj! W tym, że nie jesteś żadną krewną tej dziewczyny, połapałem się już jakiś czas temu. Kobieta, która tak kocha swoją córkę chrześną, powinna nosić w portfelu jej zdjęcie, pokazywać je, opowiadać ciągle o ukochanej siostrzenicy. Za mało się do tego przyłożyłaś. Nie masz własnych dzieci i to po prostu widać. Nie potrafisz kochać. Powinienem zorientować się już na samym początku, że chodzi tutaj o coś innego. Powinienem, ale byłem zbyt zaprzątnięty najpierw myślami o uwięzionym przyjacielu, a potem o Łazarzu. Zaślepiło mnie pragnienie zemsty, dlatego wyszedłem na idiotę. Muszę przyznać, że działacie bardzo sprawnie, potraficie wykorzystać każdą okazję i każdą słabość. Co byłaś gotowa zrobić, żeby mnie omotać? Poszłabyś ze mną do łóżka? Czy aż tak dobrze ci płacą?

- Jak możesz?!

Michał pokręcił głową. Inaczej wyobrażał sobie tę chwilę. Wiedział, że prędzej czy później musi się spotkać z tą kobietą, nie przypuszczał jednak, że nastąpi to tak szybko i w tak niefortunnym miejscu, na podjeździe dla karetek pogotowia. Ale może tak jest lepiej?

Przynajmniej będzie miał to z głowy.

- Posłuchaj, pani agentko czegoś tam czy kogoś tam. Przyjęłaś, że jestem głupszy, niż jestem, i przez jakiś czas miałaś rację. Ale w pewnym momencie zacząłem myśleć i kolarzyć.

Komendant z Ostrowa Wielkopolskiego wcale nie podał ci moich zamiarów. Od początku trochę mnie dziwiło, że złamał przepisy, nawet dla tak atrakcyjnej kobiety, ale nie miałem głowy wtedy tego sprawdzić, zresztą potem zupełnie o tym zapomniałem. Dopiero teraz upewniłem się co do tej kwestii, a dokładniej zrobił to na moją prośbę Machała. Powiedz tylko, jaka była dokładnie twoja rola? Miałaś mnie obserwować, tego jestem pewien, ale co dalej? Dla kogo pracujesz? Wiesz, właściwie nie sil się na odpowiedź! Doskonale zdaję sobie sprawę, że każda kolejna będzie tylko kłamstwem. Gdzie jest nagranie, które kazałaś mi odebrać po strzelaninie?

Milczała, wzrok skierowała gdzieś w przestrzeń. Michał nie czekał chwili dłużej.

Poszedł w stronę samochodu, w którym siedział Sebastian. Nie musiała nic mówić. Miał dwa dni na myślenie. Przez ten czas zdołał złożyć układankę, przeanalizować ciąg zdarzeń, odkryć karty, które do tej pory wydawały się wielką niewiadomą. Przez cały pobyt w szpitalu składał skomplikowane puzzle.

- Nie zabieramy jej? - spytał aspirant, kiedy Michał dotarł do wozu.

- Na pewno ktoś tu na nią czeka. Jakiś pieprzony agencik w nierzucającym się w oczy autku.

- Pewnie tak - zgodził się Machał. Przekręcił kluczyk w stacyjce. - Jedziemy na komendę. Ktoś chce z tobą rozmawiać.

- Kto?

- Tego nie mogę powiedzieć. Zresztą sam nie do końca wiem, kim ten człowiek jest. W każdym razie na pewno ktoś wysoko postawiony.

Michał odchylił głowę na oparcie fotela, przymknął oczy. Życie zawdzięczał determinacji policjanta. Zdołał on przekonać szefa, aby wysłać na pomoc Wrońskiemu dwa plutony szturmowe sił prewencyjnych. Pomógł w tym także telefon od jakiegoś decydenta.

Chyba jednak niezwiązany z wysiłkami Stefanika, bo poseł dzwonił dużo później i najpierw do Warszawy.

Lazarz przeżył. Dwa strzały Wrońskiego trafiły niegodziwca w rękę, dwa w pierś, ale żadna z kul nie znalazła serca. Może nie miała czego znaleźć... Miguła tym razem na pewno się nie wymiga, nie wyjdzie z więzienia do końca życia. Michał nie czuł jednak w związku z tym

spodziewanej ulgi. Po raz kolejny przekonał się, że zemsta ma mdły, nijaki smak.

*

Limuzyna na dyplomatycznych rejestracjach zatrzymała się przed budynkiem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Federacji Rosji. Szlaban nie uchylił się, mimo iż szofer dwukrotnie błysnął światłami. Mężczyzna potężnej postury wysiadł wprost w wielką kałużę.

Wściekle spojrzął w stronę szofera, który skulił się za kierownicą. Towarzyszący mężczyźnie goryl rozglądał się czujnie. Podeszli do środka. Na widok okazanych papierów strażnik wyprostował się jak struna.

- Do kogo? - spytał.

- Do wiceministra Kalinina. Jestem umówiony.

- Chwileczkę.

Mundurowy wziął słuchawkę telefonu. Potężny mężczyzna zmarszczył brwi. Nie był przyzwyczajony, aby musiał go meldować zewnętrzny posterunek. Od lat miał wolny wstęp na teren urzędu.

- Jakies nowe porządki? Pierwszy raz nie wpuszczono mojego auta na teren ministerstwa.

- Wczoraj wyszło zarządzenie - uśmiechnął się przepaszająco wartownik, a do telefonu zaanonsował: - Przyjechał sekretarz ambasady Białorusi, Fiodor Wasiliewicz Panajew - przez kilka sekund słuchał z uwagą. - Tak jest, natychmiast.

- Proszę - strażnik uczynił zapraszający gest. - Mam przeprosić w imieniu pana ministra ze te utrudnienia. Kwestia bezpieczeństwa. Niedługo wybory, obawiamy się zamachów separatystów czeceńskich.

Panajew kiwnął głową.

- Rozumiem - rzekł oschle. - Czy to znaczy, że mam się przygotować na kontrolę osobistą przy każdej wartowni po drodze?

- Ależ skąd! Następne posterunki zostały uprzedzone.

Białorusin wraz z ochroniarzem ruszyli dalej, w kierunku gmachu. Strażnik patrzył za nimi, a potem zameldował.

- Jest bez broni. Goryl też. Chyba że ma coś niemetalowego. Tak czy inaczej, zachowajcie czujność.

Obejrzał się na samochód, który cofnął się i odjechał parę metrów, parkując przy krawężniku po drugiej stronie ulicy. Przy drzwiach od strony chodnika stał siwy człowiek, czujnie obserwując przebieg wydarzeń. Widząc, że wartownik zwrócił na niego uwagę, powiedział coś do kierowcy. Wskoczył do środka i limuzyna ruszyła z piskiem opon. Z jeszcze większym hałasem stanęła po pokonaniu pięćdziesięciu może metrów. Zajechał jej bowiem drogę milicyjny wóz z włączonymi kogutami. Sekundę później tył białoruskiego samochodu został zablokowany przez następne dwa wozy. Wysypali się z nich ludzie w czarnych mundurach, wysiadło kilku cywilów. Siwy mężczyzna został wyciągnięty z auta, podobnie jak szofer. Po chwili obaj leżeli twarzami na asfalcie. Każdy czuł na karku ucisk podkutego, ciężkiego buta.

Tymczasem Panajew minął trzeci wewnętrzny posterunek. Doskonale znał rozkład budynku. Przeszedł korytarzem prosto, potem w lewo obok stolika, przy którym dyżurowali młodszy oficer FSB i dwóch ludzi z biura ochrony.

- Zostaniesz tutaj - rzucił do goryla. - Dalej muszę iść sam.

Poszedł zdecydowanym krokiem. Zastanawiał się, w jakim celu wiceminister spraw wewnętrznych Rosji chciał się z nim widzieć w trybie pilnym. W Mińsku nie działo się nic wielkiego, zwyczajne zatrzymania opozycjonistów. Aleksander Milinkiewicz właśnie wyszedł z aresztu i siły bezpieczeństwa przygotowywały jakiś następny pretekst, żeby go znów przytknąć. Andżelika Borys przebywała w Polsce, spiskując przeciwko legalnej władzy. Jak tylko wróci, zorganizuje się jakaś mała prowokacja, żeby zdeprecjonować jej działania za granicą. Może tym razem nie narkotyki. Może trzeba będzie wywołać jakiś mały skandal obyczajowy. Młoda, atrakcyjna kobieta nie powinna przecież wiecznie żyć jak mniszka. Chłopcy z mińskiego oddziału KGB już coś wymyślą. O co zatem ministrowi chodzi tym razem? Czyżby prezydent Rosji chciał coś przekazać prezydentowi Łukaszence kanałami dyplomatycznymi, zamiast po prostu wykonać telefon?

Minął stolik. Młodziutki oficer wstał, wyprężył się. Sekretarz niedbale machnął mu ręką. Komandosi patrzyli bykiem i nagle jeden z nich skoczył do przodu. Uderzenie w żołądek sprawiło, że Panajew zgiął się wpół. Wtedy silne ręce chwyciły go z tyłu, za łokcie.

Poczuł na rękach metaliczny chłód, szcęknięty kajdanki.

- O co... - obejrzał się na ochroniarza. Zobaczył go walczącego z trzema przeciwnikami. Po chwili wielki mężczyzna leżał na dywanie, a jeden z napastników dociskał mu kolanem kręgosłup na wysokości łopatek. - Czego chcecie?

- Fiodorze Wasiliewiczu Panajew - powiedział oficer - jest pan aresztowany w związku ze sprawą kradzieży i przemytu materiałów promieniotwórczych.

- Jak śmiecie! Jestem dyplomatą. Mój rząd...

- Pański rząd wie o naszej akcji. Prezydent Łukaszenka osobiście wyraził zgodę na aresztowanie pana.

Sekretarz zacisnął zęby. Wyraził zgodę! Rosjanie jak zwykle posłużyli się różnymi rodzajami nacisku i szantażem. W podobnych sytuacjach prezydent Białorusi nie ma zbyt wiele do powiedzenia.

- To jakaś pomyłka albo prowokacja!

- Z pewnością - powiedział zjadliwym tonem oficer. - Podobną pomyłką i mistyfikacją była ostatnio śmierć funkcjonariusza milicji, zabitego w metrze.

- Czytałem. - Panajew wyprostował się, spojrzał prosto w oczy funkcjonariusza FSB. - Wasze gazety podały, że to robota Czeceńców.

- A co miały podać? - Rosjanin wzruszył ramionami. - Prawdę? Żeby spłoszyć pana i pańskich pomagierów?

- Nie wiecie, co robicie! Kiedy okaże się, że jestem niewinny, aresztowanie mnie może być przyczyną zerwania stosunków dyplomatycznych.

- Nie przypuszczam. Bo to niemożliwe, by pańska niewinność. Myślę, że dobrze się rozumiemy.

Sekretarz zacisnął zęby. Przez chwilę zbierał myśli. Spojrzał na dystynkcje na ramionach oficera.

- Dlaczego aresztowania ważnego dyplomaty dokonuje jakiś porucznik, a nie odpowiednia szarża?

Twarz młodego człowieka pociemniała, zęby zacisnęły się tak mocno, że na policzkach wyskoczyły węzły mięśni.

- Ten zabity w metrze - wycedził przez zęby - to był mój brat.

Machała zaprowadził Wrońskiego do gabinetu komendanta. Sekretarka o nic nie pytała, wskazała tylko uchylone drzwi. Michał obejrzał się na Sebastiana, a ten pokręcił lekko głową. Nie zamierzał wchodzić do jaskini Iwa razem z porucznikiem. Wroński głęboko odetchnął. Ktoś z góry się do niego pofatygował? Ale kto? Dziarsko podszedł do drzwi, pchnął je i zmartwiało na widok człowieka, który siedział w fotelu ustawionym obok stolika na kawę. Za biurkiem należącym do komendanta było pusto.

- Niechże pan wejdzie - powiedział pułkownik Manke, wskazując Michałowi drugi fotel. - Musimy porozmawiać.

- Myślałem, że udzieli mi pan audiencji dopiero w Warszawie.

- Widzi pan jednak, że pofatygowałem się tu osobiście.

- A co, nie wystarczają już informacje dostarczane przez Darię? Czy jak jej tam?

Manke milczał przez chwilę.

- Już się pan domyślił?

- Owszem. Użyliście mnie jako przynęty, haczyka i wędkarza zarazem. Igraliście życiem moim, tej biednej dziewczyny i wszystkich, którzy znajdowali się, mieszkali na terenie sekty. Mogliście ich zlikwidować jednym ruchem, ale nie, musieliście prowadzić swoje gierki do samego końca!

- Proszę nie krzyczeć. To znaczy - Manke uśmiechnął się lekko - może pan nawet krzyczeć, ale dopiero kiedy drzwi będą zamknięte.

Michał spojrział ponuro, zdecydowanym ruchem zatrzasnął ciężkie skrzydło. Usiadł naprzeciwko pułkownika. Milczał, wpatrując się w twarz tamtego.

- Słucham - odezwał się Manke po dłuższej chwili.

- Czego pan słucha?

- Zdaje się, że przed chwilą miał pan sporo do powiedzenia. Proszę sobie nie żałować. Pewnie marzył pan o tej chwili.

Michał uśmiechnął się krzywo. Tak, marzył o tym, by nawrzucać następcy Jacka Bzowskiego, powiedzieć mu, co myśli o jego metodach, o tych wszystkich gierkach, przez które niemal stracił życie. Ale teraz po prostu stracił ochotę na rozmowę, a w każdym razie na połajankę.

- Mówił pan, że został wykorzystany - próbował go naprowadzić rozmówca.

- To wie pan lepiej ode mnie, prawda? Po co strzepić język?

- A jednak chętnie bym posłuchał pana przemyśleń i wniosków na ten temat.

- Mam nadzieję, że mój trud nie poszedł na marne - odparł Wroński z goryczą. - Macie, czego chcieliście.

- A czego chcieliśmy?

Michał zastanowił się. Tak, w zasadzie znał odpowiedź na to pytanie. Ale znał ją niejako całościowo, nie myślał dotąd nad różnymi jej aspektami. Przyjął do wiadomości, że całe to prześladowanie go w firmie, prowokacja ze strony Maćka, pomoc Szczepana, karne przeniesienie do oddziału terenowego, wszystko wpisywało się w ramy zadania, które nie do końca świadomie wykonywał. To znaczy nieświadomie, ale tylko do pewnego momentu.

Ciekawe, czy siedzący przed nim oficer zdawał sobie sprawę, że podwładny miałby to wszystko gdzieś i rzucił całą robotę w diabły, gdyby przypadkiem cele dowództwa nie były zbieżne z jego własnymi.

- Przez jakiś czas zastanawiałem się, dlaczego nie jestem objęty permanentną inwigilacją - rzekł, patrząc Mankemu prosto w oczy. - Dlaczego na każdym kroku nie spotykam obserwatorów, nie znajduję podsłuchów. Przyjąłem, że na pewno namierzaliście moje rozmowy telefoniczne, sprawdzaliście, gdzie przebywam, ale bardzo dyskretnie. Na tyle dyskretnie, że nie mogło wam to dawać pełnego obrazu. Dopiero później dotarło do mnie, że znaleźliście najlepszą możliwą metodę, aby obserwować wszelkie moje ruchy, a nawet więcej, mogliście wiedzieć, co zamierzam. Znakomita metoda, której na imię Daria. Tamta awantura w pociągu została zorganizowana, żeby ją do mnie zbliżyć, aby potem miała pretekst, by szukać mnie jako kogoś, kto nie zleknie się niebezpieczeństwa. Mam rację?

Manke nie odpowiedział. Zresztą Michał zadał to pytanie jedynie pro forma.

- Ta dziewczyna, którą miałem ratować, te trupy z ziarnkami pieprzu w ustach, o których opowiedział Machała... Ten ciąg przypadków, który doprowadził mnie do Łazarza... Nie było żadnego ciągu przypadków. Zostałem naprowadzony na ślad tak, jak naprowadza się

psa gończego na trop zwierzyny. A może lepsze byłoby porównanie do policyjnego pieska poszukiwacza, któremu podsuwa się pod nos część garderoby przestępcy. Prawdziwie koronkowa robota.

Zamilkł, spojrzął w okno, za którym bure chmury kłębiły się nad wilgotnym miastem.

- Nie rozumiem tylko, po co zadawał pan sobie tyle trudu. Przecież musiał pan z góry wiedzieć, że w pewnej chwili się w tym wszystkim połapię, i co wtedy?

Manke podążył za wzrokiem porucznika, po chwili wrócił do twarzy rozmówcy.

- Nie domyśla się pan?

- Może się domyślam, a może nawet jestem pewien. Jednak chciałbym to usłyszeć od pana. Nie mam wątpliwości, że mi pan nie ufał. Sprawa Bzowskiego, mojego przyjaciela, człowieka, który mnie wciągnął do tej pracy, była tu istotna. Nie wiedzieliście tak naprawdę, czy jest zamieszany w aferę z kradzieżą dokumentacji Bursztynowej Komnaty, czy miał coś wspólnego z zabójstwem tego renegata Witka Żółtaka, czy maczał palce w innych machlojkach. A w związku z tym nie wiedzieliście także, czy i na ile ja też jestem w to uwikłany.

Zamilkł, czekając na odpowiedź pułkownika. Manke odchrząknął.

- Widzi pan, panie Michale, obejmując kierownictwo biura, nie miałem najbledszego pojęcia, komu mogę zaufać. Mogłem jedynie przypuszczać, że sprawa majora Bzowskiego to tylko wierzchołek góry lodowej. Przecież podczas sprawy Bursztynowej Komnaty zdrajcą okazał się najpierw Łazarz, a potem Witold Żółtak. Wreszcie, kiedy pan był na urlopie, padły również podejrzenia na Bzowskiego. Kto jeszcze mógł być zamieszany w aferę z dokumentami?

- Ja, prawda? - nie wytrzymał Wroński. - Najbliższy współpracownik szefa, jego kumpel od zwierzeń i kieliszka.

Manke pokręcił głową.

- Pana właśnie podejrzewałem najmniej. Przecież w czasie akcji stracił pan kobietę. Potem pojechał się pan mścić do Budapesztu, mając gdzieś resztę śledztwa. Tak, w moich oczach był pan najmniej podejrzany.

- Dlatego byłem traktowany jak najgorszy wróg?

- Właśnie dlatego. Na pewno sam pan wie, o co chodziło, ale skoro chce pan udawać głupiego, wytłumaczę. Dzięki ostremu konfliktowi miałem gwarancję, że ewentualny kret w biurze nie będzie niczego podejrzewał, kiedy zostanie pan wylany z Warszawy i przeniesiony na prowincję. Najważniejsze zaś było, żeby pan sam opuścił wydział z takim właśnie przekonaniem. Wizyta w Helsinkach jak najbardziej wpisywała się w to wszystko, a ambasador Wilichow potraktował pana tak, jak tego oczekiwaliśmy.

Michał zagryzł wargi.

- Rozumiem - wycedził - że jego ekscelencja Nikołaj Pawłowicz działał w porozumieniu z wami? Wykonał robotę, jaką mu pan zlecił?

Manke zmrużył oczy.

- Powiedzieć, że wykonał robotę, którą mu zleciłem, to stanowczo zbyt wiele. Ale rzeczywiście, współpracowaliśmy z nim i współpracujemy. Po fiasku poszukiwań skrzyń z Bursztynową Komnatą w Srebrnej Górze i po aresztowaniu ambasadora popadł w niełaszkę.

- To też jest dla mnie jasne - kiwnął głową Michał. - Rosyjski wywiad wykorzystał wpadkę, aby umocować Wilichowa w miejscu, z którego mógł działać, pociągać za sznurki, choć wszystkim dookoła się wydawało, że stary pierdziel gnije na podrzędnej, mało istotnej placówce. Tego domyśliłem się już dawno.

- Tak jest - ucieszył się pułkownik. - Dobrze, że sam pan do tego doszedł, bo w zasadzie nie wolno mi było o tym wspomnieć. W każdym razie rzeczywiście zaangażowaliśmy panią Darię, aby miała na pana oko. Przecież nie mogłem mieć pewności, iż rzeczywiście nie jest pan w nic zamieszany. Major Bzowski starannie ukrywał pańskie sławetne wyskoki, nie wahał się zatuszować wypadu do Budapesztu, kiedy zabił pan „Saszkę” Walasa. A jednak postanowiłem panu zaufać.

- Zaufać? - parsknął Michał. - Pan żartuje. To nie była kwestia zaufania. Przy okazji tej sprawy chciał mnie pan sprawdzić. Gdyby zaszło podejrzenie, że zachowuję się nie tak, jak trzeba... - Zawiesił głos, spojrzał na Mankego z oczekiwaniem. Tamten milczał, więc porucznik dokończył: - Zostałbym zdjęty, być może nawet ostatecznie. Daria z pewnością otrzymała pozwolenie wyeliminowania mnie.

Ostatecznego wyeliminowania, jeśli dobrze zdążyłem poznać wasze... to znaczy nasze metody.

Zamilkł, znów oczekując jakiejś reakcji ze strony rozmówcy.

- Bardzo szybko okazało się, że nie ma takiego zagrożenia - stwierdził po dłuższej chwili pułkownik. - Ale żeby pan nie myślał, iż dla mnie była to zwykła rozgrywka... Postawiłem na pana, nie bacząc na opinię przełożonych. Zaryzykowałem, wziąłem na siebie całą odpowiedzialność. Gdyby się okazało, że wykręcił pan jakiś numer... - Machnął ręką. - Szkoda gadać. Byłoby po mojej karierze. Ale w tej robocie czasem trzeba podjąć ryzyko.

- Aby osiągnąć pożądane rezultaty - dokończył gładko Michał. - Im większe ryzyko, tym większe zyski.

- Zapewne. W pana przypadku, na szczęście, opłaciło się.

- Opłaciło się - powtórzył z zastanowieniem Wroński. - Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego nie można było przeprowadzić akcji przy użyciu normalnych metod... - mówił coraz wolniej, wreszcie umilkł. Po chwili podjął: - Chyba jednak rozumiem. Jakież naciski z góry? Ktoś chciał się bardzo mocno asekurować na wypadek, gdyby sprawa miała się rypnąć i wybuchłby polityczny skandal? Wtedy można by powiedzieć, że samowolna działalność podrzędnego agenta doprowadziła do nieporozumienia i naruszenia tego... jak to się nazywa? Obyczaju politycznego?

- Standardów politycznych.

- Czyli mam rację?

Pułkownik zachował milczenie.

- A co z moim pytaniem? Daria miała mnie zabić, gdyby coś było nie tak? Gdyby okazało się, że razem w Jackiem tkwimy po szyję w tym gównie, a ja mam tylko na celu zlikwidować Łazarza na wszelki wypadek, bo mógłby się zechcieć z wami dogadać, wystawiając wspólników przestępstw?

- Strasznie pan dociekliwy. - Manke zmarszczył brwi. - Przecież sam pan powiedział, że zna nasze metody. Procedury są jasne... Zaraz... - spojrzał bystro na Wrońskiego. - Panu na niej w jakiś sposób zależy, chyba się nie mylę? - To było bardziej stwierdzenie niż pytanie.

- Powiedzmy, że zależało. Zanim zrozumiałem, jaka była jej rola w tej sprawie.

Pułkownik zacisnął usta.

- Proszę mi wierzyć, że to nie ma najmniejszego znaczenia. Daria wykonywała swoją pracę.

- Pracę - rzekł z goryczą Michał. - Czy bardzo się pomylę, jeśli powiem, że ta kobieta jest zwykłą suką, naganiaczką z wydziału kontroli kontrwywiadu?

- Jest kimś więcej. Ale o tym rozmawiać nie będziemy.

Michał milczał przez chwilę. Starał się nie wybuchnąć.

- Jest kimś więcej - powtórzył po chwili, cedząc słowa z zimną pasją. - To oczywiste. Pierwszy raz zobaczyłem ją niby przypadkiem, podczas rozmowy z pewnym facetem. - Spojrzał badawczo na rozmówcę. Twarz pułkownika pozostawała bez wyrazu. - To on zwrócił na nią moją uwagę. Paweł, człowiek, który nie istnieje, a do tego mieszka pod adresem, jakiego w ogóle nie ma. Ktoś, kto działa nie ponad prawem, ale obok niego.

Ostatnie zdania wywołały wreszcie reakcję Mankego. Pułkownik skrzywił się i syknął:

- Ciszej, nie teraz.

- Nie wiem tylko - ciągnął Michał, nie zwracając uwagi na niecierpliwe gesty oficera - czy te jego działania wchodzą w zakres pracy naszych szperaczy z wydziału kontroli, czy zawarliście z kimś sojusz akurat w tej sprawie. I dlaczego zamiar na Pawła dał mi swego czasu właśnie Jacek. To też wasza podpucha? Oficerowie są przekonani, że mają jakiś nieformalny, poufny kontakt w razie czego, a to jest zabezpieczenie, ale dla agentów z kontroli, nie dla nich?

- Nie teraz! - powtórzył Manke. - To wygląda trochę inaczej, niż pan sobie wyobraża. Ale dowie się pan wszystkiego dopiero w swoim czasie!

- No, niech będzie. Tylko jedno pytanie. Co jest tak ważne, że uknuto całą tę intrygę, że dogadaliście się ponad podziałami, nawet z agenturą FSB?

Pułkownik milczał.

- Dobrze - powiedział po chwili Michał. - Ja panu powiem. Rzec idzie nie o jakiegoś tam majora kontrwywiadu, przesądzenie o jego winie lub niewinności, nie o fałszowanie pieniędzy, handel narkotykami czy żywym towarem. To coś o wiele poważniejszego:

Rosjanie stracili kontrolę nad wypływem substancji rozszczepialnych z ich magazynów i ośrodków badawczych. To przede wszystkim dlatego...

- Jeszcze słowo - warknął pułkownik - a narobi pan sobie prawdziwych kłopotów. Ani czas, ani miejsce na takie rozmowy.

Wroński zamilkł, patrzył tylko z krzywym uśmiechem na przełożonego.

- Chce pan jeszcze czegoś się dowiedzieć albo mnie obrazić? - spytał Manke, rozdrażniony drwiącym grymasem na twarzy porucznika.

- Tak. - Michał przestał się szczerzyć. - Ewelina opowiadała przed śmiercią o niejkiej siostrze Marietcie. To jakaś sadystka. Zresztą ona właśnie poderżnęła gardło kierowcy Stefanika. Czy zdołaliście coś ustalić?

Pułkownik ze smutkiem pokręcił głową.

- Niestety. Znikła jak kamfora. Chłopcy z oddziału szturmowego wzięli ją pewnie za jedną ze zwyczajnych mieszkanek, nie upilnowali. Gdybyśmy wiedzieli...

- W tej sprawie mamy o wiele więcej niewiadomych. Mam wrażenie, że dotknęliśmy zaledwie wierzchołka góry lodowej. Reszta czai się gdzieś w otchłani. Jeśli odetniemy tę górę, na powierzchni pojawi się następna część...

- Tak można bez końca - przytaknął Manke. - Porównanie z górą lodową jest bardzo trafne. Przestępczość zorganizowaną charakteryzuje to, że kiedy po likwidacji grupy wyłania się następna, jednocześnie w mroku, którego nie potrafimy przebić wzrokiem, trwa nabór, mrówcza praca bandytów, pozyskujących nowych członków. Przerażające, jeśli się nad tym głębiej zastanowić.

- Przerażające - zgodził się Michał. - Chociaż wcale nie mniej niż wasze brudne sztuczki.

Epilog

- Twoja rola jest skończona. To, że zadurzyłaś się w tym facecie, nie oznacza, że mogłaś czegoś żądać i podejmować działania na własną rękę! Z chwilą zakończenia misji on przestał dla ciebie istnieć!

Siedziała z opuszczoną głową. Pograżony w mroku człowiek był wściekły. Miał powody, bo postąpiła wbrew regułom. A przecież pragnęła jedynie chwili rozmowy, możliwości wytłumaczenia Michałowi, że wykonywała swoją pracę, zwodziła go, ale chodziło o niesłychanie ważne sprawy.

- To niedopuszczalne - ciągnął mężczyzna. - Kiedy zaczęłaś u mnie pracować, wiedziałaś doskonale, jakie są zasady.

Z całych sił starała się powstrzymać, jednak nie była w stanie nad sobą zapanować.

- Panu się zdaje, że każdy jest tak pozbawiony uczuć jak pan - syknęła wściekle. - Otóż nie, niektórzy zachowują choć cząstkę duszy, nawet jeśli pracują w takim szambie.

- Uczucia - burknął rozmówca. - To coś zupełnie niepotrzebnego w twojej profesji. Z uczuciami daleko nie zajedziemy.

- Przecież pan wie, że do tej pory zawsze potrafiłam zachować odpowiedni dystans. Nawet w tych sprawach, w których musiałam nawiązać bliższą znajomość. Ale on... To nie jakiś zwyczajny agent, szpieg kombinujący, jak wystrychnąć wszystkich dookoła na dudka. To ktoś inny, dlatego uważam, że należało mu się jakieś wytłumaczenie. Jakiegokolwiek.

- Tak, wiem. Jest inny - rzekł drwiąco. - Nieszczęśliwy po stracie kobiety, uczciwy do obrzydliwości, prawdziwy rycerz. Nigdy nie zrozumie, dlaczego wy, kobiety, tak bardzo ciągniecie do podobnych typów. Przecież taki nigdy nie dojdzie do wielkiego majątku, nie zostanie nikim ważnym, nie dostąpi szczytów. O ile się orientuję, rodzaj żeński powinien wybierać partnera, właśnie biorąc pod uwagę jego możliwości. Genetyka...

- Genetyka to tylko nauka - głos jej stwardniał. - życia nie da się wpasować w ciasne ramy eksperymentu.

- Zakochałaś się w nim? To naprawdę brak rozważli.

- Nie wiem, czy się zakochałam - zastanowiła się przez chwilę. W uszach zabrzmiały słowa Wrońskiego: „Ty nie potrafisz kochać”. Poczula przyływ wściekłości. - To nie pana sprawa! Ale skoro już musi pan wiedzieć, to nie, nie jest mi bliski w ten sposób. Wieloletnią tresurą potrafiliście wykastrować moje serce, zabić uczucia, ale mimo to pragnęłam z nim porozmawiać. Nie chciałam przecież zdradzać żadnych tajemnic!

Mężczyzna roześmiał się.

- On i tak poznał ich już zbyt wiele. Drgnęła.

- Chce go pan... - Nie mogło jej to słowo przejść przez gardło. Wreszcie wykrztusiła: - Chce go pan wyeliminować?

Roześmiał się znowu, głośniej.

- Nie musisz się obawiać, twojemu sir Galahadowi włos z głowy nie spadnie. - Spoważniał i dodał: - Oczywiście tylko dopóty, dopóki jest grzeczny. I jeśli nie będziesz się starała z nim spotkać. Przestałaś dla niego istnieć, czy to jasne? Zrobiłaś wszystko, co było w twojej mocy, żeby mu pomóc. Wezwałaś brygadę specjalną, pośpieszyłaś się, narobiłaś bałaganu. Przez to uciekła nam kobieta, której poszukujemy od lat. Darowałam ci, bo wbrew temu, co o mnie myślisz, też jestem człowiekiem i pewne rzeczy potrafię zrozumieć. Ale na tym moja wyrozumiałość się kończy. Koniec. Amen. Szlus. Czeka na ciebie następne zadanie.

*

Jacek wyglądał bardzo źle. Miał podkrążone oczy, zapadłe policzki. Było widać, że pobyt w areszcie jest dla niego męczarnią. Michał z przykrością patrzył na byłego szefa.

- Witaj - uśmiechnął się blade Bzowski. - Co słyhać? Dopuszcili cię jednak na widzenie?

- Tak - odparł poważnie Michał. - To moja nagroda. Sam minister wyraził zgodę.

Milczeli przez chwilę. Ciszę przerwał major.

- Dopadłeś Łazarza? - spytał.

- Ostatnie tygodnie poświęciłem tylko temu, żeby go dopaść. Musiałem cię oczyścić z zarzutów. Uznałem, że Miguła będzie stanował doskonały dowód twojej niewinności, żywy czy martwy.

Jacek ożywił się.

- Zabiłeś go?

- A czy byłaby to dla ciebie wielka ulga?

- Twoja zemsta byłaby również moją zemstą. To ten skurwieli wrobił mnie tak, że od dwóch miesięcy siedzę pod kluczem i czekam na zmiłowanie. Dobrze, że cię widzę, przyjacielu.

Michał patrzył na człowieka z drugiej strony siatki. Z tyłu, za przeszkłonymi drzwiami czuwał strażnik, uważnie obserwując salę widzeń.

- Ty skurwysynu - powiedział spokojnie porucznik - masz czelność nazywać mnie przyjacielem?

Bzowski poczerwieniał, zaczął się podnosić, ale natychmiast zrezygnował.

- A więc wiesz...

- A więc wiem! Zrobiłem wszystko, żeby cię oczyścić. Nawet przez sekundę nie zwątpiłem w twoją niewinność! Kurczę, gdybym nie stracił Doroty, gdyby to nie spowodowało, że przestałem na pewne rzeczy patrzeć racjonalnie, sam bym się domyślił, że coś jest nie tak, bez zeznań tego gnoja, Łazarza! Kiedy cię kupił? Powiedz, chcę usłyszeć!

Major milczał. Nie patrzył w oczy Wrońskiemu, wbił wzrok we własne dłonie, skute kajdankami i leżące na odrapanym blacie.

- Kiedy? - powtórzył Michał. - Czy współpracowałeś z nim już wtedy, gdy Saszka podkładał bombę pod mój samochód? Gdy udawałeś rozpacz z powodu śmierci Doroty?

Bzowski się nie odezwał. Wchodząc do aresztu, Wroński przyrzekł sobie, że sucho poinformuje majora o tym, iż nie wywinie się od odpowiedzialności. Jednak teraz czuł potrzebę mówienia, jakiś wewnętrzny przymus.

- Jak mogłem przeoczyć fakt, że pozwoliłeś mi na taką samowolę jaką był wyjazd do Budapesztu i zabójstwo? Chciałeś po prostu odciągnąć mnie od Miguły. Przyznaj, wiedziałeś o kancie, jaki wykręcił Rosjanom.

- Nie byliśmy aż tak blisko - burknął major. - Doszło tylko do przypadkowej zbieżności interesów. Ja nie chciałem, żeby FSB przejęło dokumentację Bursztynowej Komnaty, on też. Może z innych pobudek, ale...

- Twoje pobudki mnie nie interesują - przerwał porucznik. - Nie wierzę w twoją szlachetność w tym względzie. Zrobiłeś wszystko, żeby Miguła mógł uciec. Poświęciliście Saszkę, potem zarznięliście w Berlinie agentkę BND, bo wykręciła numer i przejęła papiery.

- O tym nic nie wiedziałem. Tak samo jak o zamachu w Pradze.

- Łazarz twierdzi coś wręcz przeciwnego.

- A ty mu wierzysz bez zastrzeżeń?

- Nawet jeśli jedna dziesiąta z tego, co opowiedział, jest prawdą, zasłużyłeś na wszystko, co najgorsze.

- Nigdy nie zamierzałem ciebie zabić - wymamrotał Bzowski. - Migułą dogadałem się, owszem. Nie mogłem pozwolić, aby dokumentacja Bursztynowej Komnaty wpadła w ręce Rosjan. Musiałem tego dopilnować. Zawarliśmy sojusz dosłownie na chwilę.

- A chwilowe przymierze przerodziło się niedługo później we współpracę. Jaka suma cię złamała? Milion dolarów czy euro? Dwa miliony? Warto było? Przecież musiałeś się liczyć z tym, że Łazarz zechce cię wydudkać. Dlatego po morderstwie Żółtaka twoje nazwisko zostało napisane krwią obok nazwiska Miguły. Dlatego nasze służby otrzymały zamiar na twoje konta. Łazarzowi opłacało się wywalić cię ze spółki, nawet jeśli musiał poświęcić na ten cel sporą część zysków. Co się zdarzyło? Stałeś się zbyt zachłanny?

Jacek nie odpowiedział.

- Gdybym tylko myślał trzeźwo - westchnął Michał. - Ale jak można tak myśleć po świeżo przeżytej tragedii? Jednak gdybym chociaż raz porządnie się zastanowił... Tyle drobnych wskazówek, tyle potknięć z twojej strony... Witek znalazł mnie w kościele, wystawił mi wtedy Saszkę... bez trudu zdobyłem zamiar na kontakt do Czaczenów w Budapeszcie... Dzięki temu mogłem szybko odnaleźć Walasa. Inaczej mógłbym go szukać całymi miesiącami. To przecież także twoja robota! Poszło mi tam zbyt łatwo, zupełnie jakbym trafił na przygotowany grunt. Opór był, owszem, ale niewielki. Rozwaliłem Saszkę, który znajdował się pod ochroną mafii czeczeńskiej, a oni mnie

nie zabili, choć z całą pewnością powinni, bo złamałem układ. Dlaczego przeżyłem? Przecież mogłeś to wtedy załatwić ostatecznie.

- Nie rozumiesz? - Bzowski poderwał się. Natychmiast wpadł strażnik, posadził go na krześle, po czym znów wyszedł za przeszkłone drzwi. - Jesteś moim przyjacielem... Byłeś... nie mogłem, nie potrafiłem...

- Rozumiem - powiedział zimno Michał. - Taka mała ludzka słabość.

- Ludzka, żebyś wiedział!

- Zupełnie jak twoja chciwość. Twój kumpel Łazarz mógł dzięki niej skrzywdzić parę osób. Ostatnią jest pewna młodzianka dziewczyna, której nie udało się uratować. Byłem przy niej, gdy umierała, widziałem łzy jej matki. Gdybyś chociaż chwilę pomyślał, zanim... Ale, co tam! Masz przecież ludzkie uczucia, pewnie byś współczuł nieszczęściu. Dla mnie jednak jesteś zwyczajnym zdrajcą.

- Jestem - odparł cicho major. - Uległem pokusie, zszedłem z drogi prawa. Ale są rzeczy, których nie zrobiłbym nigdy. Dlatego musisz mi uwierzyć, że o zamachu w Pradze nic nie wiedziałem. Wierzysz?

- Wierzę - odparł równie cicho Michał. - Ale uwierzę jeszcze chętniej, jeśli powiesz, kto jeszcze.

- Co „kto jeszcze”? O co ci chodzi?

- Współpracę z Migułą podjąłeś z własnej inicjatywy? Nie wierzę. Musiałeś mieć jakieś odgórne błogosławieństwo, musiał cię kryć ktoś wierchuszki. Ten sam ktoś potem wystawił cię, łącząc z Łazarzem, powiedz mi, kto to jest.

- Oszalałeś. - Bzowski pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Nie oszalałem. Kiedy cię posadzili, Łazarz zajął się przemyceniem materiałów promieniotwórczych na dużą skalę. Nie rób takich oczu. Nie wiedziałeś? To teraz już wiesz. Na pewno przygotowywał się do tego od dłuższego czasu. Może to był jego plan awaryjny na wypadek niepowodzenia w innych przedsięwzięciach. Ale tego nie da się zorganizować ot tak, mając do pomocy tylko jakiegoś posła i paru radych z niewielkiego miasta.

- W życiu bym się nie odważył wleźć w coś takiego!

- W to akurat nie bardzo wierzę. Raczej to oni nie życzyli sobie mojego udziału. Tak wyczytałem między wierszami zeznań Miguły. Powiedz, kim jest ten wysoko postawiony protektor.

Bzowski znów zapatrzył się w bransolety kajdanek.

- Gdyby nawet było prawdą to, co mówisz o protektorze - podniósł wzrok na Michała - myślisz, że gdybym cokolwiek o kimś takim powiedział, doczekałbym jutrzejszego dnia? W celi raczej trudno się powiesić, ale dla chętnego... a raczej chętnych pomocników...

Wroński milczał. Nie spodziewał się niczego innego, ale musiał próbować.

- Jak zwykle możni tego świata pozostaną bezkarni - mruknął reszcie.

- Jak zwykle - zgodził się Bzowski.

Michał wstał.

- Żegnaj, Jacku - powiedział.

- Żegnaj. I wybacz... jeśli zdołasz.

Wroński chciał się odwrócić, ale znieruchomiał, jakby sobie coś przypomniał. Jacek patrzył wyczekująco.

- Jest jeszcze coś, o co chcę cię zapytać - rzekł porucznik. - Łazarz powiedział mi pewną rzecz... Twierdzi, że zabezpieczył interesy na wypadek wypadki. Ma je przejąć jakiś człowiek...

W głowie zabrzmiały słowa, które zapadły mu głęboko w pamięć. To był już koniec przesłuchania, w którym uczestniczył kilka dni wcześniej. Miguła z paskudnym uśmiechem oznajmił:

- Mnie możecie zabić, zamknąć w mamrze, zatłuc kijami albo wystrzelić na Księżyc. Gówno wam to da. Zostawiam spadkobiercę. Jest ktoś, kto przejmie po mnie schedę, będzie bruździł takim jak wy. To ktoś, komu przekazałem wszystko, co wiem, kto otrzymał kontakty i hasła, dostęp do dokumentów.

- Jest taką samą kanalią jak ty?

- Bez porównania większą, drogi poruczniku. Bez porównania...

- Kłamiesz!

- Nie kłamię. Mówię ci to, żebyś nie miał zbyt spokojnego snu. Kiedyś dobierze ci się do skóry. To był jeden z warunków naszej umowy. Jeśli za twoją przyczyną, powinęłaby mi się noga, ten, kto przejął moje interesy, dokona zemsty. Nie teraz, nie od razu. Później,

może nawet dużo później, po latach. Przez ten cały czas nie będziesz znał dnia ani godziny!

To była chwila, w której Michał chciał zastrzelić wroga, nie bacząc na nic.

- Wiesz coś o tym? - spojrzał surowo na Bzowskiego, kiedy powtórzył mu przebieg rozmowy.

- Nie żartuj.

- Takiej też odpowiedzi się spodziewałem. Łazarz był doskonale poinformowany, gdzie należy szukać mojego syna. Na szczęście nie zdążył wydać odpowiednich rozkazów. Ale co się odwlecze... Ma podobno następcę. Wiesz coś? Tylko tym razem powiedz prawdę!

- Daj spokój - zachnął się major. - Gdybym o czymś takim wiedział, sam bym cię uprzedził. Może stałem się zdrajcą i złodziejem, ale nie jestem takim szatanem jak Miguła!

- Mam nadzieję. Bądź zdrow.

Nie obejrzał się już za siebie, choć czuł wzrok Jacka wbity w swoje plecy. Ten rozdział życia został zakończony. Najbardziej paskudny, najboleśniejszy rozdział, jaki do tej pory napisał dla niego los.

*

Pryszczaty szedł przez laszek - typowy, całkiem spory zagajnik, jakich wiele można znaleźć w okolicach Wrocławia. Jesienne słońce przeświecało przez pożółkłe liście, a właściwie te ich resztki, które jeszcze pozostały na drzewach. Rześkie, chłodne powietrze wypełniało płuca, zdawało się wlewać w żyły nowe życie. Życie... Co za ironia losu! Czuł wypełniającą go energię, a przecież zmierzał do miejsca, gdzie czekało to, co było nierozzerwalnie związane ze śmiercią. Samochód zostawił przy drodze, choć mógł spokojnie wjechać głębiej między drzewa, bo dukt był całkiem porządny. Poprzednim razem przyjechał tutaj nocą. Padał deszcz, otoczenie zdawało się nieprzyjemne, wręcz groźne. Drzewa po zmroku w taką pogodę wydają się zamieniać w żywe, krwiozercze istoty. Szczególnie jeśli intruz, który zakłóca ich spokój, niesie na ramieniu martwe ciało. Wstrząsnął się na to wspomnienie. Było bardziej okrutne niż inne, związane z glupim zakładem, kiedy przyszło mu spędzić całą noc w cmentarnej

krypcie. Tam także przebywał w towarzystwie trupa, ale ciało z pewnością dawno zetlało, a poza tym nie musiał na nie patrzeć, gdyż spoczywało w kamiennym sarkofagu. No i należało do obcego człowieka...

W lesie musiał wykonać żmudną pracę, wykopać dół, a to przy świetle małej latarni nie było takie proste. Ofiara miała uchylone powieki, co sprawiało wrażenie, że obserwuje każdy jego ruch. Nie potrafił zamknąć tych oczu, nie chciały się poddać żadnym zabiegom.

Nie bał się, to było coś innego. Coś, co stanowiło wyrzut sumienia, przypomnienie zbrodni, a przede wszystkim pobudek, jakie go do niej pchnęły. Nigdy przedtem, zabijając człowieka, nie czuł czegoś podobnego. Ale do tej pory pozbawiał życia tylko i wyłącznie wrogów albo zdrajców. Nigdy przyjaciół.

Doszedł do niewielkiego, płaskiego wzgórka, przykrytego liśćmi. Z kieszeni wyjął niewielki znicz i zapalki. Postawił lampkę na wzniesieniu, zapalił.

- Wybacz, kochana - powiedział cicho. - Tak było trzeba, musiałem... I tak nie byłabyś ze mną szczęśliwa. A gdybyś się dowiedziała, czym się zajmuję naprawdę, byłabyś na pewno bardzo zawiedziona. Przynajmniej odeszłaś przekonana, że będziemy żyć długo i szczęśliwie.

Wolałby ją chyba udusić albo pchnąć nożem. To byłaby śmierć krótka, konkretna, z którą był doskonale zaznajomiony. Zamiast tego nasypał trucizny do szampana. Patrzył ze ściśniętym sercem, jak Sandra wypija alkohol. Przez moment miał ochotę uczynić to samo, jednak się powstrzymał. Gdy umarła, obok straszego żalu poczuł niespodziewanie ulgę. Był wolny. Naprawdę wolny! Przed samym zgonem zakrzuszyła się jeszcze krwią, opryskała mu twarz drobnymi kropelkami, gdy się nad nią pochylał. To było chyba najgorsze ze wszystkiego. I jeszcze tamta chwila, kiedy podczas odprawy wycierał płamkę na policzku, udając zupełną beztroskę.

- Żegnaj, maleńka. - Wziął znicz, zgasił go i schował z powrotem do kieszeni, nie zważając na parzącą palce stearynę. - Pora na mnie.

Zadzwoił telefon. Pryszczaty zerknął na wyświetlacz, odebrał połączenie, chwilę słuchał.

- Tak, zgadza się. Proszę jeszcze poczekać z decyzją. Za godzinę będę w mieście, naradzimy się. Trzeba to wszystko jak najszybciej ogarnąć i wziąć za mordę, kogo trzeba, pani Marietto.